

ADOLF·NOWACZYŃSKI



PUŁASKI·W·AMERYCE
DRAMAT·W·5^{ciu}·AKTACH

NAKŁADEM·OSTOJI·SPÓŁKI·WYDAWNICZEJ
W·POZNANIU
1917.

PUŁASKI W AMERYCE



ADOLF NOWACZYŃSKI

PUŁASKI W AMERYCE

DRAMAT W 5 AKTACH



POZNAŃ
NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ „OSTOJA”
CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY”
1917

OSOBY:

Kazimierz Pułaski	Brat Nataniel
Markiz Lafayette	Siostra Angelika
Admirał d' Estaing	Siostra Marta
Baron Benyowszky	Oberzysta oncle Hyphen
Jenerał Lincoln	Oberzystka
Jenerał Sullivan	Sierżant Vanderwild
Jenerał Wassington	Black, murzyn
Pułkownik Arnold	„Błady Orzeł“, wódz Mohe-
Pułkownik Mac-Moyler	ganów
Deniza Mac-Moyler	Jack
Kapitan Wilkenson	Bob
Rotmistrz Chotkowski	Tommy
Porucznik Zieliński	

} Marynarze

Officerowie, Żołnierze, Pospólstwo.

- Akt I. Komenda Główna w „Independence-Hall“ w Filadelfii.
Akt II. Oberża starego Hyphena.
Akt III. Lazaret w Domu Sióstr Czeskich w Betlehem.
Akt IV. W obozie pod Savannah.
Akt V. Na pokładzie fregaty wojennej „Wasp“.

AKT I.

Scena przedstawia antykamerę ordynansową przy wielkiej sali obrad, na parterze, w Independence-Hall, w Filadelfii.

W głębi korytarz wzdłuż całej ściany. Na korytarz wychodzą dwa okna szerokie i szerokie drzwi w środku. Z korytarza szerokie wyjście po kilku schodkach na plac przed gmachem, również dwa szerokie okna tuż naprzeciw okien antykamery. W antykamerze drzwi z prawej i z lewej. Antykamera biała malowana z greckimi supraportami nad drzwiami. Z lewej strony widać nad drzwiami wielkie arrangement ze sztandarów gwiazdzistych z tablicą w środku, na której złotymi głoskami U. S. A. — Blżej widza na ścianie mapa olbrzymia, aż do samej ziemi. W głębi przy oknie z lewej duży stół z ciemnego drzewa, pełen map i papierów. Przy nim dwa fotele ceratowe i kilka prostych zydlów. Z prawej bliżej widza biurko francuskie pełne papierów, przy nim zydel z siedzeniem jakby z kulbaki końskiej. W rogu w głębi z prawej wysoki zegar holenderski z wagami, głośno stukający. Na samym froncie wzdłuż całej ściany długa ława ciemno bajcowana; przy ławie z lewej, blisko mapy, zwalony na ziemię stos pistoletów skałkowych. Drzwi wiodące w prawo zdobne portyera. Koło portyery w górze dzwonek z drutem.

Południe jesienne roku 1777. Przez drzwi w głębi widać na placu przed Independence-Hall rozstawioną w półkole kapelę wojskową grającą. Na placu drzewa, do których poprzywiązywano konie.

Przy biurku z prawej siedzi zagłębiony w papierach i piszący pułkownik Mac-Moyler. Wysoki, barczysty jegomość mocno szpakowaty o ceglastej, plamistej cerze. Mundur wygodnie rozpiął do koszuli i pisze zawzięcie. W zębach żuje liść tytoniu i raz po raz s pluwa w róg sali. W głębi przy stole siedzi zagłębiony w mapach i kreślący w nich generał Lincoln, szpakowaty, niski, rumiany. Młodzi oficyerowie stanęli przy oknie i patrzą na plac. Przy drugim oknie stanął na krześle generał Sullivan, obok niego dwóch oficyerów i patrzą również na plac. Przy drzwiach z prawej, wiodących do sali obrad, sierżant Vanderwild szyldwachuje, ale skraca czas struganiem

kijków z gałązki brzozonej. W głębi, przy drzwiach na placyk, murzyn Black czyści zawzięcie szmatką pistolet. Wszystkie drzwi i okna, z wyjątkiem drzwi z portyera, szeroko otwarte. Przez korytarz raz po raz przechodzą wojskowi to w prawo, to w lewo, to z papierami, to bez, to gorączkowo z pospiechem, to flegmatycznie. —

Kapela na placyku gra i równocześnie śpiewa: Yankee Doodle. Z nią razem śpiewają ludzie na placyku. Officyerowie w antykamerze od czasu do czasu wtórują, tupią nogami, klaszczą. Twarze wszystkich roz pogodzone, radosne. Z boku z lewej pod mapą stoi młody Zieliński i przebiera w stosie pistoletów. Raz po raz schyla się po któryś, ogląda, próbuje, wymierza i co lepsze odkłada i kładzie rzędkiem na ławie.

YANKEE DOODLE

John Bull pewnego popadł razu
W gniew wcale nieostrożny,
Gdyż zdało mu się, że Jonathan
Jest już za nadto możny:

Wyborów wszelkich zakazuję
Tam za mym oceanem,
Gdzie bowiem raz już John panuje,
Tam nikt nie ma być panem!

I klnie i grzmi nasz stary kloc
Jakby się opił brandy
I, by okazać swoją moc,
Zwie Yankee „doodle dandy“:

Ty waruj pilnie moich słów,
Mój Yankee doodle dandy,
Herbatę płac mi drożej znów,
Ty Yankee doodle dandy.

Obkłada swą herbatę cłem,
Celników śle za morze
I myśli, że już słowem złem
Utrzyma nas w pokorze.

Lecz Jonathan to dzielny chwyt,
Nie każdy mu poradzi,
Wyrzucił tej herbaty skład
Do morza, jak do kadzi.

Kurtyna idzie w górę.
Kapela, ludzie na placyku, officyerowie w sali śpiewają.

John okręt za okrętem śle
A na nich całe bandy.
Żołnierze rozdierają się
Wciąż Yankee „doodle dandy“!
Ty Yankee śmiały, krzycz i płacz,
Nie szkoda to herbaty!
Zobaczysz teraz kto i zacz
Da Yankee doodle baty.

I zawrzał wszędzie srogi bój,
Bił Yankee nie na żarty,
Obronił dzielnie w krąg kraj swój;
Los wnet odwrócił karty.

I kiedy na okręty swe
Pakował John armaty,
Jonathan wołał, śmiejąc się:
I resztę weź herbaty!

Mac-Moyler raz po raz daje oznaki zniecierpliwienia: uszy zatula na znak, że pracować nie może. Jenerał Lincoln też przerwał sobie pracę, ale roz pogodzony bije takt pięścią w stół. Murzyn w głębi tupie, macha rękoma z radości, wreszcie przeraźliwie świsnął. Zieliński mocno zdumiony nie przerywa sobie zajęcia, ale od czasu do czasu patrzy na tak mocne objawy radości.

(Kończą śpiewać na placyku). "

SULLIVAN (jeszcze stojąc na krześle, odwraca się na salę): Mister Zieliński! No jak wam się podoba hymn Stanów Skonfederowanych? Hę? (schodzi z krzesła).

OFFICYEROWIE (wracają do stołu w głębi, nucać):
I resztę weź herbaty!

MAC-MOYLER (przy biurku, ręce od uszu odkładając):
Chwałaż Bogu! Wreszcie przestali!

SIERŻANT VANDERWILD: I resztę weź herbaty.
Hahaha... (śmieje się rozgłośnie).

LINCOLN (nucać): Los wnet odwrócił karty!...
(i znów zagłębia się w pracę).

ZIELIŃSKI (nieco zakłopotany): Prawdę rzekąc, brygadyerze, jakoś dziwnie mało stateczny...

Kapela z placyku ustawia się w szereg i odchodzi. Za nią gromada ludzi, nucąc dalej Yankee Doodle, rozchodzi się. Oficjerowie odchodzą od okien. Niektórzy idą w korytarz na lewo.

SULLIVAN (zeskakując ze stołka): Jaki? Mało jaki?

ZIELIŃSKI: Mało stateczny. Uroczysty! Hymn takowy, widzi mi się, winien być mniej skoczny, panie brygadyerze. Więcej smutny.

MAC-MOYLER (mrużąc od stołu): Ma rację leutenant! Ma rację!

SULLIVAN (zbliżając się do Zielińskiego): Mniej skoczny? Więcej smutny! (zdumiony): Dla czego? Czemuż to znowu?

ZIELIŃSKI (zakłopotany): Jakby to powiedzieć... Może nie smutny... Alić uroczysty więcej! Poważny! Skoro melodia onego ma wolę i moc całej Konfederacji kolonistów prezentować...

SULLIVAN: To co? To wola i moc całej nacyi mają być zaraz smutne, uroczyste. Tak? (klapiąc go mocno w plecy): O nie! Właśnie że nie, drogi Polaku! Nic smutnego! Jeżeli mamy być nacyą niepodległą, wolną, mocną, my koloniści, jeżeli mamy zrzucić z siebie przeklętą obrozę Torysów, toć musimy posiadać jasną pogodę w duszy. To pierwsze! Ani jednego dekagrama żałoby. Ani jednego! Słyszycie Zieliński?

MAC-MOYLER (przerwał sobie na chwilę pracę, odwrócił się i słucha z miną kpiącą).

ZIELIŃSKI (odkładając pistolet): Słyszę, brygadyerze. I rozumiem niby, kombinuję... Trzebaż mieć wiarę w zwycięstwo... Tak... A wiarę takową możliwe mieć jeno z pogodą duszną w sercu... Tak?...

SULLIVAN (klepiąc go po ramionach): Tak... Tak!.. Wszystko dobrze! Widzę, że już rozumiecie o co chodzi.

(Dzwonek przy portyerze z prawej zadzwonił).

SIERŻANT VANDERWILD rzucił na ziemię kozik i gałkę, poprawił mundur i wychodzi za portyerę.

ZIELIŃSKI: Po prawdzie też więcej mnie jeszcze co innego raziło w tej pieśni: I to jedno słowo jeno.

SULLIVAN (serdecznie): Mianowicie?

ZIELIŃSKI (biorąc znów jeden pistolet): Mianowicie, mości brygadyerze, ta... ta herbata. Nic, tylko o herbacie i herbacie. Przecież nie gwoli cła na herbatę toczy się wiekopomny bój dwojga narodów globowych!... A w tej pieśni waszej co zwrotka to herbata.

MAC-MOYLER (zwijając liść tytoniu, roześmiał się hucznie): Hahaha! Wyśmienite!

(W drzwicach z prawej staje z powrotem sierżant Vanderwild).

SIERŻANT (głośno, poważnie): Jenerał Lincoln wezwany do Jego Excellencyi!

SULLIVAN: Jakżeż nie o herbatę? Właśnie że z powodu herbaty! Wiecie przecież, co nam lordy zrobiły cztery lata temu.

ZIELIŃSKI: Wiem, to jest cokolwieczek wiem. Że wam z Londynu chcieli takim trybem narzucać swą wolę, jako nam chcieli dyktować tyranowie z Petersbułga! Wiem, że wam nasyłali prokonsulów, jako nam Stackelberga i Salderna. Wiem, że wam też chcieli odbierać to, co ma kaźden naród najświętszego: wolność!

(Jenerał Lincoln zebrałszy ze stołu plik papierów, wstaje i zmierza w prawo. Sierżant uchyla portyery).

SULLIVAN: A tak! A tak... Najważniejsza także, że nam po trzy grosze podnieśli na funcie indyjskiej herbaty! (z oburzeniem): Słyszycie? I jakoweś stemplowe znaczki kazali kupować, chciwcy bezczelni (weselej): I dla tego tyle o tej herbacie słyszycie w tej piosence, Zieliński.

ZIELIŃSKI (z pogardą): Tak! Tak! Ale co tam herbatę wspominać, gdy o złotą wolność sprawa. Herbata, zioło marne! Nie o grosze zaś wojna się toczy!

MAC-MOYLER (podnosząc głowę przekornie): A właśnie, że o grosze, leutenantie. Wolność jest złota, ale i herbata złota! Trzy grosze na funcie to wiecie, Zieliński, ile miesięcznie? 11 tysięcy 759 dolarów 81 centymów! (dobitnie): Miesięcznie!...

SULLIVAN; I te 11 tysięcy 759 chciał nam parlament londyński miesięcznie wyciągnąć z kieszeni! Ale się przerachował gruby Jerzy i jego lordy fircyki w koronkach... Teraz mają za swoje!

MAC-MOYLER (wstając i biorąc papiery z biurka): Jeszcze nic nie mają! Jeszcze nic nie mają. Nie egzaltujmy się! Jak dziś rzeczy stoją, to walą nas Torysi po zadach, aż trzaski lecą. Co to pięść obwijac bawełną. Łajnowato nam idzie i tyle!

SULLIVAN (wesoło do Lincolna): Już kraczą szkockie gawrony. Już znowu źle trawi Mac-Moyler od kilku dni swoją wieprzowinę.

MAC-MOYLER (woła do stołu): Kapitanie Armstrong, proszę być gotowym. Idziemy na górę.

(Officer w głębi kłania się).

MAC-MOYLER (do Sullivana): Co mam źle trawić! Świetnie trawię. Ale to, że ja dobrze trawię, to pożyczów naszych nie poprawi w niczem. Tyconderogę też Torysi dobrze strawili! Niema co wesoło śpiewać Yankee doodle, jak tak dalej pójdzie. W Tyconderodze

już nie śpiewają wesołego Yankee doodle, ale znów poważne: (nuci) Boże nam króla chroń!..

ZIELIŃSKI (smętnie): Oj niestety! niestety! Prawdaż to...

SULLIVAN (ręką mu usta zatula): Przestańcież stary! Dość już! Tyconderoga i Tyconderoga ciągle od wczoraj! Nic innego się nie słyszy! A to czysty ślepy przypadek. Byliby usłuchali planu tego młodego inżyniera... no... tego... (zapomniał nazwisko).

ZIELIŃSKI (z dumą): Kościuszki!

SULLIVAN: Tak! Kostjuski, a byłby sobie Hove wszystkie kły w pysku wybił na tym orzeszku! Radził Kostjusko splantować szczyt Góry Cukru. Głowa Cukru panowała nad wszystkim (stanął przy mapie i pokazuje w górze): Ot... tu. Można było tam poumieszczać działa największego kalibru! Bateria z Głowy Cukru mogła zabezpieczać wszystkie forty Tyconderogi. Można było walić stamtąd jak w bęben! I co?.. Żeby byli usłuchali rad tego smyka...

ZIELIŃSKI (podpowiadając): Kościuszki!

SULLIVAN: Tak! tego Kostjuski, stare osły włochate, to...

MAC-MOYLER (machnął ręką): Ech, zawsze jest jakieś gdyby, żeby, jeśliby, skoroby!.. Bóg tam najmiłosierniejszy raczy wiedzieć, jakby jeszcze wypadło... Kawaleryi im brakowało, ot co... O... (wskazuje na mapie): Tu dla kawaleryi stworzony teren!.. Patrzcie Sullivan... te łąki... Tam wąż... Gdyby tu kawalerya szarpała... o Zieliński... patrzcie... tu!.. Ale co!.., prosiłem cztery razy, żeby mi powierzyć szefostwo całej kawaleryi i na północ posłać... Nie i nie! Nie i nie! Czekają z nominacją, aż sam Belzebub zaproponuje... Tfy (pluje): Teraz co?.. Excellencya ozór gryzie z pasy... Szkoda... (woła w głąb): Armstrong. Gotowe?.. Idziemy na górę.

Dzwonek przy portyerze. Sierżant Vanderwild znika. — Officer w głębi zerwał się i kłania. —

SULLIVAN (nieco kpiąco, porozumiewawczo z Zielińskim): Nie przeczę, Mac-Moyler, że (z naciskiem) „gdyby“, „skoroby“ was byli z kawaleryą wysłali, Tyconderoga byłaby dziś jeszcze w naszych rękach. Z drugiej strony, atoli, trzymając się ściśle raportu, jaki przysłali, obstawam przy tem, że trzeba było wypełnić ściśle plan Kościuszki.

SIERŻANT VANDERWILD (przed portyerą): Kapitan Armstrong ma wziąć z sobą memoryał (czyta z kartki): memoryał barona Aladar Maurycy Benyowsky...

Officer w głębi patrzy zakłopotany na Mac-Moylera.

MAC-MOYLER (wyciągając z pod łokcia plik papierów, zirytowany): Masz tobie! A do kroćset sto tysięcy par dyabłów! A tom się spóźnił... Miałem to jeszcze dać do przejrzenia kongresmanowi Jeffersonowi... Aj... aj... (cmoknął): Czeka na to na pierwszym piętrze od godziny... (westchnął): Ano darmo... Armstrong. Bierzcie te brednie (wręcza officerowi plik papierów): Notacye moje do tej niedorzecznej pisaniny zrobiłem na marginesie.

Officer kłania się, wychodzi w prawo.

MAC-MOYLER (do Sullivana): Chwała Bogu nawet, że nie potrzebuję sam referować o tym memoryale. (kłótliwie): Więc wy, Sullivan, ciągle obstajecie przy tym Kostjuskim?

ZIELIŃSKI: Pan brygadyer powtarza tylko słowa raportu. Tak piszą ci, co tam dowodzili...

MAC-MOYLER (splunawszy na bok): Tfy! Tfy... Gadanie! Brednie amatorów! Gnój, nie argumenty wojskowe. Każdy batalista by to wyśmiał! I skąd to raptowne nabożeństwo do tego... tego...

ZIELIŃSKI (wesolo). Kościuszki? Tak?..

MAC-MOYLER: A tak! Co ma inżynierya do strategii. Toż każdyby to wyśmiał... Strategia to sztuka,

którego bardzo trudno się wyuczyć. Skąd może inżynier mieć pomysły taktyczne? Hę? (splunął).

SULLIVAN (kładąc mu rękę na plecach): Nooo... Stary wilku, uspokójcie się! Jest strategia sztuką, ale znowu nie tak niepojętym. Mogę wam coś o tem powiedzieć, będąc żołnierzem od 25 lat... (kpiąco): Zresztą, Mac-Moyler, wy sami o tem wiecie najlepiej. Dziś kandydat na szefa kawaleryi trzynastu skonfederowanych stanów, cztery lata temu byliście przecież tylko handlarzem koni! (śmiech tamuje). Wszak tak?..

Zieliński odwrócił się do mapy i zaśmiewa się w kułak...

MAC-MOYLER: To nic niema do rzeczy, Sullivan! Kawalerya to koń! Ja na koniach się znam tak samo od 25 lat, a raczej od dziecka. Ale skąd geometra i to... i to obcokrajowiec! ma się znać... Zresztą, co ja będę z wami dysputacye wiódł. Niech powie stary Lincoln, co o tem myśli... (odwraca się ku głębi, do stołu).

SULLIVAN (wesolo): Dobrze... Chodźmy do szeryfa. Niech powie Lincoln. (odwraca się).

MAC-MOYLER (podchodząc do stolika): Lincoln! (powolnie): My chcemy was o coś zapytać.

Lincoln podnosi głowę z nad mapy.

Officerowie z cyrkłami w rękę i ołówkami przerwali pracę. Dzwonek przy kotarze.

LINCOLN (spokojnie): Hę?..

MAC-MOYLER: Wasze zdanie o Tyconderodze i Kostjuskim?.. Byłaby nie ewakuowaną, gdyby posłuchali planu tego Polaka? Hę?

LINCOLN: Nie mam zdania o tem. Nie widziałem.

MAC-MOYLER (niecierpliwie): A o Kostjuskim wogóle?

SULLIVAN (wesolo): Mac-Moyler chce koniecznie usłyszeć coś ujemnego o młodym Kostjuskim, Potrzebne mu to do trawienia. I do referatów.

LINCOLN: Aha! Dobrze. Oglądałem plany fortyfikacji West-Point Perfect! Po prostu bez przygany.

SULLIVAN: Hahaha... A te pod Filadelfią, tutaj?..

LINCOLN: Nie oglądałem. Nie mam zdania. Tydzień temu opowiadał mi o nich właśnie on sam, Mac-Moyler. Chwalił gorąco palisady w korycie Delaware... o trzy mile od nas... I te szanice nad rzeką...

ZIELIŃSKI (radośnie): Koło Billingsport.

LINCOLN: Tak. Koło Billingsport. Mac-Moyler mówił o nich samymi superlatywami. Z tej przyczyny nawet jam sobie pozwolił nieco powątpiewać o ich świetności. Haha!

SIERŻANT VANDERWILD: Pułkownik Mac-Moyler do Jego Excellency.

Śmiech przy stole. Lincoln nachyla się do roboty. Sullivan i Zieliński również w śmiech. Mac-Moyler skonfundowany rozgląda się po nich, raptownie odwrócił się do sierżanta.

SULLIVAN (wesolo): Słyszeliście zdanie szeryfa?

MAC-MOYLER (zdziwiony do sierżanta): Co?.. Ja?..

SIERŻANT VANDERWILD (kiwa głową, stereotypowo): Pułkownik Mac-Moyler do Jego Excellency.

MAC-MOYLER (nagle wesolo): Ach, to może się rozstrzygnęła sprawa kawaleryi. Nominacja? (zmierza ku prawej): Wreszcie!..

LINCOLN (od stołu): Sullivan, prosimy, pora do roboty.

SULLIVAN (do Moylera ironicznie): Prawdopodobnie. (idzie ku głębi nucać): ...Jonathan wołał, śmiejąc się: I resztę weź herbaty...

Na schodach w głębi stanął młody trzydziestoletni Kazimierz Pułaski. Jest w mocno podniszczonym mundurze konfederackim. Okryty jakimś tureckim płaszczem jaskrawym. Mówi coś do murzyna, który stanął w poprzek schodów i nie chce go wpuścić. Pułaski zniecierpliwiony.

Officerowie w głębi przy stole zagłębili się w pracy. Zieliński układa pistolety na ławce. Ma ich już przeszło tuzin. Sierżant Vanderwild struga kozikiem gałązkę spokojnie.

BLACK (w głębi odwracając się): Vanderwild! Vanderwild!

Sierżant idzie szybko ku murzynowi.

Pułaski przekłada teraz coś Vanderwildowi. Obaj stoją chwilę nieporadni.

VANDERWILD (wraca do sali i już od drzwi woła ku Zielińskiemu): Mister Zieliński. Proszę. Tu wasz compatriota zdaje się... (wraca ku portyerze).

Nie dokończył jeszcze, kiedy Pułaski odtrąca zniecierpliwiony murzyna, rzuca mu w ręce płaszcz i dumnie przechodzi do sali.

ZIELIŃSKI (odwracając się do Vanderwilda): Compatriota? Jaki?

PUŁASKI (od drzwi mocno): Pułaski, Jasiu! Pułaski!

ZIELIŃSKI (zdumiony opuścił na ziemię pistolet): Kazimierz! Przebóg! Kazimierz! Wszelki duch Pana Boga chwali! (biegnie naprzeciw i padają sobie w objęcia).

Murzyn Black uspokojony wraca na swoje miejsce.

Sierżant Vanderwild chwilę patrzył serdecznie na ściskających się, ale wnet wraca do strugania. — Officerowie przy stole odклонili się grzecznie w stronę Pułaskiego, patrzą nań z pewnym zdziwieniem, poczem na siebie pytająco, ale zaraz wracają do pracy.

PUŁASKI (ściskając go i całując): I ja też chwale, Jasiu! Ja też!..

ZIELIŃSKI: Tyżeś to Kaziu! Tyżeś?.. Czy duch Twój?

PUŁASKI: Jam we własnym ciele! Jam... Trzymasz mnie druhu, bracie!



ZIELIŃSKI: Toż trzymam, ale oczom i uszom nie wierzę.

Puścili się z objęć, trzymają się mocno za ręce i patrzą w siebie.

PULASKI: Wierźże, wierź! Oczy cię nie mylą. Przypatrz mi się.

ZIELIŃSKI: Ale Ty! Ty! Ty!.. Toż widzę, słyszę, Twój głos, Tve spojrzenie.. Twój mundur, nasz mundur ukochany! W Ameryce? W Filadelfii... Boże, mój Boże!.. Od kiedyż! jakoż? co się stało? Na drugiej hemisferze! Toć góra z górą się nie zejdzie, a my to wszędzie... wszędzie...

PULASKI: A widzisz, a widzisz... Tak to, tak... Opatrzność nami miota jako wiatr plewami... Ale czy my tu nie przeszkadzamy tym jegomościom...

ZIELIŃSKI (półgłosem): To też właśnie! (wskazuje w głąb ku oknom): Możebyśmy przeszli wraz do mojej kwatery. Mieszkam tu na ulicy czwartej, w pokoju po młodym Kościuszcze, Litwinie — przy rodzinie zacnego doktora Warrena... Tam sobie przejdziemy. Opowiesz wszystko.

PULASKI (również półgłosem): Kiedy widzisz, kuzynie drogi, ja tu mam audyencyę desygnowaną na godzinę 12-tą. Rozmyślaniem przybył wcześniej, by się Boże broń, nie opóźnić.

ZIELIŃSKI: Audyencyę? U generalissimusa? Więc tyś przyjechał żeby,.. Siadajże...

PULASKI (potakując): Tak... Tak... Przyjechałem, by Skonfederowanym Stanom służby swe ofiarować powolne... (popatrzył na zegar w głębi). Teraz jest trzy czwarte po jedenastej. Mamy czas. Opowiem ci co nieco Pytaj Jasiu (siada).

ZIELIŃSKI: Kiedy, doprawdy, tak mi jeszcze trudno ze zdumienia ochłonać. Tysiące i krocie pytań na usta się cisną.. Bym po polsku z Tobą nie kon-

wersował i by nie ten nasz, nasz mundur... (dotyka rękami ramię Pułaskiego): jeszczebym wiary sobie nie dawał, że to ty... (odsunął się o krok w tył) Mam li być szczery?.. to ja jeszcze nie wierzę, że to ty sam we własnej osobie.. A może waść impostor jakowys?.. samozwańczo się figurujesz za Pułaskiego.. (mocno): Powiedz hasło z pod Lanckorony...

PULASKI (kiwa głową smutnie, westchnął): Bóg i Marya!..

ZIELIŃSKI (chwytając się za serce, ręce na ramiona Pułaskiego złożył): Toć ty.. ty... (jeszcze nieufnie); A zanuć cicho piosenkę o zbójcu Drehwitu.

PULASKI (nucąc cicho):

Jedzie Drehwitz, jedzie,
Trzysta koni wiedzie,
Oj, poczekaj, panie Drehwitz,
Nie twoje to będzie. Haha..

ZIELIŃSKI (z wybuchem rękami go objął gorąco): Stop... Stop! Dość na Boga! Wierzę już wierzę i błagam, byś mi ten moment niewiary wybaczył. Ale skądże ja mogłem. Skąd mogłem! Wszyscyśmy myśleli w kraju, żeś w Turcyi gdzieś legł.. za pana ojcowym przewodem.

PULASKI: Nie! Niestetyż nie poległem. A może chwalić Boga nie poległem. Może mnie Opatrzność zachowała na jakieś walniejsze czyny... Ale ty tu, chłopaku, od jak dawna? . Opowiedz, co ciebie aż tu przyгнаło?

ZIELIŃSKI: Ech, co tam o mnie szaraczku do opowieści! Rok temu Zieleńce sprzedałem. Tylkom w Warshawie o tej konfederacyi Amerykanów się zwiędział. Od ciotki Mokronowskiej. Wszystkom rzucił. W Ojczyźnie dusiłem się jak w lochu nieprzewietrzanym i wilgotnym. Na ansambli raz zobaczyłem trafunkiem, jak graf Saldern sfukał księcia biskupa, który mu unizienie filizankę herbaty podawał i kilka kropel na frak upadło. Krew mi

do głowy bluznęła. Sprzedałem Zieleńce! Stare Zieleńce! Rzuciłem wszystko! Nie wrócę nigdy. W Nantes wsiadłem na statek... Nazywał się jakoś dziwnie... Oj, zapomniałem. Tu służę jako porucznik w trzecim szwadronie jazdy pułku Mac-Moylera. (dumnie): Byłem już w bataliach pod Trenton, pod Princeton! No, ale ty, ty! ty mów o sobie, Kazimierzu. (przysiadł się obok):

PUŁASKI (westchnął): Ja?.. ja?.. Nie jest to tak proste. I znacznie, znacznie smutniejsze!

ZIELIŃSKI: Od czterech czy pięciu lat nie mieliśmy o Tobie żadnej wiadomości. Ot tak, przebąkiwano różnie... Były listy od księżnej Sapieżyny z Paryża do matusi. Od pana Wielhorskiego, prawda... Jakoweś ze Stambułu banialuki..., (głowę opuścił, poważnie): O Sądzie Sejmowym i jego edykcie, wszyscy, ale to wszyscy powiadali, że niesprawiedliwy i na niewinnym spełniony.

PUŁASKI (stłumionym głosem): Protestacye moje czytałeś? Znanemi są w kraju?

ZIELIŃSKI (poważnie): Bądź spokojny. Wszyscy je znają! Wszyscy je czytali. W tysiącnych przepisali tak jako stała drukowaną w gazetach naszych i obcych krążyła po całej Rzeczypospolitej! Niema domu, niema zamku, niema dworu w Ojczyźnie, gdzieby nie wiedzieli, żeś w porwaniu i w zamachu na Króla Jegomości całkiem nie partycypował!.. Jakoś przysięgał.

PUŁASKI (gorączkowo chwytając go za rękę): Prawdali to?.. Sumiennie mówisz? Nie cięży już na mnie to podejrzenie niegodne! (zerwał się i stanął przed nim): Widzisz, Jasiu, jam tu przybył właśnie, by w Ameryce walczyć, choćby jako prosty żołnierz, dobre imię powrotnie zyskać! By mi sława zdobyta zniosła z pamięci ludzkiej Sejmowy dekret warszawski.

ZIELIŃSKI: Wszyscy wiedzą, że dekret nieprawny i w afekcie wydan! Król Jegomość sam to mówił kilkakroć... solennie... officiose...

PUŁASKI: Tak! Ale dekret trwa. Banitą jestem i infamisem. A Bóg świadkiem, że o porwaniu Króla przez Strawińskiego i jego pacholków nic a nic, jako żywo, nie wiedział. Nie dopiero, iżbym godził na głowę Piasta, tak nieszczęśliwego w tych cyrkumstancjach, jako i my wszyscy. (westchnął ciężko): Ech... Dużoby o tem mówić, byle się chciało w ranach ledwo zablizniałych grzebać... (machnął ręką).

ZIELIŃSKI (serdecznie ściskając mu dłoń): Jać wiem... wiem Kazimierzu... Tedy nie mówmy o tem... Nie... Ale jakżeś aż tutaj zawędrował?.. Od kiedyś stopę twą postawił na Antypodach?.. Gdzieś dotąd przebywał?..

W głębi na schodach pojawia się mistress Deniza Moyler. Młodziutka, jasnowłosa Francuzka, ubrana strojnie i jasno, zamyka parasolkę i śmiało wchodzi. Na progu korytarza spotyka się z jednym z oficerów od stołu Lincolna, który z papierami pod pachą właśnie wybiega na miasto. Zaczepiła go sama i przetrzymując, rozmawia.

PUŁASKI: Widzieliśmy się raz ostatni na wiosnę, pięć lat temu? Tak?..

ZIELIŃSKI: (smętnie): Tak, pod Częstochową.

PUŁASKI: Rok ostatni we Francji błąkałem się jak ten błędny ogień. Do służby królewskiej przyjąć mnie nie chcieli... jako o assasin pomawianego. Ani do hiszpańskiej, choć też kompetowałem. Wstawiali się różni kawalerowie, noblessa.. Przedtem rok u Osmanów, gdzie się nas wielu z naczelnosci konfederackiej schroniło... gdzie mi ojca tak szpetnie zabili... Biłem się tu i owdzie... Takowy zato order mam.. Proroka! i ten drugi... (wskazuje na piersi): Nawdziałem to dzisiaj, by się godniej sprezentować...

ZIELIŃSKI (serdecznie): Mówiąc szczerze, tym znaczkom żadnej się tu wagi nie przypisuje... Nawet może lepiej, byś to zdjął... Chociaż na prezentacyę weź zresztą. (zafrasowany): Ale jakoż ty myślisz poczynać sobie tutaj,

by godnie ciebie... Nie możesz przecież iść na pospolitego wolontariusza! Czy choćby rangą oficjera się zadowolić?

PUŁASKI (wesolo): Od biedy i do tego gotów... Byle prędzej, byle zaraz!.. Złożyłem atoli waszemu Kongresowi Kontynentalnemu memoriał. Tak... Memoriał, rozumiesz, o sformowaniu Legii partyzanckiej (zapalając się): Z trzech korpusów... Rozumiesz? Jak gdyby Towarzystwo Pancerni!.. Cała Legia 3480 człeka... Na korpus dwa szwadrony kawalerskie... wiesz jak nasze były... lekkie dragony...

ZIELIŃSKI (z westchnieniem): A tak... tak.

PUŁASKI: Jedna kompania piechoty! Kompania strzelców. Brygadka artyleryjska. Rozumiesz? Ale wszystko to w ostrą egzercyrkę wzięte! w klubach trzymane! ekwipowanie dostatnie!.. broń...

ZIELIŃSKI (sceptycznie): Ślicznie! Ślicznie! Tylko skąd wziąć fundusz teraz na ekwipowanie dostatnie, jak mówisz?.. Tutaj krucho z mamoną, trzeba ci wiedzieć... Wiesz ty, ile płacą teraz za zdrowego kłusaka? 400 dolarów, nieboże! Czteryście dolarów. Słyszałeś coś podobnego?..

PUŁASKI: Wiem o tem! wiem! Expensa obliczyłem najdokładniej! Będzie trzeba sto tysięcy dolarów... Wystarczy je wypłacić w trzech ratach...

ZIELIŃSKI (z przestachem): Sto tysięcy dolarów! Panno Święta! Taka suma! I kto to da?

PUŁASKI: Bądź spokojny! Znajdą się! Muszą się znaleźć. Ja sam będę tu miał listy kredytowe do banku panów Morris. Matusia i siostra Anna obiecały solennie subsydjami spomagać. Pożyczili conieco francuscy kawalerowie.

ZIELIŃSKI: Oj, to coś taksamo, jak z młodym Kościuszką. Jemu też na wójaz pożyczili mamony krewniacy.

PUŁASKI: A widzisz... Swoich mam jeszcze ze 100 dukacików (klepiąc Zielińskiego wesolo po plecach): Jakoś to będzie. Furda złoto zresztą, byle animusz w sercu nie ostygł!

ZIELIŃSKI: Byle się jeno congressmeni przekonali do konfederackiej partyzantki. Byle ku temu nabrali smaku! Co?..

PUŁASKI (z otuchą): Nabiorą! Nabiorą! Czekaj cierpliwie. Potrzeba takiej partyzantki dla obrony kanadyjskich granic. Ja chcę skromnie kompetować o regimentarstwo jednego z trzech korpusów... Rozumiesz... A gdy się powiedzie... gdy się w jakiejś batalii zabłyśnie, to...

Officjer w głębi pożegnał się. Pani Mac-Moyler wchodzi do sali. Officjerowie przy stole wszyscy wraz wstali, kłaniając się i stojąc.

JENERAŁ LINCOLN (podchodzi do niej w lansadach):
Moje najniższe attencye!

MISTRESS MOYLER (filuternie): Dzień dobry panom jenerałom...

OFFICYEROWIE (chórem): Dzień dobry, mistress Moyler! Witaj nam.

MISTRESS MOYLER (ogładając się): Małżonka mego tu niemasz?

Pułaski z Zielińskim kłaniają się też w jej stronę.

ZIELIŃSKI (sposzeregając panią Moyler, nagle uradowany, podniecony): Ale co to? Jejmość Moylerowa tutaj?

LINCOLN (całując ją w rękę, z rewerencyą): Pozwól, szlachetna pani, że złożę pocałunek na twej dłoni,

MISTRESS MOYLER (do Lincolna z gracyą): Proszę... proszę jenerale...

LINCOLN: Niestetyż! Na razie niema go. Wezwał go do siebie Excellencya Wassington... Jest tam

debata z jenerałem Lafayette'em. Tymczasem, pozwólcie, że my tu wszyscy (wskazuje na oficerów) postaramy się zastąpić jejmości małżonka.

Wszyscy oficerowie uklonili się.

MISTRESS MOYLER (patrzac przez lorgnon dokoła z uśmiechem): O panie jenerale. Serce moje nie jest tak obszerne, żeby się wam wszystkim odplacić mogło dostatecznie (półgłośniej): Tembardziej, że widzę jeszcze nowych wojaków tutaj, (patrzy z zaciekawieniem na Pułaskiego) nawet w nieznanym mi mundurach.

ZIELIŃSKI (do Pułaskiego pośpiesznie): Zezwól, Kazimierzu, pójdę przywitać się... (półszepem): Żona mego pułkownika!

PUŁASKI (grzecznie): Ależ... proszę... Ja pooglądam sobie mapę tymczasowo (wskazuje na mapę): Widzę, że przednia...

SULLIVAN (podchodząc do Moylerowej i całując ją w rękę): O pani! Jedno spojrzenie tych oczu najpiękniejszej gwiazdy kanadyjskiej, wystarczy już dla każdego z nas dozgonnie. Nieprawdaż, chłopcy?

OFFICYEROWIE (chórem): Prawda, jenerale. (kłaniają się).

MISTRESS MOYLER: Milles graces, messieurs. O, jest i nasz adjutant. (goręcej, do Zielińskiego): Witam was Zieliński. Wobec czego uwalniam was rycerze. (do Lincolna): Jego to obowiązkiem będzie bawić żonę swego pułkownika.

LINCOLN: Pani. (kłania się głęboko):

SULLIVAN: Pani.

MISTRESS MOYLER (wachlarzem dając znak oficerom): Panowie. (dygnęła).

Oficerowie z hałasem siadają. Lincoln i Sullivan wracają do stołu.

ZIELIŃSKI: Cóż to za splendor dzisiaj, że jejmość pani nawiedziłaś nas.

MISTRESS MOYLER: Kazał mi się tu stawić w południe mój staruszek... Żeby niby była pierwszą osobą, która mu pogratuluje, skoro dostanie nominację na szefa kawaleryi... (zmierza ku biurku): Tak jest pewny swego awansu!.. A dla mnie to takie śmieszne... doprawdy... takie prawdzie mało podobne... Boss, co handlował końmi, jenerałem! Mój francuski mózg tego nie pojmuje... (siada przy biurku): Ale... kto zacz ten cudzoziemiec nowy? Hiszpan, czy Turek?.. (wskazuje lorgnonem na Pułaskiego).

ZIELIŃSKI (weselej): Nie pani. Ani Hiszpan, ani Turek. Mój to kompatryota, kolligat. Jenerał Pułaski. Przyjechał dystyngwować się w wojnie Stanów o wolność.

MISTRESS MOYLER (patrzac przez lorgnon): Szarmancki jak każdy Sarmata!.. Małżonek będzie miał nowe zmartwienie!.. Każdy cudzoziemiec, wysiadający z okrętu w Bostonie, kosztuje go jedną noc bezsenność... A już Francuzów i Polaków topiłby w beczce łoju wrzącego... Hahaha...

ZIELIŃSKI: Zaiste, tak źle nie jest. Wszak mnie wybrał na swego adjutanta... (goręcej): pozwalając mi tym trybem być bliżej promieni mego słońca... (nachylił się nieco).

MISTRESS MOYLER: To już mojej protekcji zawdzięczacie, poruczniku Zieliński. Mac-Moyler nigdyby nie wpadł na taki koncept! Jest to wogóle drugie dopiero głupstwo, które zrobił w życiu.

ZIELIŃSKI (gorąco): Błogosławione głupstwo. Niech mu Pan Bóg da całą kawaleryę za to głupstwo. A pierwsze?

MISTRESS MOYLER: Pierwsze? Pierwsze, że się ożenił z kanadyjską Francuzką. To już chyba lekko-myślność nie do darowania. Haha...

Dzwonek przy portyerze. Sierżant Vanderwild znika za portyerą.

Pułaski, zapatrzony w mapę, wyciągnął teraz z zanadru kartkę papieru i ołówkiem z wielką zapamiętałością wynotowuje coś z mapy.

ZIELIŃSKI: Obopólna lekkomyślność, śmiałybym przydać, pułkownikowo.

MISTRESS MOYLER (uwodząco): Może... może (wskazując lorgnonem na Pułaskiego): Czy wasz compatriota z małżonką przyjechał do naszych kolonii?

ZIELIŃSKI: Pułaski? Nie... Bezzienny samotnik. Śluby kiedyś poczynił solenne nie spojrzeć na żadną niewiastę! Płeć wasza dlań nie istnieje.

MISTRESS MOYLER (zaciekawiona raptownie): Co? Czyżby to było możliwe?.. Czemuż tak?

ZIELIŃSKI: Nieszczęśliwe amory! Miłość nieszczęsna! I mnie grozi to samo, jeśli się fortuna ku mnie nie odwróci... jeżeli (nachylił się i szepcze jej omal do uszka...)

Sierżant Vanderwild staje we drzwiach.

SIERŻANT VANDERWILD: Jenerał Lincoln i jenerał Sullivan do Jego Excellencyi.

LINCOLN (wstając): My? Zaraz?.. (gdy Vanderwild kiwnął głową): Wobec tego, kochani towarzysze, robotę naszą odkładamy do wieczora. Teraz nam przeszkadzają cokolwiek.

Officyerowie wstali, słuchają.

SULLIVAN: Tak! Tak! Do wieczora... Rozchodzi się o to, żeby do wieczora każdy z panów przygotował swoje rozwiązanie onego problemu taktycznego...

OFFICYEROWIE (mrużąc): Tak... Tak... Wszystko dobrze. Wszystko dobrze.

LINCOLN (biorąc pod pachę plik papierów): Przypominam raz jeszcze (głosem podniesionym): Supponujemy: Torysi idą na Filadelfię...

Pułaski przestał patrzeć na mapę. Odwrócił się i słucha zaciekawiony.

LINCOLN: Suppozycya. Jenerał Hove z Majtlandem idzie na Filadelfię! Suppozycya: Hove zajął już West-Chester. (zmierza ku drzwiom z prawej, za nim Sullivan).

Officyerowie odprowadzają ich powoli, kiwając głowami.

LINCOLN: Otóż kwestya... jak najszcześliwiej zablokować drogi?

OFFICYEROWIE: Tak... tak...

LINCOLN: I czy się cofać do Hut Warwickich, do Yellow-Springs...

SULLIVAN: Czy też na Reading?..

OFFICYEROWIE: Tak, tak. Rozumiemy, Jenerale! Czy na Reading...

Sierżant odsuwa portyerę.

LINCOLN (odwracając się): Do widzenia z wami, kochane smyki!

SULLIVAN: Do widzenia!

OFFICYEROWIE: Żegnajcie jenerale. Wieczorem.

Kłaniają się jeden po drugim, poczem skłaniają głowy w stronę pułkownikowej i wychodzą w głąb.

MISTRESS MOYLER (do Zielińskiego grymasnie): Dobrze, już dobrze. Słyszałam to wszystko kilka razy... (niecierpliwie): Ale teraz proszę powiadomić mnie, jak wyglądała i kto zacz była ta, w której się tak rozkochał wasz kompatriota?..

Pułaski przeszedł w głąb, stanął przy stole i teraz z wielką ciekawością zapatrzyl się w mapy rozłożone na stole.

ZIELIŃSKI (z lekką niechęcią): Ale cóż to waćpanią objaśni, śliczna Denizo! Na drugiej półkuli żyje jego bożyszczce.

MISTRESS MOYLER: Wszystko jedno! Ale jak wygląda? kto ona?.. Czy aby taka urodziwa? Do kogo

podobna tu w Filadelfii. Czy comtessa, czy córka fermiera?.. Młoda?..

ZIELIŃSKI (ramionami wzruszając): Powiem wam pułkownikowo, bo o tem we wszystkiej Europie mówiono. Nazywała się Krasieńska. Comtessa Krasieńska.

MISTRESS MOYLER (nabożnie): A więc comtessa? domyślałam się. A jej imię?

ZIELIŃSKI: Franciszka.

MISTRESS MOYLER (poważnie, smętnie): Francesca?

ZIELIŃSKI (patrzając ku Pułaskiemu, półgłosem): Tak, Francesca Krasieńska. Kochał ją zapamiętałe. Rodzice panny nie chcieli! Nie godzili się w żaden sposób, jako że był biednym.

MISTRESS MOYLER: Całkiem jak moi! Całkiem jak moi.

ZIELIŃSKI: Może! Może... I wydali ją za księżęcia Kurlandzkiego.

MISTRESS MOYLER (wzruszona): Za księcia! Za księcia!

ZIELIŃSKI: Tak za księcia, zarazem królewicza saskiego Karola.

MISTRESS MOYLER: Jakto? Za księcia i królewicza w jednej osobie?

ZIELIŃSKI: Tak! Tak... Królewicza saskiego i polskiego zarazem! I ten królewicz, trzebaż teraz wiedzieć, po kilku latach ją porzucił.

MISTRESS MOYLER (zrywa się, chwyta go za rękę): Co, porzucił?.. Porzucił?.. Ach, niegodny! Biedny Pułaski (ogląda się za Pułaskim z tkliwością).

ZIELIŃSKI (chwytając jej rączkę i całując): Tak! Porzucił! Opuścił! A ona biedna, rok temu już będzie, wstąpiła do klasztoru.

MISTRESS MOYLER (z krzykiem): Do klasztoru?.. Ona?.. Księżna! Ale ja o tem wszystkim już raz całą

książkę czytałam. Może to o nich było? Chociaż nie, to już kilka lat temu! Ach Zieliński! Ja muszę poznać waszego compatyrotę! Natychmiast.

ZIELIŃSKI: Dobrze! dobrze! pułkownikowo. Czego jabym dla was, cudna Denizo nie uczynił.

MISTRESS MOYLER (chwytając go obiema rączkami): Sprezentujcie mi go! Ach! jakże wam wdzięczną jestem! Bez granic! Ale zaraz!

ZIELIŃSKI (palec do ust przykładając): Tylko rzecz jasna, ni słoweczka o tem wszystkim com mówił... (odwraca się ku głębi): Kazimierzu...

MISTRESS MOYLER (gorączkowo): Oczywiście! Oczywiście! (poprawia kapelusika i fryzury).

ZIELIŃSKI (postępując krok ku niemu): Kazimierzu! Zezwól, że sprezentuję cię pani pułkownikowej Mac-Moyler.

PUŁASKI (odrywając się od map): Ah... pardon, wybacz Jasiu... Jestem...

Pułaski spokojnie podchodzi bliżej, kłania się.

ZIELIŃSKI: Kazimierz Pułaski, jenerał kawaleryi polskiej.

Pułaski stanął tuż blisko, kłania się wtórnie.

MISTRESS MOYLER (podając mu rączkę, drżącym głosem): Bardzo mi miło poznać tak sławnego w Europie wodza... Jak wam podoba się w Ameryce, jenerale Pułaski?

PUŁASKI (całując ją z rewerencyą w rączkę): O pani! Zbytek łaski. Dziękuję. Jestem tutaj dopiero od ostatnich dni sierpniowych, w Filadelfii od przedwczoraj. Jeszcze zaiste trudno mi było... Wszystko takie inne, takie nowe.

MISTRESS MOYLER: Nie trzeba, byście się jenerale zrazili tu czemkolwiek. Boć to łatwo. Tu na Pół-

nocy sami kupcy, handlarze! dusigrosze! presbiteryany, kwakry, okropni ludzie! Ja jestem Francuzką. Urodziłam się w Kanadzie. Mnie tu w miastach wszystko przywodzi do pasy. Mam pewne obawy, że i wam tu nie będzie konweniowało.

ZIELIŃSKI: O, dlaczegóżby?.. dlaczego? Służba wojskowa wszędzie ta sama, pani Denizo! Mój zaś kuzyn poza wojenką świata nie widzi! (poważniejąc) A tu wiele będzie jeszcze do roboty... bardzo wiele!

PULASKI (całkiem nie patrząc na Denizę, dopiero teraz zapalił się): A wiesz Jasiu, że istotnie bardzo wiele... (kładzie mu rękę na ramieniu, z zapalem): Dopiero teraz przekonałem się, co to za olbrzymie teatrum wojny! (wskazuje na mapę i postępuje ku niej): Aż się w głowie ćmi formalnie, jak o tem pomyśleć...

Mistress Moyler i Zieliński idą za nim.

PULASKI (wskazując na mapie dwie wielkie czarne plamy): Niech jejmość pani dobrodziejka uprzejmie rozważy... O... tu Saratoga... a tu Savannah... Co za przestrzeń! Jak mi Bóg miły, to nie to, co u nas, Jasiu, Lanckorona i Częstochowa... Toż to nasza Sarmacya cała jak ogródek, jak podwórze naprzeciwko tego ogromu... Co?..

MISTRESS MOYLER: Ja słyszałam, że Republika Polska większa od Francuskiego Królestwa.

ZIELIŃSKI (poważniejąc): Była, była większa! Jeszcze pięć lat temu. Potem przyszło demembrement (smętnie): Zamputowały lekarze-zbóje... Umniejszyły!

PULASKI (kładąc mu rękę na ramieniu, rzeźko): Niema się czem smęcić, Jasiu drogi! My jeszcze nie Jeremiasze na gruzach Jeruzalemu. Jeszcze siedzimy na swoim. Nie trzeba żałoby wpuszczać do serca, bo się rozpleni jak chwast i zagłuszy wszystko!.. (z energią): Teraz my pomożemy braciom z za oceanu co sił starczy, a za sto lat oni nam! Byle się jąc do dzieła, odrazu! z miejsca!

MISTRESS MOYLER (z odcieniem uwielbienia): Doskonale! Ślicznie! Rzetelnie po amerykańsku! Widzicie Pułaski jak tu idzie. Tylko dotknęliście stopą tej ziemi, a już się wam pali pod nogami... Byle was tylko te liczygrosze z tabliczką w ręku nie uraziły swym przyrodzonym poziomem.

PULASKI (kładąc rękę na mapie z ogniem): Nic mnie urazić nie zdoła, piękna pani. Ja czuję, że tu naprawdę zabawa idzie na dobre... Tu jest ładny szmat ziemi Boskiej... Tu ludzie mają ogień w żyłach, tak jak my Sarmatowie dawniej... dawniej...

Drzwi z prawej raptownie się otwierają, kotara odchyła się i wchodzi z powrotem, z pliką papierów pod pachą, pułkownik Mac-Moyler. Brwi zmarszczone, twarz nadąsana i apoplektycznie czerwona. Z głową pochyloną, nie widząc nikogo, zmierza do biurka swojego, gdzie z pasyą rzuca plik papierów na stół.

MISTRESS MOYLER (lekką przestraszona): Mój pan mąż.

ZIELIŃSKI (półgłosem): Ehe! I coś niezbyt na różowo (chrząknął głośno, znacząco).

MAC-MOYLER (chrypliwie, nie odwracając się): Zieliński! (siada):

ZIELIŃSKI (z miejsca, staje w pozycji): Do usług pana pułkownika.

MAC-MOYLER (odwracając się raptownie spostrzega żonę, zrywa się): A co to? Deniza tutaj? Co się toaczy? (plasnął się w czoło): Aha, prawda, że to ja sam o południu przyjść ci tutaj kazałem... ekskuzuj.. prosiłem... (spozstrzega Pułaskiego): A tam co za jeden?

Mistress Moyler podbiega ku mężowi.

ZIELIŃSKI (biorąc za rękę Pułaskiego): Pozwólcie, pułkowniku...

MISTRESS MOYLER: Jak się miewasz Sam! Czemuś taki wzburzony?..

ZIELIŃSKI: Pozwólcie, pułkowniku, że wam sprezentuję mojego...

MAC-MOYLER (odwracając się gburnie): Nie potrzeba mi nikogo!.. Idźcie do wszystkich dyabłów! Dość mam! Denizo, przybliź się!

MISTRESS MOYLER (przestraszona): Ależ Sam! to jest...

Zieliński machnął ręką, bierze pod ramię Pułaskiego i tłomaczy półgłosem zdumionemu, kto zacz Mac-Moyler.

MAC-MOYLER (zirytowany, tupnął nogą): To jest, co jest? Daj mi święty pokój teraz. Siadaj tu, Denizo... Posłuchaj... Wyobraź sobie, co mnie spotkało... Teraz w tej chwili... (dyszy z pasji) Usiądźże raz już do kroćset kopyt dyabelskich!

Mistress Moyler siada na brzegu ławy, blisko biurka, przerażona.

MISTRESS MOYLER Mam ci gratulować?.. Nie?.. Mówżeż!

MAC-MOYLER (ocierając pot z czoła i z szyi): Gratulować? Gratulować? Imaginujżeż sobie, co mnie spotkało. Siedzą tam (wskazuje na prawo) ten plantator z Virginii, Generalissimus i Hamilton, Wayne, Lincoln, Greene, Sullivan i ten żółtodziób cienkonóżki z Paryża, ten Lafayette. I radzą, radzą, debatują. Dziś od ósmej rana! I wiesz, co uradzili? Zeby mi kawaleryi nie oddawać.

MISTRESS MOYLER: Co ty mówisz? Co ty mówisz, staruszk... A widzisz! A ja przeczuwałam.

MAC-MOYLER (podnosząc głos, wachlując się chustką): I nie tylko to! Ale dostałem po nosie... I wiesz za co? wiesz za co? Za to, że za ostrą opinię wydał o tej elukubracji... Wiesz jakiej, Denizo? Mówiłem ci przecież, do kroćset kartaczy...

MISTRESS MOYLER (surowo): Nie pamiętam. Ale nie unosi się. I nie wrzeszcz tak. (wskazuje w głąb wachlarkiem) Co sobie pomyśli o tobie jenerał...

MAC-MOYLER (machając ręką z pasją): Co jenerał. Co mnie jenerał. Djabli mi po jenerałach... Przypomnijżeż sobie... Opowiadałem Ci... Ten Węgier, czy Polak czy jakiś tam okpiświat, zawalidroga, baron Benyowszky, złożył nam memoriał, żebyśmy teraz wysłali ekspedycję na Madagaskar. Słyszysz? Kongresowi Kontynentalnemu. Dostałem ten błazeński papier do referatu i napisałem, co o tem myślę.

MISTRESS MOYLER: Napisałeś oczywiście bardzo gburowato! po swojemu.

MAC-MOYLER: Tak, po swojemu, po swojemu. Nie mogę o gnoju pisać jak o marmoladzie, do stu katów. A oni na mnie z monitem, że tem zraża się cudzoziemców dla naszej sprawy! (podnosząc głos) że Europejczycy mogą nas potem uważać za białych Irokezów! że taki baron to tego... to persona!.. No wogóle zmyli mi głowę jak u cyrulika...

MISTRESS MOYLER: Nie mogę stanowczo zdecydować, czyli cokolwiek nie mieli słuszności.

MAC-MOYLER (bijąc pięścią w biurko): A ja mogę! I ja jestem pewien, że cała słuszność po mojej stronie (rzucając papierami o biurko): Ja nie mogę seryo traktować takich elukubracji!.. (zrywając się): I wogóle dość już tych awanturników u nas wszędzie!

MISTRESS MOYLER (przestraszona patrzy ku Pułaskiemu, ucisza go): Ależ, cichoże bądź! Mogą usłyszeć!

MAC-MOYLER: Wszystkie pomyje swe stara Europa wylewa nam na głowy!

MISTRESS MOYLER: Cicho że! Na Boga Sam! Oszałałeś?..

MAC-MOYLER: Nie będę cicho! Ja muszę mówić. Mnie wściekłość zalewa! Karciarzel.. fircyki, drapichrusty, markizy, dansery z Paryża zjeżdżają się tu jak do oberży! Ale dość tego! My sobie sami damy

rady!.. Ja wiem, że to przez tego galanta Lafayette'a omi-
nęło mnie dowództwo kawaleryi... Ale czekajcie!! Ja
jeszcze mam szkockie zęby! Ja jeszcze potrafię nimi
gryźć.

MISTRESS MOYLER (rwąc go za rękaw, zirytowana):
Cichoże bądź, stary! Wstyd mi jeno robisz. Jenerał
Pułaski usłyszeć może... Ja idę stąd... Nie mogę dłużej
słuchać twych grubiaństw... Odchodzę...

MAC-MOYLER: Bardzo dobrze! Idź stąd... Tu
nie dla ciebie miejsce, Denizo!. Za dużo się tu po
Domu Niepodległości włóczy teraz cowboyów ze starego
świata! Zabraniam wogóle wdawać się z nimi w roz-
mowy. Ani słowa więcej z nimi, Denizo!

MISTRESS MOYLER (niecierpliwie): Ależ dobrze,
dobrze! Tylko uspokój się! A ja już stąd wyjdę... Nie
mam tu co dłużej porabiać. Gratulować ci nie mam
czego... Hahaha... Chodź... odprowadź mnie, rozjuszony
indyku... (patrzy w stronę Pułaskiego): Pięknieś się popisał,
niema co mówić. (zmierza w głąb):

MAC-MOYLER: Czekaj. Odprowadzę cię... Za
godzinę będę w domu (odprowadza ją ku drzwiom).

MISTRESS MOYLER (w przechodzie do Pułaskiego):
Żegnam was, panie jenerale (kiwa główką serdecznie): Żywię
nadzieję, że zobaczymy się, skoro będziemy wszyscy w lep-
szych humorach... Do widzenia! Do widzenia Zieliński!

Pułaski i Zieliński szybko podnieśli głowy z nad map, nad
którymi pochyleni omal nic nie słyszeli. I teraz kłaniają się
grzecznie.

PUŁASKI: Moje attencye przyjm, mistress Mac-
Moyler. Dziękuję za uprzejmość.

Mac-Moyler nasrożony przechodzi mimo i odprowadza żonę
na schody.

Z prawej wychodzą równocześnie bardzo powoli rozgadani
jenerałowie Sullivan, Lincoln, a między nimi w środku młodzieńki,
dwudziestoletni markiz Lafayette w francuskim białym fraczku,

chosach i przy szpadce. Stanęli jeszcze w proggu, wstecz obró-
ceni. Markiz Lafayette żegna się widocznie z kimś do drzwi go
odprowadzającym.

ZIELIŃSKI (pośpiesznie wychodząc z za stołu): Kazi-
mierzu! Już się widocznie skończyła narada... Teraz
ciebie poprosi...

PUŁASKI (przechodząc aż do mapy, poprawia na sobie
munduru i pociągnął ręką po czuprynie): Bardzobym był
ukontentowany. (niechętnie): Dyabło po dwunastej.

ZIELIŃSKI: Bądź cierpliwi!.. Teraz...

LAFAYETTE (do pokoju): Excellencyo przyjm moje
najniższe usługi. Żegnam... (kłania się i wchodzi do sali, na-
kładając kapelusz na głowę): Panowie... do waszej...

SULLIVAN: Teraz zaprowadzimy was, panie mar-
kizie do Jeffersona, na pierwsze piętro.

LAFAYETTE (słodko): Bardzo wam będę wdzięczny
panowie. Istotnie, uprzejmość wasza wzrusza mnie do
głębi serca. Cieszę się, że tych attencyi w mojej osobie
doznaje od Was słodka ma ojczyzna. Mam nadzieję
niewstrząśniętą, że dzień dzisiejszy nawiązał nici przy-
jaźni między dwoma wielkimi narodami panowie. (kłania
się każdemu z osobna głęboko, z rewerencją zdejmując kapelusz).

Jenerałowie amerykańscy wzruszeni odkłaniają się mnie
zgrabnie.

LINCOLN (wzruszony): Takie i nasze nadzieje, pa-
nie markizie.

PUŁASKI (patrzac na to z boku, nagle do Zielińskiego):
Markizie?.. Czyżby to był..

ZIELIŃSKI (potakując głową): Lafayette? Tak Ka-
zimierzu.

PUŁASKI (szybko wyciągając z za munduru dużego for-
matu list): Ależ to się świetnie zrządziło! Ja mam list
do niego!.. Czekajże... (postępuje kilka kroków ku Lafayet-
towi i jenerałom).

SULLIVAN: A teraz przejdziemy do...

PUŁASKI (przystępując do nich śmiało): Czy pan Jan Marya Roche Yves Gilbert Motier markiz de Lafayette? (wyciągnął list).

LAFAYETTE (nieco dumnie): Tak, panie.

PUŁASKI: Jestem Pułaski de Corvin. Przywożę wam, panie markizie, list od jejmości żony.

LAFAYETTE (stracił panowanie nad sobą, uradowany chwytając list): Pani! Czy być może? Ależ to Bóg mi was z nieba zsyła.

PUŁASKI: Z panią markizą miałem zaszczyt widzieć się miesiąc temu na ensemblu u jej matki, hrabiny Genowefy de Noailles. Małżonka wasza jest zdrowa. Pozdrawia najserdeczniej.

LAFAYETTE (trzymając list w ręku, zakłopotany): Zaiste. Nie godzi mi się otwierać listu od małżonki w takim momencie (patrzy na Lincolna i Sullivana): Ale gdy zważycie panowie, że od dwóch miesięcy, to jest od dnia wyjazdu, nie miałem żadnej wiadomości od tej, którą poślubiłem na tydzień przed wsiadaniem na okręt... (głos mu się załamał).

LINCOLN (wzruszony): Ależ panie markizie, proszę czytać.

SULLIVAN (gorąco): Prosimy! Prosimy!

LAFAYETTE (do Pułaskiego): Pozwolicie i wy panie... (szybko z koperty otwartej wyciąga list i czyta z pośpiechem): To siurpryza niesłychana!

Lincoln i Sullivan stanęli nieco z boku. Mac-Moyler odprowadził żonę, stał chwilę na schodkach i patrzył za nią; teraz wraca nadal nasrozony. Idzie, nie patrząc na nikogo, do swego biurka i tam siada z hałasem.

Lafayette ledwie zaczął czytać, szybko podniósł wzrok na Pułaskiego i patrzy nań zdziwiony, poczem znów szybko list przebiega wzrokiem.

MAC-MOYLER (siadając, gburnie, jakby nikogo nie było): Zieliński!

ZIELIŃSKI (szybko podchodząc staje w wojskowej postawie): Do usług pana pułkownika.

MAC-MOYLER: Mapa profilowa Saratogi.

ZIELIŃSKI: W tej chwili (biegnie do stołu):

LINCOLN (podchodzi szybko do Zielińskiego, bierze go pod ramię, półgłosem): Wasz compatriota? Tak? I wojskowy? Wyśmienitą ma postawę.

ZIELIŃSKI (uradowany): Cieszy mnie niewymownie słyszeć to, czcigodny jenerale. Oczywiście że wojskowy! Z rodziny kawaleryjskiej, ojciec, dwaj bracia, wszyscy byli w służbie Bellony.

LINCOLN (raz po raz patrząc na Pułaskiego): Zaraz poznać można, Zieliński! Przyjemnie patrzeć na takiego staremu milicjantowi!.. Nosi się jak urodzony komendant.

ZIELIŃSKI: Tak... Tak!.. To też miewał w swym ordynku Pułaski po 18 tysięcy człeka konnego.

LINCOLN (zdumiony aż rękę wysunął z ramienia Zielińskiego): Po 18.000? Ech, egzageracya!

ZIELIŃSKI: Niema egzageracyi panie jenerale! 18.000-cami dowodził konnicy szlacheckiej. Doświadczony rutynier, osobliwie w strategicznym kunszcie!.. Ebschelwitzowi i Weimarowi umiał sadła za skórę zalać!.. Może i tutaj na Majtlanda, czy Knyphauzena się przyda!

LINCOLN (zamyślony): Pewnie... Pewnie!.. Wasza ekwitacya ma renomę!.. Czytałem, słyszałem...

LAFAYETTE (podczas czytania raz po raz spoglądał na Pułaskiego): Jako? Więc? (teraz skończył czytać, podnosi list do ust, całuje): Już. (do jenerałów): Dziękuję panom po stokroć. (chowa list do kieszeni kamizelki): Ale przede wszystkim dziękuję wam, kochany hrabio (obie ręce

wyciągnął serdecznie ku Pułaskiemu): Pozwólcie wyrazić wam mą wdzięczność jak przyjacielowi... Prawdziwy to zaszczyt dla mnie, że list ten prywatnej osnowy doręczyć mi raczył jeden z najslawniejszych wojowników Wielkiej Republiki (ściska oburącz dłonie Pułaskiego): I dla mnie jakowaś dobra wróżba, że dzisiaj właśnie poznaję tak znamenitego batalistę.

Zieliński patrząc wzruszony na tę scenę nie umie znaleźć mapy wśród papierów.

MAC-MOYLER (z nad papierów zirytowany): Nuże! Będzie ta mapa, czy nie będzie?..

PUŁASKI (wstrząsając serdecznie rękoma Lafayette'a): O panie markizie. Istotnie zbytek to łaski. Opinia może za pochlebna! Łaskawe słowa listu małżonki...

LAFAYETTE: Nie! nie! panie jenerale. Jeszcze was małżonka moja nie знаła, kiedy o czynach rycerskich cuda opowiadano w salonach paryskich. Roznieśli sławę jenerała konfederatów polskich pan de Choiseul, pan Viomenil, pan de Rulhière i tylu, tylu innych... Pozwólżeż, że was zapoznam z naszymi combattantami... (do Lincolna i Sullivana): Panowie! Oto ani nie domyśliście się, że przy was... w tej sali stoi jeden z tych najslawniejszych rycerzów potężnej Republiki, co sama sobie elekcyami królów obiera!

Lincoln i Sullivan zdziwieni stają obok.

Zieliński wprost przestał szukać. Wzruszony, drżący patrzy na Pułaskiego.

PUŁASKI (zakłopotany): Panie markizie!

LAFAYETTE (prezentując): Oto hrabia Pułaski de Corvin, jenerał kawalerii polskiej, pogromca Drehwitza i Weymara, hersztów kozackich i tatarskich! Ofiaruje swe usługi nowej Republice.

LINCOLN (wyciągając rękę): Lincoln.

SULLIVAN: Sullivan!

PUŁASKI (serdecznie wstrząsając ich dłońmi): Panowie. Zaiste, markiz Lafayette zawstydza mnie swymi komplementami. Zaczynam obawiać się, czy odpowiem wprost...

MAC-MOYLER (nie podnosząc głowy nawet): Zieliński! do kroćset kopyt końskich!

LINCOLN (odwracając się do Moylera z irytacją): Nieco ciszej, jeśli łaska.

Zieliński wreszcie znalazł dużą mapę i niesie ją Moylerowi.

LAFAYETTE (wesolo): A ja się nie obawiam panie Pułaski! Nie... Ileż to, ile was nachwalił jenerał Dumoriez! A mój przyjaciel hrabia Wielhorski... Czy wy wiecie, kochani, że Pułaski z jednym szwadronem swych konfederatów szedł raz na cały pułk jegrów imienia księcia Holsztejna?.. (z egzaltacją): Doprawdy, otucha we mnie wstępuje, jeżeli tacy tutaj zjeżdżają!.. Hrabio kochany... Pójdiesz teraz z nami do Jeffersona... Poznasz tego, co artykuły wszechsławnej konstytucji amerykańskiej skoncypował...

SULLIVAN: Tak, istotnie. To dobrze się składa.

Zieliński wręcza wreszcie mapę Moylerowi.

PUŁASKI: Nie. Nie będę mógł korzystać z łaskawości waszej mościwi panowie. Na dwunastą miałem posłuchanie u jenerała Wassingtona. Właśnie czekam tu z bijącym sercem.

LAFAYETTE (niespokojnie): Na Boga! Czy tylko masz jenerale stateczne rekomendacje?.. Obawiam, się, by nie zaszła jaka pomyłka... Zważ, kochany hrabio, że tutaj oprócz takich jak Ty, zjeżdża moc filutów uciekających przed długami, wicehrabiów co się zgrali w farłona, i wprost raubrytterów!

Dzwonek przy kotarze zadźwięczał. Vanderwild znika za kotarą.

PUŁASKI (wyciąga z za munduru większego formatu list): Jestem spokojny, panie markizie. Pan de Rulhiere był łaskaw zawieść mnie do Passy do...

LINCOLN (zaciekawiony): Do starego Bena?

PULASKI (z uśmiechem): Tak! Do zacnego Benjamina Franklina, qui eripuit fulmen coelo sceptrumque tyrannis!

SULLIVAN (ciekawym): I może on?

PULASKI (rozkłada list i pokazuje): I oto list tego człowieka, którego macie zaszczyt panowie mieć swoim komissjonerem w Europie. Dał mi do Wassingtona (wręcza list Lafayettowi): Czytajcie panie markizie! Proszę... I czy starczy, powiedzcie?..

Lafayette szybko przegląda. Nachyleni nad nim Lincoln i Sullivan.

LAFAYETTE (czytając): „Drogi Panie! Hrabia Pułaski officyer słynny w Europie z odwagi i z postępów swych, obrońca wolności kraju swego przeciw trzem potęcom, Austrii, Prusom i Imperatorowej Jekaterinie będzie miał zaszczyt doręczyć ten list. Dwór tutejszy zachęcał go do tego wyjazdu i popierał w przekonaniu, że hrabia może być wysoce użytecznym w naszej służbie... Dodaję więc własne me życzenia, aby mógł generał Pułaski znaleźć pod dowództwem Waszej Excellencyi sposobność do odznaczenia się...“

LINCOLN i SULLIVAN (wzruszeni ściskają ręce Pułaskiego): Gratulować! gratulować!

SULLIVAN (jeszcze nie wierząc): A podpis?

LINCOLN (z radością): Benjamin Franklin. — Jest! Kotara się odchyła. Sierżant Vanderwild we drzwiach z karteczką.

VANDERWILD (czyta z kartki): Generał kawaleryi Pułaski do Jego Excellencyi!

PULASKI (wzruszony). Aha... Otóż i moja godzina! (odbiera list od Lafayette'a).

LINCOLN (do Lafayette'a, plasnąwszy się w czoło): Ale, oto i rozwiązanie kwestyi, nad którą debatowaliśmy tyle godzin. Nie? Panie markizie!

LAFAYETTE (uradowany): Toć prawda, jenerale Lincoln... Trafia nam się doskonale! (do Pułaskiego, który poprawiwszy mundur wyciąga doń rękę na pożegnanie): Czekać hrabio Pułaski! Idziemy razem. Nie mogę sobie odmówić zaszczytu asystowania przy waszym poznaniu!.. Co więcej! Generał Lincoln błysnął świetnym pomysłem. Idziemy wszyscy.

SULLIVAN: Coprawda, już nad taki list starego Bena z Paryża lepszej rekomendacyi być nie może.

LINCOLN: Jeszcze mało! Jeszcze mało, Sullivan. (dobitnie): Zważ, że hrabia Pułaski jest specjalnie... kawalerzystą!

LAFAYETTE: Chodźmy, już, chodźmy... Excellencya czeka... Excellencya się zdziwi, że ja wracam... Pozwól, hrabio Pułaski, że pójdę pierwszy.

SULLIVAN (dorozumiał się): Aha! Już wiem, Lincoln! Już wiem!

PULASKI (odwracając się ku Zielińskiemu): Jasiu. Ja idę! Czekaj tu na mnie...

ZIELIŃSKI (uradowany, podniecony): Czekam Kaziemierzu! Czekam. Z bijącym sercem czekam.

Sierżant Vanderwild odsłonił kotary. Pierwszy wychodzi Lafayette, drugi Pułaski. Za nimi Lincoln i Sullivan.

MAC-MOYLER (dopiero przed chwilą podniósł głowę i patrzy): Cóż to za paryskie błazeństwa znowu. He?..

ZIELIŃSKI (grzecznie, kostycznie): Nie takie może błazeństwa, jakby się wydawało.

MAC-MOYLER: Co za ceremonie wyprawiają z tym Hiszpanem? (splunął w kąt, bierze liść i gryzie znowu): He?

ZIELIŃSKI (stojąc przy nim z cyrklem w ręku): To nie Hiszpan. Skądże znowu...

MAC-MOYLER: O, to danser z Wersalu... Co-tillon czy papillon?.. Chevalier de Szuler?.. Tak?..

ZIELIŃSKI: Nie! (twardo): To Kazimierz Pułaski, kawalerzysta pierwszej klasy. Bił się w Polsce, w Turcyi, w Wołoszczyźnie. Sułtan go baszą mianował... A jaki z niego danser, jak umiał zatańczyć z takim Drehwitzem par exemple to ja pułkownikowi opowiem. Było to pod...

MAC-MOYLER (odwracając się, chrypliwie): Nie ciekawym!.. Nie ciekawym! Schowajcie Zieliński, dla siebie. To moja Deniza wierzy ślepo w tych rycerzów ze śmierdzącej Europy... Ja nie..

ZIELIŃSKI (drażniąc się): Szkoda. Wiele by się pan pułkownik ciekawego dowiedział (dobitnie): To są nawet rzeczy pouczające.

MAC-MOYLER: Jak dla kogo... jak dla kogo... My się musimy interesować tylko tem co się teraz dzieje tutaj... o... Trzeba tylko porządnie patrzeć w mapy... (bije dłonią w mapę): A dzieje się wszystko pod psem... Tylko patrzeć sztafet z pod Saratogi. Zapłacimy my za to wszystko! Oj! Zapłacimy! Odechce się nam niepodległych Stanów. Odechce! I będzie się płaciło za herbatkę cło...

ZIELIŃSKI (z irytacją): Jak pułkownik może mówić coś podobnego!

MAC-MOYLER: Mówię, bo mam mapę przed gąłami. Nie mówię na wiatr... Tylko co widzę. Pod Saratogą jest fatalnie i już.

ZIELIŃSKI: A ja utrzymuję, że pod Saratogą jest świetnie. Obwarowania pod Stillwater są nie do wzięcia! Zachodni brzeg Hudsonu jest pewny. Reduta dodana.

MAC-MOYLER: Aha. Pewny. Oczywiście. Dlatego bo to miejsce compatriota wybrał?.. Tak?.. Ano zobaczymy. Ja tam jeszcze w naszego Arnolda coś wierzę! Ale Burgoyne ma najlepsze plemiona kana-

dyjskich Indyan i Majtlanda... Rozumiesz pan! Co tam dla nich blockhauzy i ostrokoły Kostjuski. Rozniosą to w tydzień!.. (machnął ręką z pogardą): Ech, wogóle! Co z motyką na słońce się porywać! Cztery lata wojny i nic... nic!.. Same debacle. Nowy York w ręku Torysów. Na dole samym Savannah też w ręku Torysów. (głośniej): A co będzie jak Bourgogne teraz przetnie komunikacje i związek między Północą i południowymi koloniami?.. Hę?.. Kto nam wtedy pomoże? Hę? Chevalier Armand? Czy Montfort? Czy Chotkowski, czy wasz Benyowszky... Hę?..

ZIELIŃSKI: Zobaczymy. (w pasyi): Może... może...

Na schodkach w głębi stanęły siostra Angelika i siostra Marta. Rozmawiają z murzynem.

MURZYN (u drzwi, do sierżanta, głośno): Mister Vanderwild!

Sierżant idzie ku schodkom. Rozmawia z siostrami.

MAC-MOYLER (jadownicie, siadł na stołku, jak na koniu, twarzą do poręczy i wodzi wzrokiem za porządkującym na stole w papierach Zielińskim): A te koszta! Te wydatki! Boże! Abrahama, Izaaka, Jakóba! Te krocie dolarów co idą na tą zabawę! I skąd już brać? Niby obiecano z Holandyi! z Hiszpanii! od tych waszych Burbonów! Ale jakoś nie przychodzą. A w kasach Kongresu Kontynentalnego pustki! pustki!.. Ja wiem coś o tem, Zieliński... A cudzoziemcy też odpłyną, jak dolarów nie będzie... Prawda?..

ZIELIŃSKI (kpiąco): Prawda.

Sierżant Vanderwild wchodzi. Murzyn w głębi przepuścił siostry do sali. Obie młode, białe ubrane, co nieco po zakon-nemu, a co nieco jak Siostry Miłosierdzia.

SIERŻANT VANDERWILD (staje wojskowo przed pułkownikiem): Siostry Angelika i Marta z Betlehem chcą się rozmówić z panem pułkownikiem.

MAC-MOYLER (zdumiony, kpiący): Skąd? Jakie siostry?..

SIERŻANT: Z Betlehem. Z zakonu czeskiego.

MAC-MOYLER (zdumiony): Z Betlehem? Niema takiego (splunął daleko): W Betlehem się Chrystus narodził. Ale to jest w Palestynie! W Europie, tam gdzie Polska. W koloniach niema takiego!

ZIELIŃSKI: Pułkownik wybaczy, ale jest... (dobitnie): Trzeba tylko porządnie patrzeć w mapy. Jest Betlehem. W górach Leigh... Pensylwania... Tam jest gmina Sióstr i Braci Czeskich.

MAC-MOYLER: Jakich?

ZIELIŃSKI (niecierpliwie): Braci Czeskich! Taka gmina religijna... (odwraca się tyłem): Niech pułkownik te damy zezwoli prosić, to się dowie o co chodzi.

Siostry stają w korytarzu.

MAC-MOYLER (do Vanderwilda): Jazda. Mogą wejść... (splunął tytoniem): Będzie zabawa z takimi dziwadłami.

Zieliński idzie ku mapie na ścianie z lewej.

ZIELIŃSKI (wskazując na mapie): O tutaj! Betlehem. Trzeba tylko porządnie patrzeć w mapy...

Sierżant Vanderwild wraca na swoje miejsce.

Wchodzą skromnie Siostry i kłaniają się.

MARTA: Niech będzie pochwalony Bóg Wszecmiłosierny.

ANGELIKA. Pokój domowi niepodległości.

MAC MOYLER (nagle żegna się pobożnie trzy razy, kłania się): Amen. Amen! Alleluja!

ZIELIŃSKI (kłaniając się, poważnie): Na wieki wieków Amen.

SIERŻANT VANDERWILD (żegna się również): Amen. Amen. Alleluja.

MAC-MOYLER (oparłszy się na krzesło, szorstko): Panie do mnie. I z czym?

MARTA: Racz nas nazywać siostrami, bracie pułkownika.

MAC-MOYLER: Owszem proszę. Jeżeli to siostrą przyjemność sprawia mieć ze mną wspólnego rodziciela.

ANGELIKA: Wspólnym rodzicielem nas wszystkich jest Bóg sprawiedliwy. Tylko na ziemi jedne dzieci idą od Abla, drugie od Kaina.

MAC-MOYLER: Wiem coś o tem. Choćby ze Starego Testamentu, który codzień czytam przed spaniem. Ale cóż panie?.. cóż siostry sprowadza do mnie z tak daleka?..

ANGELIKA: My przyjeżdżamy ze skargą... My edziemy trzy dni i trzy noce, aby zyskać sprawiedliwość od Wydziału Wojny. Sprawiedliwość na podwładnym waszym, bracie pułkownika.

MAC-MOYLER: Aha rozumiem. Domyślam się. Któryś z moich dzielnych zuchów dorwał się ze swym szwadronem do waszego gniazdka.

ZIELIŃSKI (patrzając na stojące wciąż siostry, zirytowany do Mac-Moylera): Z alteracyi zapomniał pułkownik prosić siostry spocząć cokolwiek.

MAC-MOYLER (zawstydzony, wskazując ławkę): Ależ proszę... proszę... Istotnie...

MARTA (do Zielińskiego): Dziękuję wam bracie. Nam nie przystoi siadywać pod obcym dachem. Dziękujemy.

MAC-MOYLER (kpiąco do Zielińskiego): A Zieliński. Widzicie teraz! Nie wolno! Ot co? A panie do jakiej sekty właściwie? Nowy revival? Tak? (kpiąco): Nowe Odrodzenie? Co jest w tem Betlehem? Uniwersaliści, czy Ikaryanie, Anabaptyści? Co to?

ANGELIKA: Nazywają nas rozmaicie. Że dziadowie niektórych z nas wywędrowali z Herrnhut w Europie, więc nas zwano Herrnhuternami. Inni znowu nazywają nas Bractwem Czeskim z tejże samej przyczyny. Jeszcze inni zowią nas Braćmi i Siostrami Polskimi.

ZIELIŃSKI (który przysłuchiwał się ciekawie, zdumiony): Co? Braćmi polskimi? Dlaczego? (przystąpił bliżej): Dlaczegoż to, wielebne panie?

MARTA: Dlatego, bracie, że wielu z naszych dziadów ongiś, ongiś bardzo już dawno, cierpiąc straszliwe prześladowania schroniło się do Republiki Polskiej. Stamtąd dopiero wywędrowali nasi dziadowie aż za morze, do Nowego Świata.

MAC MOYLER (niecierpliwie): Ehe, dobrze, dobrze... Ale teraz jak wasza gmina nazywa się? Co to jest? I z czym do mnie właściwie? (siada na krześle):

ANGELIKA: My się nazywamy Chrystyanami. Żyjemy zdala od miast i osad ludzkich w zaciszu starych lasów. Tam mamy swoje dworki, ogródki i pola, które uprawiamy. Wszystko jest własnością wszystkich. Nie mamy ni sędziów, ni żołnierzy. Chociaż dokoła nas koczują najdziksze szczepy czerwonoskórych, włos jeszcze nikomu nie spadł z głowy! Ni jeden z braci naszych, ni jedna Chrystyanka nie zniknęła z oblicza ziemi śmiercią nieprzyrodzoną.

MARTA: Tak... Możemy sobie powiedzieć z pokorą, że Królestwo Boże jest w naszym Betlehem. Raczej, że było... (z żalem): Tymczasem bowiem zwiedził się o naszej Gminie szwadron waszych grzesznych opętańców! (z oburzeniem): I pewnego dnia spokojnego wpadli niby to za furazem do naszego Betlehem ci dzicy Filistynowie i rozpoczęli swój piekielny regiment. Na co nigdy nie wazyli się Irokezi, ni ludożercy z puszczy, skalpujący białe twarze, na to zdobył się dowódzca waszych dzikich jeźdźców przez Belzebuba opętanych.

MAC-MOYLER: Ho... ho... ho... Ciekawym, co takiego straszego?

ZIELIŃSKI (z oburzeniem): Dosięgnie niegodziwca sprawiedliwość, kochane Siostry. Są jeszcze szeryfowie w Filadelfii! I mamy tu szubienicę na Common place.

MARTA (surowo): Szubienicą się obłędu nie leczy, bracie officyerze! Ten biedny szaleniec działa rzekomo w obronie pogwałconej wiary. Uważa nas za gniazdo odszczepieńców i heretyczek. I w imię wyższości swojej wiary dopuszcza się na nas przemocę. Zarekwirował nam wszystkie zapasy, rozkwaterował się ze swoimi gburami w białych domach sióstr, bezczęści nam zbór nasz, wyszydza nasze prawa i zwyczaje! Odkrywszy zaś nasze składy miodu, dzień w dzień przebierając miarę opija się tem słodkim niewinnym napojem, aż do utraty przytomności! A z nim jego przekłęci rajterzy!..

MAC-MOYLER (zdumiony, ale i rozgniewany): Wszystko dobrze! wszystko dobrze... ale kto to? Kto był odkomenderowany w tamte strony, Zieliński?

ZIELIŃSKI (zakłopotany, niespokojny): Nad rzeką Leigh?.. Hrabstwo Northampton?.. Doprawdy nie przypominam sobie... Zaraz zajrzę... (biegnie do stołu w głębi).

ANGELIKA: Dostrzegłszy jak strasznie jest opętany przez złego ducha ziemi, próbowaliśmy pogodzić z Chrystusem tego kapitana piekielnego. My i bracia nasi tłumaczyliśmy mu prosto jasne przykazania naszego zakonu. Eksplikowałyśmy mu, że nie wiara, ale dobre uczynki, dobre uczynki tylko moszczą Chrystusowy gości-niec do zbawienia. "

MAC-MOYLER (żachnął się): O, to nieprawda! To nieprawda. Wierzyć trzeba przedewszystkiem. I praktyki swej wiary odprawiać moja Siostro.

MARTA: Jak uważacie, bracie pułkowniku. Tymczasem zaś waszego kapitana maxymy te doprowadzały

właśnie do coraz sroźszej pasyi. Wściekły ten człowiek sądzi, że on ma wiarę najlepszą i jedyną! Wykrzykuje wciąż o swojej sekcie, która się zwie Sodalisami! to znowu nazywa się konfederatem. Właściwie zaś jest tylko pijakiem. Upija się miodem, krzykiem własnym i słowami. Po angielsku mówi jak murzyni z Georgii! Jest cudzoziemcem.

MAC-MOYLER (zrywa się, uradowany): A więc cudzoziemcem znowu! Zieliński, słyszycie? (zacierając rękę) Cudzoziemcem?

ZIELIŃSKI (od stołu, podnosząc papier w rękę, smętnie): Niestety! tak... To może być tylko kapitan Chotkowski.

SIOSTRA MARTA i ANGELIKA (odwracając się szybko): Tak. Jest... Jest to Kotkoski! Kotkoski!..

ANGELIKA: Tak! To jest największy wróg „ludu Bożego“. To jest Herod żydowski w spokojnym, cichym Betlehem. Przeciw niemu wzywamy waszej pomocy. Sami nic poradzić nie możemy, gdyż nam żadnej broni do ręki wziąć się nie godzi! Nie uznajemy miecza i prawa miecza! Nawet przed złem największym opierać się nam przemocą jest potępieniem.

MAC-MOYLER (zadowolony przeciąga się w ramionach, splunął daleko): Wszystko słusznie! Wszystko słusznie. Doskonale! To wszystko teraz musicie, kochane siostry, wypisać na papierze... Kapitan Chotkoski pójdzie pod Sąd wojenny. Niema rady... niema rady... (złośliwie): Co myślicie o tem, Zieliński?..

ZIELIŃSKI (wzruszając ramionami, poważnie): Bezwarunkowo tak, pułkowniku! W miarę jak zawinił, spotkać go musi zasłużona kara...

Teraz z daleka z miasta dobiegają hałasy... I słyhać daleko jeszcze grane w takt marsza: Yankee Doodle!

Murzyn Black wychylony za schody patrzy w prawo w ulicę.

BLACK (uradowany woła w salę): Vanderwild! Vanderwild! Chodźcie tu!

Vanderwild biegnie ku schodom.

MAC-MOYLER (do Zielińskiego): Prawda? I to surowa kara! Musi się raz temu wszystkiemu koniec położyć! Tym paniczom z za Oceanu trzeba trochę nosa przytrzeć... Od chevaliera Chotkoski się zacnie! (zacierając rękę):

Słyhać kapelę nieco bliżej. Okrzyki, gwizdy, świsty już cokolwiek bliższe, ale jeszcze jakby z trzeciej ulicy.

Zieliński idzie do swoich pistoletów i wiąże teraz po sześć sznurkiem w pęczek. Jest nieco zmartwiony i powstydzony.

MARTA (do Moylera, surowo): Uprzedzam tylko pułkownika, że my żadnej kary nie domagamy się... Ządamy tylko od Wydziału Wojny, aby szwadronowi dzikich jeźdźców natychmiast kazano opuścić osadę Betlehem.

MAC-MOYLER (gburnie wskazując na drzwi z lewej, dotychczas zamknięte): To już rzecz nie wasza, kochane siostry... Teraz proszę za mną, tam, do tamtej kancelaryi... O...

MARTA (biorąc za klamkę, stanowczo): Nie, bracie pułkowniku. To jest wyłącznie rzecz nasza. Jeżeli kapitanowi Kotkoski ma grozić sąd wojenny, my bezwarunkowo wszystkie nasze zeznania poczynione odwołać musimy! My żadnej kary się nie domagamy... Co więcej! My do żadnej kary z przyczyny naszej gminy nie dopuścimy.

MAC-MOYLER (otwiera sam drzwi z klamki, pchnął drzwi i wskazuje ręką): Wszystko dobrze! Wszystko dobrze!.. Zobaczmy... Tymczasem powtórzy pani to wszystko kongresmenowi Dickinsonowi. Służę siostram. "

Siostra Angelika i Marta ociągając się, niechętnie wychodzą.

Okrzyki i szmer tłumu słyhać cokolwiek bliższy. Nagle zgoła w pobliżu zerwał się): Hip! Hip! Hurra! I widać przebiegającą przez ulicę ku lewej garść ludzi. Niektórzy rzucają kapelusze w górę.

Zieliński zdumiony, z pękiem pistoletów w ręku odwrócił się ku drzwiom.

MAC-MOYLER (z ręką na klamce w progu, zaniepokojony): Vanderwild!..

Przez korytarz w głębi przebiega ku lewej dwóch wojskowych.

MAC-MOYLER (zniecierpliwiony, głośno): Vanderwild!..

VANDERWILD (przybiegając od schodów i staje po żołniersku): Służę, panie pułkowniku...

MAC-MOYLER: A tam co za hałasy, spróchniała szkapo?

VANDERWILD (gorączkowo): Nie zdaję sobie jeszcze sprawy, pułkowniku. Alejami do Independence Hall jedzie trzech kuryerów! Ze sztafetami widocznie! Otoczył ich zbity tłum ludzi! Będzie kilka set! Za nimi wali kapela! Coś krzyczą i krzyczą... Ale jeszcze nie dosłyszałem co...

MAC-MOYLER (wzgardliwie): Jak usłyszysz, to mi przyjdź powiedzieć (zatrzasnął za sobą z pasą drzwi).

VANDERWILD: Bezwarunkowo, panie pułkowniku!

BLACK (ze schodów): Vanderwild! Vanderwild!

VANDERWILD (biegnąc ku schodom): Lecę, Black! Lecę!

Gwar się zbliża. Słysząc kapelę dokładniej. W gmachu jakaś bieżąca po schodach i otwieranie okien! Okrzyki z pobliza wyraźniejsze:

„Jefferson na balkon! Washington na balkon... Mówić! Mówić! Jenerał Gates zwycięzca! Niech żyje Gates! Niech żyje Arnold! Niech żyją Stany!”

Zieliński słuchał wyprężony jak struna. Nagle dosłyszał pierwszy okrzyk. Pęk pistoletów wypadł mu z ręki, chwytając się za pierś. Niepewnym, chwiejnym krokiem biegnie ku schodom w głębi. I teraz widać przez okna, jak tłum wchodzi na plac.

Wszyscy mają zielone gałazki przy kapeluszach. Kapela gra za nimi, już donośniej, tłumiona przez radosny szmer tłumu. Okrzyki:

Jefferson na balkon! Washington na balkon! Washington mów! Mów! (I nagle okrzyk głośniejszy wszystkim): Wiktorya pod Saratogą! Burgoyne kapitulował! Burgoyne kapitulował. Górą Stany Zjednoczone!

Drzwi z prawej i lewej raptownie otwierają się. W korytarzach pełno, zaroilo się. Murzyn Black jakby się wściekł z radości, tupie, skacze, wreszcie wydobywa z siebie przeraźliwy świst.

Z drzwi z prawej wychodzą szybko Sullivan, Lincoln, Lafayette rozpromienieni, wzruszeni. Za nimi jacyś wojskowi i cywilni. Mocno skonfundowany Mac-Moyler wychodzi również.

LINCOLN (wpadając macha chustką do starego urzędnika z lewej): Livingstone! Burgoyne kapitulował!..

SULLIVAN: Hurra! Hurra! Vivat Gates! Vivat Gates!

OKRZYKI Z ULICY: Puszczają kuryerów! Puszczają kuryerów!

Widać jak tłum się rozstępuje. Lincoln z jakimś urzędnikiem we fraku padają sobie w objęcia. Przez tłum środkiem przechodzą na schody dwaj kuryerzy. Wojskowi, od stóp do głów kurczem i błotem pokryci, w wysokich palonych butach. Tłum wciska się za nimi.

Vanderwild rozchyła portyerę i otwiera szeroko drzwi do sali z prawej. Tworzy się jakby szpaler z wojskowych od drzwi z prawej aż do schodów. Pierwszy wchodzi wysoki kuryer.

OKRZYKI: Kapitan Knox! Kapitan Knox!

SULLIVAN: Vivat Knox!

Wszyscy powiewają chustkami ku pierwszemu kuryerowi. Jeden z oficerów szybko go pocałował. Knox uradowany.

KAPITAN KNOX (do Sullivana): Vivat Gates! Vivat Arnold! Vivat Kostjuszki!

MAC-MOYLER (we drzwiach do tłumu, głośno, chrypliwie): Gdzie? Gdzie to? Nie pchać się! Jeszcze co?.. Porządek przedewszystkiem!.. Jazda stąd! Nie pchać się tu!

Knox zmierza ku drzwiom z prawej i wychodzi. Vanderwild zamyka za nim uroczyście drzwi.

Korytarz pełny. Drugi kuryer staje uwięziony w tłumie.

OKRZYKI: Wilkenson zostanie! Wilkenson niech nam opowie! Wilkenson na stół! Mów! Mów!..

LINCOLN (uradowany zaciera ręce): Wilkenson mówciel!

WSZYSCY: Mów! Mów! Jak było pod Saratogą? Mów!

Tupią nogami, wywijają chustkami, ściskają się. Kilku podniosło w górę drugiego kuryera i stawiają na stole w głębi. Inni stają na krzesłach, na oknach do korytarza, na ławie.

OKRZYKI: Kapela cicho! Kapela cicho! cicho! Niech żyje Gates! Niech żyje Konfederacya!

WILKENSON (zaczyna): Była godzina siódma rano, Amerykanie! 17 października. Zapamiętajcie sobie ten dzień!

TŁUM CAŁY: Siedemnasty października!

Lafayette stanął na biurku. Obok niego siadło, stanęło kilku obcych ludzi. Już widać kobiety, dzieci, starców.

Z boku stanęli Pułaski, Zieliński, pod mapą. Zieliński słucha pierwszych słów, zaniepokojony, blady, trzymając kurczowo dłoń Pułaskiego.

WILKENSON: Stary Gates wypił swą filiżankę żuru owsianego! Nie herbatę! Nie herbatę!

TŁUM: Precz z herbatą! Nie herbatę!

WILKENSON: O siódmej rano parol w bębny bić kazali dobozom! O 8-ej przyszli prosić o pardon! O 9-tej zaczęły składać broń dywizje. Tego dokazał Generał Arnold! Ten wytrzepał starego lowelasa z Londynu jak kołdrę...

TŁUM: Vivat Arnold! Hip, Hip, Hurra!!

WILKENSON: Burgoyna zdradzili Huroni! słyszyście? A myśmy zabrali 5 tysięcy strzelb i dziesięć wozów z amunicją i 30 armat przywlekliśmy!

TŁUM (z podziwem krzyząc i tupiąc): 30 armat! 30 armat!

WILKENSON: A teraz wiecie kto wybrał miejsce dla batalii? kto oszańcował, kto wytyczył rowy? kto w ostatniej chwili dodał jeszcze nową redutę na zachodnim flanku, na górach nieco niżej od Highs? Komu oncle Gates przypisuje połowę wiktoryi? Jak się ten nazywa? ile ma lat?.. Zgadnijcie!

TŁUM (zafalował; okrzyki): Romond! Baldwin! Hay! Schuyler! Hunger! Schuyler!

WILKENSON: Skądżeby Schuyler? Ten wszystko zepsuł! Otóż nie rodacy! Ten gentleman geometra, ma lat trzydzieści! Nazywa się Taddeus Kostjuszko! Jest Polakiem! (wyciągnął z za munduru sztandar gwiazdzisty): Hurra Republika Polska! Nasza Starsza Siostra z Europy! Hurra Polacy! Hurra Kostjuszki! (wionął nad tłumem gwiazdzistym sztandarem).

TŁUM (w sali powiewa chustkami, kapelusami i krzyczy): Vivat Gates! Hurra Arnold! Kostjuszki!! Precz z tyranami! Precz z Jerzym! Royaliści do Windsoru! Hurra Poland!..

Zieliński wzruszony wybucha płaczem. Pułaski przytula go do piersi, gładzi ręką po włosach, uspakaja... Lincoln od chwili już naradzał się coś z Lafayettem. Teraz wskakuje na krzesło. Lafayette podaje mu rękę. Lincoln wskakuje na biurko i macha chustką, wzywając by się uciszono.

SULLIVAN: Obywatele! obywatele. Jenerał Lincoln pragnie mówić!

Hałas i rozgwar. Kapela na placu intonuje znów Yankee Doodle.

LAFAYETTE: Obywatele! Jenerał Lincoln! "

Rozgwar nie ucicha.

LINCOLN (starając się hałas przekrzyknąć): Obywatele i żołnierze! Chcę wam tylko drugą szczęśliwą nowinę dziś donieść... Obywatele!

OKRZYKI: Cicho! Cicho tam! Lincoln mówi!

LINCOLN: Mianowicie... mianowicie. Excellencya generalissimus obywatel Washington mianował dziś w porozumieniu z Wydziałem Wojny, głównym dowódcą kawaleryi Trzynastu Stanów Zjednoczonych Polaka Pułaski... sławnego confederatę z Poland! Polaka!.. Tam! (wskazuje szablą w róg sali): Hip! hip! hurra!

Mac-Moylera z boku aż zatkało. Stoi z otwartymi usty jak rażony piorunem.

Wszyscy patrzą w róg sali. Zieliński wdrygnął się z radości, przeciera oczy zapłakane. Tłum klaszcze, krzyczy, tupie.

Lafayette macha trójgraniastym kapeluszem.

LINCOLN: Miejmy nadzieję, że i ten młody nasz partizant zwyciężać będzie także!

PUŁASKI (wskakując na ławkę, kłania się tłumowi i Lincolnowi): Miejcie! wszyscy! Zaufania nie zawiodę. Zwycięzę lub zginę. Nic trzeciego! Bądźcie pewni! Tak mi Boże dopomóż! (ręką posyła całus staremu Lincolnowi).

Dzwon stary z Indenpendence-Hall zaczyna dzwonić.

Kapela gra „Yankee doodle“.

Kurtyna wolno spada.

AKT II.

Gospoda Hyphena przy drodze do Chester. Izba szynkownia na piętro wysoka. Pułap i ściany z ciemnych tarcic, u pułapu poprzeczne bele ze starego ciemnego dębu. Wzdłuż całej ściany tylnej na wysokości pierwszego piętra ganek szeroki, do którego prowadzą spadziste, strome schody, zaczynające się po lewej stronie widza, tuż z bliska, zaraz za drzwiami wiodącymi do bocznej komory. W ścianie lewej na wysokości pierwszego piętra trzy okna. Pod gankiem obszerny szynkwias, oddzielony od izby szeroką, mocną drewnianą kratą, dochodzącą aż do ganku; w bufecie na półkach flachy i gąsiory, na ladzie misy cynowe z mięsiwem. Z prawej od widza wrzeciędzie szerokie z belką poprzeczną w środku, rozwarte ku izbie; głębiej okno długie na 2 metry, wąskie. Izba bez podłogi, z ubitej gliny, w środku izby w glinie wgłębienie, w wgłębieniu ognisko z olbrzymich kłód; nad ogniskiem trzy pręty żelazne w kozła ustawione, na których wisi żelazny kocioł. Pod długim oknem wzdłuż ściany długi stół na zydlach, przy nim dwie ławy proste z mocnymi oparciami. Nad gankiem w głębi trzy prostokątne podłużne okna tuż pod pułapem, zakratowane. Na ganku pod oknem środkowym długi stół, przy nim ławy. Ganek w części zasłonięty szarem zgrzebnym płótnem, które zawieszono na drucie umocowanym wzdłuż całego ganku, tak że każdej chwili cały ganek wraz z balaskami da się zasłonić.

W dwóch miejscach zwieszają się z pułapu na drutach dwie lampy oliwne z okrągłymi blaszanymi umbrami.

W okolo ogniska w środku pół okrągłe dwie ławki, dla zziębniętych, którzy chcą się rozgrzać — Izba zadymiona, ciemna i ponura. Wogóle nieporządek i nieład. Przez okna i drzwi z prawej widać las odwieczny. Gałęzie dochodzą aż do okien, przez rozwarte szeroko drzwi do izby i na próg. Z kociołka bucha para na całą izbę. Dym z ogniska rozsuwa się sinymi mgłami po oberży i aż dławi. Nad wieczorem. — Po izbie krząta się para oberżystów. Stary Hyphen, krępy, opasły, napuchły i odrażający, w wysokich połowych butach, w czerwonej koszuli, kamizelce i futrzanej czapce na głowie; ona wymokła, chuda, z czerwonymi odmrożonymi rękoma.

Oberżysta rozkłada na stole talerze cynowe, licząc na głos: raz, dwa, trzy. Oberżystka stoi przy kociołku i grzebnie.

Ze dworu słychać szum odwiecznego boru i od czasu do czasu przenikający, ale przytłumiony głos trąbki.

OBERŻYSTA (chrypliwie): Zapieraj drzwi Bertie!

OBERŻYSTKA (nie słyszała, poprawia kłody ogniska).

OBERŻYSTA: Zapieraj drzwi, Bertie! Już dym się rozszedł na dwór! Słyszysz?

OBERŻYSTKA (jakby zbudzona): Aha... Zaraz, zaraz, Fernand... Zamykam... Tylko żeby nie śmierdziało... Wczoraj kleli... (biegnie drepając do drzwi z prawej).

OBERŻYSTA: Nie gadaj próżno... Ilu ich będzie? Bertie!

OBERŻYSTKA (zamykając z trudem drzwi): Zamykam, zamykam... Czternastu, jak wczoraj!.. Ale o północy zdaje się, już wybierają się w drogę... Drzwiczki małe zostawić otwarte, Fernand?..

OBERŻYSTA: Naturalnie! Małe zostaw...

Oberżystka zamknąwszy wielkie drzwi, zostawia w nich małe otwarte i wraca.

OBERŻYSTA (trzasnąwszy ostatnim talerzem cynowym): Ach, byleż już raz wybrali się w drogę, do stu dyabłów! Co to za zarobek od takich obdartusów... Nic, tylko fasola ze słoniną, słonina z fasolą. Polędwice z dzika co go sami upolują. A pić nic... nic...

OBERŻYSTKA: Tak, to prawda Fernand. Mało pijają ci rebelizanci!

OBERŻYSTA (podchodząc bliżej): Co mało?.. Nic! Obrzydłe dziady te! A ceremonie są i kłopoty i niebezpieczeństwo! Niech się tylko wywiedzą Torysi, że te obszarpańce tu u nas mieszkały, spalą z kretesem budę w jedną noc (weselej): Szczęściem, zem zapobiegł temu już... Zem się tajemniczo asekurował...

OBERŻYSTKA (przestraszona, palec na ustach kładzie): Cicho, na Boga, Fernand!.. Toż szyldwach przed drzwiami może usłyszeć... Jak możesz...

OBERŻYSTA: Już... już... No idź już do tego ogniska. Za kratę!.. Rum gorący przygotuj... Imbiru do rumu nasyp... Trzeba nalewać im dzisiaj nieco suciej... Jak wypiją nad miarę zwyczajną, to się może wygadają znów z czemś nowem. Hihhi...

OBERŻYSTKA (odchodzi od ogniska, nasłuchując): Fernand! Ktoś jedzie drogą... Słyszę trzaskanie z bicza... o!..

Słychać tupot koni i skrzypienie kół.

OBERŻYSTA (idąc ku drzwiom z prawej): Ach, żeby też Bóg dał raz kogoś bogatszego! (staje w progu) Aha... Jadą na drodze od Chester. Może z Filadelfii ktoś? Trzy konie w zaprzęgu (gorączkowo): Bertie! przygotuj komorę, otwórz drzwi! Musi być żona któregoś z jenerałów, bo landara... duża landara...

OBERŻYSTKA (otwiera drzwi komory z lewej, znów stanęła, nasłuchuje): A strzelanie słyszysz?

OBERŻYSTA (zirytowany): W głowie ci strzela, Bertie! To z wczorajszej nocy zostało ci echo w uszach. Dziś spokój w całym lesie... aż miło (patrzy wciąż przez drzwi na drogę): Pewnie ich gdzieś znów wytłukli porządnie! To się i uspokoili.

OBERŻYSTKA: Tak myślisz? A może... A słyszałeś Fernand, tego korneta co mówił, że już New Garden zajęty?

(Oberżystka weszła na chwilę do komory z lewej).

OBERŻYSTA: A jakżebym też nie słyszał! Chybażem słyszał. Zresztą przedtem już wiedziałem! Wszystkie im odbierają. A tu na nich idzie ten co Nowy-York zajął. Wiesz? (z dumą): Hove. Jenerał Króla Jegomości.

OBERŻYSTKA (z komory): Jaktó, więc nie Kniphausen?

OBERŻYSTA: Ale i Kniphausen. I Mindorff! I Cornwallis! lord Cornwallis! I grenadyerzy hescy, rozumiesz? grenadyerzy, co to wiedzą, co i jak. (głośno, zapamiętane): A nie taka zganianina farmerów, kupców, rycerzy bez butów, bez...

OBERŻYSTKA (z komory): Cichoże bądź! Nie wrzeszczę tak!.. (staje na progu komory): Jak ty możesz? (wskazuje na drzwi z prawej): Otwieraj drzwi, bo do nas zajeżdżają. Może będą mieli juki. Nie zmieszczą się przez małe drzwi.

(Słychać wyraźne trzaskanie z bata i nadjeżdżające dzwoniące sianie).

OBERŻYSTA (staje przy drzwiach): Nie, nie otworzę jeszcze. Zresztą nawet nie wiem kto... Komenda zakazała, żeby obcych wpuszczać do zajazdu... Chyba że ktoś z wojskowych (sianie zajeżdżają) ...albo z rodziny. (stanął na progu, kłania się czapką): Kłaniam się unizenie, Bóg z wami... Jest... jest jedna mała komora... Ostatnia... Pan kapitan ma pozwolenie? A proszę, to proszę... Landara może zajechać w podwórze, tam z lewej strony... Ludzie pokażą... (odwraca się): Bertie! Bertie! Biegnij, każ otworzyć bramę od podwórza... (zaprasza): Proszę... (odstępuje od drzwi, kłania się).

OBERŻYSTKA: Dobrze... Biegnę. (leci za szynkwą w lewo).

Wchodzą okutani, złani deszczem, przemoknięci, Mistress Mac-Moyler w aksamitnej salopce z kapturkiem na głowie i Zieliński w płaszczu z pelerynką.

ZIELIŃSKI (rozglądając się podejrzliwie, brwi ściągając): Tu główna kwatera? Naprawdę?

OBERŻYSTA (unizenie): Tak, panie kapitanie... Przecież jest sztandar na dachu... sztyldwachy stoją przy furtce!

MISTRESS MAC-MOYLER (do Zielińskiego, rozglądając się z niepokojem): Odrażające!.. Co?

ZIELIŃSKI (półgłośno): Tak... Nie mogę przeczytać. (ostro do oberżysty): A gdzie sztab? gdzie wszyscy jenerałowie?

OBERŻYSTA: Teraz są przy moście na rzece. Most wysadzają prochem żołnierze... Pojechali patrzeć. Rychło mają wrócić.

MISTRESS MOYLER: A czy traktyer zna wśród nich pułkownika Mac-Moylera? Czy on z nimi także?

OBERŻYSTA: A, pułkownik Moyler? Znam, znam, wiem który! Ale on kwateruje gdzieindziej. Sześć kilometrów stąd. W młynie starego Jonatana. Tu tylko bywa na naradach. Za młynem stacyonowany pułk szanownego Mac-Moylera.

ZIELIŃSKI (do Mistress Moyler): Przecież do młyna już nie pojedziemy... Noc zapada...

OBERŻYSTA (szybko): Do młyna nawet niema gościńca, jedzie się na przełaj, stąd na lewo od oberży. Ale teraz niebezpiecznie... Dziś rano już na tej drodze była potyczka z forpocztami Torysów, co się zapędziły...

MISTRESS MOYLER (przestraszona): Jakto? już tak blisko?

ZIELIŃSKI (uspokajająco): Ech, jakiś zabłąkany rekoniesans! Niema się czego obawiać. (do oberżysty): Więc gdzie ta izba dla nas? Pokaż jegomość... (zrzucił płaszcz na okrągłą ławkę):

OBERŻYSTA (wskazując wprost): Ot tu... Nie wielka, ale wygodna, ostatnia zresztą... A bagaż będzie, panie kapitanie?

MISTRESS MOYLER: Dziś wieczorem ma być jaka narada? Traktyer nie wie?..

OBERŻYSTA (chyttrze): Nie wiem. Skądże ja mogę wiedzieć, wielmożna dobrodziejko... (do Zielińskiego): A pakunki są?

OBERŻYSTKA (wraca, kłania się pokornie, podchodzi bliżej): Bóg z wami, szanowni państwo!

ZIELIŃSKI (do oberżysty): Jest... jest kosz niewielki i torba na kozle... Ten Indyanin, co przysiadł się do nas i drogę nam pokazywał, może je znieść.

OBERŻYSTA (prezentując żonę): Moja żona, Bertie. Ona wielmożnej kapitanowej dopomoże... W komorze napali się zaraz. Łuczywa naznoszone.

MISTRESS MOYLER (śmiejąc się, do Zielińskiego): Kapitanowej... Haha...

ZIELIŃSKI (do Denizy, porozumiewawczo, radośnie): Właśnie dobrze! Właśnie cudownie (całuje w rękę Denizę): I jam przy tej okazji zaawansowałem... (wskazuje na lewo): Byle się tylko to gniazdko gniazdkiem okazało, słodka Denizo... (półgłośniej): I byle dziś tu nie wracał stary kasztan.

MISTRESS MOYLER (grożąc mu): Ej, Zieliński, Zieliński. Wiecznie to samo! Niepoprawny!

ZIELIŃSKI (gorąco): O tak! I nie obiecujący poprawy, przydajmy... Ale teraz pora oglądnąć kwaterek... (do oberżystki dobitnie): Gospodyni pani pułkownikowej pokaże ten apartament. (do Denizy): Ja przypilnuję, żeby znieśli koszyk...

OBERŻYSTKA (trzymając lichtarz ze świecą zapaloną popycha drzwi przed się): Służę... służę...

(Mistress Moyler wychodzi w lewo, za nią oberżystka.)

OBERŻYSTA (słodko): Tyle tylko śmiem powiedzieć, że z noclegu u mnie wielmożne państwo będzie zadowolone.

ZIELIŃSKI (zmierza ku prawej): Oby, oby, mój przyjacielu.

OBERŻYSTA (drepcąc za nim): Cena też nie zbyt... zwążywszy ciężkie czasy... Dwa dolary za ledwie.

ZIELIŃSKI (zdumiony): Co? Dwa dolary?

OBERŻYSTA (spokojnie): Tylko dwa dolary, byle były w złocie, bo biletów kontynentalnych się nie przyjmuje.

ZIELIŃSKI (stanął zdumiony): Biletów kontynentalnych się nie przyjmuje? Co to znaczy, stary?

OBERŻYSTA (spokojnie): Nic nie warte! Nic nie warte, panie kapitanie. Taka była zresztą umowa z komendą. Wszyscy mi płacą nie biletami kontynentalnymi, a złotem. Cały zajazd zajęty. (wskazuje na górę, na lewo). Tu mieszka generał Green, tam Reed, Lincoln, Sullivan, Washington, nawet Arnold, zwycięzca z pod Saratogi, Polak Pułaski. Wszyscy płacą w złocie!.. Wolałem uprzedzić...

ZIELIŃSKI (pośpiesznie): Ależ dobrze! Dostanie wszystko w złocie... (tajemniczo, półgłosem): Dostanie nawet dwa razy tyle... tylko musi mi być w czemś pomocnym (przystanął, chwycił go za ramię).

OBERŻYSTA (chyttrze): Pomocnym? Dobrze. Czego pan kapitan winszuje... Zrobi się.

ZIELIŃSKI (nieco w kłopotcie, zawstydzony): Otóż... widzisz, kochany przyjacielu... Jest rzecz taka... żeby tego... żeby baczysz, niekoniecznie... niekoniecznie... zaraz wywieźli się generałowie o tem, że tu zakwaterowała się ta pani, moja... moja siostra cioteczna...

OBERŻYSTA (mrugnął okiem porozumiewawczo): Rozumiem, rozumiem... Żeby, niby...

ZIELIŃSKI (śmieje): Żeby, niby wcale o tem nie puścić pary z gęby... Ta pani zdrożona podróżą zaraz pójdzie na spoczynek... Nie potrzebuje nikt o tem wiedzieć (rozglądając się po izbie): A ja się tutaj bądź gdzie zdrzemnę... choćby na tej tam ławie, ...o...

OBERŻYSTA (zaciekawiony): A dylizans? A konie? Trójka koni? Oj, to będzie trudno, wielmożny kapitanie.

ZIELIŃSKI: Niema nic trudnego dla sprytnego oberżysty... Widziałem z zewnątrz... Wozownie i stajnie macie wielkie... Zresztą kto tam będzie zaraz do stajni nos wściubiał.

OBERZYSTA (drapiąc się po głowie): Żołnierze, sztyd-wach... mogą wypaplać...

ZIELIŃSKI (klepiąc go po plecach): Uczynź tedy tak, żeby nie było co wypaplać... Ta pani, moja siostra cioteczna, chce zrobić siurpryzę swemu mężowi, memu tego... memu szwagrowi... Znasz mojego szwagra, pułkownika Moylera?..

OBERZYSTA: Znam, panie kapitanie.. Siurpryzę... Ja rozumiem.. (z podelba): Byle za taką siurpryzę jam nie wisiał na gałęzi...

ZIELIŃSKI: Nię bój się! To koncept jeno taki... Chce jutro rano ta pani najniespodzianie ukazać się swemu małżonkowi... Taki figiel.. o... Ale teraz pragnie wypocząć... spać... być rano odświeżoną, wypoczętą...

OBERZYSTA: Wypoczętą!.. Aha... Rozumiem... rozumiem. Ano dobrze... To się landarę podwiezie do kowala za lasem... niby dla naprawy i tam przez noc z końmi zostanie...

ZIELIŃSKI (uradowany): A widzisz! Świetnie! Doskonale... Nie od parady masz łepetę na karku...

OBERZYSTA (skrobiąc się w głowę): Tylko, że komora wtedy drożej wypadnie. Co? Sześć dolarów pan kapitan da za ten figiel... Dobrze? A pójdzie...

ZIELIŃSKI (wyciągając sakiewkę): Wszystko świetnie! Masz zadatek... na szczęście... cztery dolary... (niespokojnie) A teraz prędko kosz z landary tu dajcie... i torbę moją czarną!.. (chodzi tam i z powrotem, zacierając ręce, zadowolony)

OBERZYSTA: W mig! Zaraz będzie wszystko... (staje w progu i woła): Bagaż pana kapitana! Hej, ty!

czerwonoskórzec! Torba... (dostaje z zewnątrz tekę małą, ceratową): O, jest torba panie...

ZIELIŃSKI: A jest torba! Chwała Bogu! (odbiera ceratową tekę, lekkomyślnie): Anibyś przeczuł, traktyerze, jak ważne papiery dzierzyłeś chwilę w twej ręce...

OBERZYSTA (wesół): E! chybali nie tak ważne, skoro je pan kapitan zostawił w landarze... (do drzwi, ostro): Dajesz ten kosz... ty...

ZIELIŃSKI (uderzając się w czoło): A masz ty rację! Nie powinienem był... (zmierza ku drzwiom komory) Oł, człek się na ambasadora nie urodził, nie. (puka do drzwi): Wolno?..

Równocześnie przez próg przechodzi Indyanin, dźwigający niewielki kosz czarny. Głos z zewnątrz: Entrez...

ZIELIŃSKI (dostawszy odpowiedź uchyla klamki, jeszcze się odwrócił raz i do oberżysty): Kosz tymczasem postawcie tu pod drzwiami.., (z miną radosną wchodzi dyskretnie do komory).

OBERZYSTA: Dobrze... dobrze... (do Indyanina): Tutaj... tutaj... o...

Indyanin niosąc kosz, pozornie tylko tem zajęty, nagle spostrzegłszy, że drzwi zamknęły się za Zielińskim, kosz szybko stawia na ziemi i w dwóch susach stanąwszy przy oberżysty, coś mu szepnął do ucha. Oberżysta tylko chwilę zdumiony, wraz uradowany, kiwa głową pospiesznie i szybko wydobywa z za pazuchy złożony w czworo arkusz czerwonego papieru i szybko oddaje Indyaninowi. Ten kiwa głową uradowany.

OBERZYSTA (półgłosem, wskazując na ganek i okna z lewej): Tam! Green, Reed, Lincoln, Sullivan, Pułaski, Washington...

Indyanin kiwa głową uradowany i znów bierze kosz pośpiesznie i niesie ku drzwiom. W tej chwili drzwi otwierają się i wychodzi oberżystka z dzbankiem w ręku.

OBERZYSTA (głośno, niby gburnie): No, gamoniu czerwonoskóry... Będzie prędej... Tam pod drzwi.

Oberżystka staje przy mężu rozradowana, palec na ustach kładzie.

Indyanin kosz postawił.

OBERZYSTA (głośno, rozmyślnie): A teraz precz! Wynos mi się stąd do kroćset dyabłów! Pókiś cały...

Indyanin chytrze w ukłonach pomyka ku drzwiom z prawej.

OBERZYSTA: Landarę podwieziecie do starego Jonatana, pod lasem. Wiesz gdzie!.. Konie na noc zostawicie! Marsz...

Indyanin kiwając głową porozumiewawczo, już staje przy drzwiach.

OBERZYSTA (półgłosem, chwyciwszy go za ramię, gorączkowo): Jednego konia bierz! Przez rzekę wal do forpoczt Kniphausena... Wiesz? Już...

Indyanin znikł.

OBERZYSTKA (przerazona): Fernandzie!..

OBERZYSTA (półgłosem): Nie bój się! Już ja wiem co robię... Zarabiać trzeba... tu i tam. (wskazuje na lewo): Napaliłaś im porządnie?

OBERZYSTKA: Napaliłam aż trzeszczy w kominie.

OBERZYSTA (wesoło): A co? Jakieś ładne ptaszki, (wskazuje na lewo) hę?... Uwodzi żonę któremuś ze starych...

OBERZYSTKA: I ja mam to podejrzenie... Mówią sobie czasami po imieniu...

Słychać odjeżdżające sanie.

OBERZYSTA (zacierając ręce): Sześć dolarów płaci za komorę bez okna... Hahaha... (z podziwem): Jaki zuchwalec!.. Tuż pod okiem sztabu... Hahaha... Ale czekajcie. Już ja im nockę cudzołożną przygotowuję...

OBERZYSTKA: Ej, Fernandzie... Byle co z tego złego nie wypadło!.. A nuż się nie uda...

OBERZYSTA (dumnie): Musi się udać! Wszystko przygotowane doskonale... Ten indyanin... wiesz ...co

jechał z nimi, to czatował na drodze z Chester... Wsiadł na kozioł, żeby im drogę niby pokazać... A on był przysłany z za rzeki do mnie po spis kwaterujących generałów. (wesoło) Wyśmienitych szpiegów ma jego Królewska Mość! (szydersko, zuchwale): Przy takiej służbie rebelizanty nie wywalczą sobie niczego! oj... nie!

ZIELIŃSKI (uchylając drzwi z lewej): Wody do mycia! Hej!.. (zamyka).

OBERZYSTKA (odwracając się szybko): W tej chwili, panie... Już... (biegnie ku głębi): Widzisz! Jeszcze mogliby usłyszeć co mówisz! Jak to trzeba ostrożnie. (niespokojna): Ej, ty raz wpadniesz w dołek z tem wszystkim. (nabiera wody do dzbanka).

OBERZYSTA (poprawia łuczywa przy ognisku): Nie bój się! Jam już dość ostrożny... Mnie tam nikt nie podejdzie, nie... Jeszcze się taki nie urodził. A co się zrobi, to się zarobi. Royaliści umieją płacić suto za usługi... To nie to, co te hołysze (wesoło): Będziemy mieli kopiatą faskę dolarów... ot (wskazuje na faskę za kratami): Wtedy przestanę, dam spokój temu rzemiosłu... Przeniesiemy się do Filadelfii... Wiesz Bertie? Otworzymy salon na Czwartej ulicy ...dla Torysów, dla urzędników... wiesz? Wybiorą mnie do rady hrabstwa... O... dostanę order...

Oberżystka z dzbankiem wody zmierza do drzwi, kiwając doń życzliwie głową.

OBERZYSTA: Tak... Twój Fernand dostanie order... Wszyscy go będą szanowali... fermerzy będą mu się kłaniali... Tak... Ale do tego wszystkiego trzeba mieć dużo... dużo dolarów... Pół faski nie wystarczy!..

Drzwi z lewej otwierają się i staje w nich bez salopki i bez kapelusza Mistress Moyler. Za nią Zieliński też bez płaszcza, niosący w rękach salopkę Moylerowej. Pani Deniza ma mocne rumieńce i koafiurę nieco rozburzoną. Zieliński pewny siebie, pokręcający wąsa...

MISTRESS MOYLER: Jeszcze zimno w alkówce, moi mili... Przychodzimy tu rozgrzać się do was...

OBERZYSTKA: Prosimy... prosimy... A ja właśnie niosłam wodę wielmożnej dobrodziejce.

OBERZYSTA (do żony): Zanieś... zanieś Bertie... I popraw państwu jeszcze w kominie... Aha! I kosz węz z sobą!

ZIELIŃSKI (wskazując na drzwi z prawej do oberzysty): A nie możnaby tak tych drzwi na zasówkę?..

Oberzystka wynosi w prawo kosz, drzwi zamyka.

OBERZYSTA (porozumiewawczo): Ależ można! można... zaraz! (szybko zasówkę u małych drzwi założył):

MISTRESS MOYLER (do Zielińskiego): A salopkę rozwieś, kuzynie, żeby się wysuszyła na ławce. (siada przy ognisku).

ZIELIŃSKI: Właśnie to czynię... O tak... (do oberzysty, który zamknął drzwi): Wyśmienicie... wyśmienicie... Jak przyjadą, to zastukają... (do Denizy półgłosem): Będzie jeszcze dość czasu do zniknięcia... (głośno): A teraz, kochany gospodarzu... zajdź trochę na podwórze... Popatrz czy landara odjechała... Wymiarkuj jaka pogoda na jutro!...

OBERZYSTA (chyttrze, idąc ku schodom wiodącym na ganek pierwszego piętra): Rozumiem, panie kapitanie.

ZIELIŃSKI (wesoło, ku Denizie): Wogóle nie zaprzatajcie sobie nami zbyt głowy.

Mistress Moyler filuterna, śmieje się, aż chusteczką sobie usta zakrywa. Nóżki wysuwa ku ognisku, żeby się ogrzać.

OBERZYSTA (już idąc po schodach, zatrzymał się bezcelnie): Dobrze... dobrze... oczywiście panie!

ZIELIŃSKI: Ale bądź mości traktyerze pod ręką, gdy na ciebie zawołamy... Za dobre pół godziny będziesz nam nieodzownie potrzebny.

OBERZYSTA (idąc po schodach, wszedł na górę i znikł): Stawię się, panie! Niezawodnie!

ZIELIŃSKI (przybliżając się do Denizy): Au revoir, Au revoir chère camerade! Haha...

MISTRESS MOYLER (wybuchając głośnym śmiechem): Ach! Jakież to zabawne!.. Jakie doskonałe!

ZIELIŃSKI (ramiona rozszerzając): A co? Chyba nie żałujesz, słodka Denizo... żeś się nakłoniła ku tej eska-padzie...

MISTRESS MOYLER: Chybaże nie, Zieliński! Byle się mój staruszek nie rozsierdził tym figlem.

ZIELIŃSKI (stając tuż): Nie! nigdy! skądże zaś... Imaginuj sobie, że sztabowi tu przyjdzie z miesiąc przebyć... toż miesiąc długi byśmy się nie widzieli... to jest jabym ciebie nie widział... A tak... Z pretekstu, żeś za tęskniła za jegomością, możesz tu przebyć kilka dni... (gorąco): I noc dzisiejszą!.. Całą noc mamy przed sobą!..

MISTRESS MOYLER (zawstydzona): Prosiłam was, byście o tem nie mówili, Zieliński!

ZIELIŃSKI (gorąco, klękając przed nią): Jak nie mówić! Jak nie mówić o tem, co mnie czeka najśłodszego...

MISTRESS MOYLER (filuternie): Mnie tam nic nie wiadomo, co was czeka najśłodszego! Obawiam się, że was czeka sroga reprimenda za to, żeście mnie z Filadelfii wywieźli tutaj... Więc nic słodkiego...

ZIELIŃSKI: Najsroźsze reprimendy mnie nie straszą, skoro jeno pomyszę jaka mnie może spotkać nagroda. (przytula się do jej kolan).

MISTRESS MOYLER (wzruszając ramionami): Nic nie wiem o żadnej nagrodzie... Coś ciągle mówicie Zieliński, czego ja zrozumieć nie jestem zdolną... (odsuwa się lekko): "

ZIELIŃSKI: Ach, cóż tu tak trudnego do zrozumienia, Denizo... Czyż ja jeszcze nie eksplikuję mych afektów zbyt jasno... (głaszcząc rąbek spódniczki): Od roku już przeszło, skoro tylko mam okazję spotykać was

gdziekolwiek, duszo mej duszy, przypominam jak łatwo by ci było, słodka Denizo, rąbek nieba przede mną uchylić.

MISTRESS MOYLER (figlarnie): O rąbku nieba mówicie, Zieliński, a bawicie się rąbkiem spódniczki, która i tak jest mocno błotkiem przydrożnym powalana... Ej... ej...

ZIELIŃSKI (troskliwie): A czy to nie należałoby teraz zdjąć trzewiczków... zdjąć pończoszki... i wysuszyć... Mocno, jak widzę, przeszły wilgocią i wodą...

MISTRESS MOYLER (usuwając nóżki pod ławkę): Potem, potem, kawalerze... Skoro zostanę się sama u siebie, posłucham rad troskliwych.

ZIELIŃSKI (niecierpliwie): Ach sama! sama! zawsze sama! Jak można tak do samotności tęsknić... samotnością drażnić do żywego!

MISTRESS MOYLER (zalognie): Dziś tylko sama... Jutro już przenoszę się na kwaterę pana małżonka.

ZIELIŃSKI (z odcieniem pasyi): Ech małżonka... małżonka.. Co staremu kasztanowi za radość z waszego przybycia, Denizo!.. Jemu wystarczy, gdy ma tylko swoją prymkę do żucia! (ironicznie): Nie mogę ja nawet zrozumieć tego, jak można całusami obdarzać mężczyznę, co ciągle liście tytoniowe ma w zębach...

Widać oberżystę podpatrującego, w jednym z górnych okien.

MISTRESS MOYLER: My Amerykanki przyzwyczaiłyśmy się do tego. Choć pewnie, że obyczaj niezbyt miły. Dlatego też tak przekładamy w obcowaniu was! Nie zechcecie wątpić, Zieliński, że każda z nas wolałaby mieć dozgonnym towarzyszem takiego Lafayetta czy Pułaskiego... (westchnęła): O napewno!.. Wierzcie mi...

ZIELIŃSKI (podrażniony): O już! znowu o Pułaskim! Może jeszcze nie cała połowa godziny minęła, jak ostatnio

mówiliście o Pułaskim!.. Nic, tylko co trzecie zdanie Pułaski i Pułaski!

MISTRESS MOYLER (przekomarzająco): Ach, bo jakżeż nie mówić o nim. Wszyscy przecież o nim ciągle mówią. Może mężczyźni nie? A któż się to tak pięknie odznaczył pod Trenton! Kto pod Bradwyne?

ZIELIŃSKI (z dumą): A tak! Tak! Dumny jestem z mojego kuzyna! To prawda...

MISTRESS MOYLER: A widzicie! I na was spada część glori i opromienia jego wspaniałe czoło!.. (swobodnie): Śliczne ma czoło wasz kuzyn, Zieliński.

ZIELIŃSKI: Takie samo jak ja... To czoło Zielińskich. On ma to po matysi, po staroście wareckiej, mojej ciotce.

MISTRESS MOYLER: Może... może... Wy też macie piękne czoło, Zieliński. Nie przeczę...

ZIELIŃSKI (uradowany, kochliwie): Tak? O, to połóż rączkę na mem czole, słodka Denizo... O tak... (kładzie jej rękę na swoim czole): O tak... Jak błogo odczuwać tę rączuchną misterną... Jak błogo... Och, światło ty moje! światelko... Kiedyż ty ulżysz tym niewysłowienie słodkim, ale niewysłowienie dręczącym cierpieniom (chwycił ją za obie ręce).

— Słysząc zbliżający się tętent koński. —

MISTRESS MOYLER (zrywa się, przestraszona): Ktoś jedzie. Słyszę tętent koński! (chce wyrwać ręce).

ZIELIŃSKI: Ale nikt! Zdało się wam jejmość. Jako żywo nikt.

MISTRESS MOYLER: To wy nie słyszycie, Zieliński. Ale ja słyszałam! Wam atak afektu odbiera snadź słuch i wzrok.. (nadśłuchuje).

ZIELIŃSKI: O, wzroku mi nie odbiera, Denizo! Oczy moje widzą cię dokładnie. Widzą i napatrzeć się

nie mogą tym usteczkom malinowym, tym oczętom z niezabudek... tym rączętom białym, jak kiście bzu wonnego...

MISTRESS MOYLER: Ależ cicho... cicho... na chwilę... (nad słuchuje) Nie! To mnie się przywidziało... Nie, nikt nie jedzie... (wesóło): Ale też wy umiecie układać tkliwe dusery Zieliński, kiedy was sentyment przyprze do muru...

ZIELIŃSKI: Oj, że do muru, to do muru.. Doprawdy, że mur nieczuły by już pofolgował sobie nieco, kamienny mur! gdyby widział jakie człek cierpi katusze... (niecierpliwie): A mnie nic od was, tylko arbuzy i arbuzy.. (błagalnie): Denizo... Dzisiaj?..

MISTRESS MOYLER: Wstańcie Zieliński! wstańcie! Toć doprawdy szkoda adiutanckiego munduru. A tu nie posadzka parkietowa, jeno glina źle ubita.. patrzcie... Skąd wam tak nie w porę te ciągłe wiatry romansowe w głowie... (przysiadła znowu).

ZIELIŃSKI: Nie w porę?.. Jakżeż nie w porę?.. Czyż może być okazyja bardziej utrafiona... jak dziś... tu... tam (wskazuje na lewo na alkówkę): Toż wszystkie moje nadzieje w tej przygodzie dzisiejszej pokładzone... Pocóż zwlekać lekkomyślnie...

MISTRESS MOYLER (patrzy na niego jak na nieprzytomnego): Lekkomyślnie?.. Zwlekać?.. Co wy mówicie? Wam chyba mózg przeziębził się po drodze?.. Jak wy o tem możecie nawet myśleć w tych kondycjach, Zieliński... (poważniejąc): Przecież przyjeżdżacie, na Boga, z Filadelfii z pełną teką sztafet i pism, które wam kongresmeni powierzyli do naczelnego wodza! Dano wam misję kuryerską niezwyčajnej wagi, od której tyle zawisło! I wam Zieliński, teraz! teraz tak błahe rzeczy błakają się po głowie... (wrywa ręce, odsuwa się): Zastanówcie się... człowieku!

ZIELIŃSKI (zirytowany): Ależ wiem! wiem. Nie trzeba mi dopiero przypominać, boć swoje zrobiłem.

Sztafety są! Czekają tam w torbie na Washingtona. (gorąco): Ale ja czekam także, czekam od roku zmiłowania twego Denizo! (chwytając ją za rękę, namiętnie): Jedno nie jest zawadą drugiemu. Właśnie okoliczności skład jest najwydarzeńszy. Nikt się nie domyśli... Alkówka ciepła i cicha... Powiedz tylko jedno słówko: tak... słodkie, utęsknione tak... a raj mi ziemski otworzysz, otwierając twe rączyny cudne do wzajemnego uścisku... „Tak“... A głodnego nakarmisz rozkoszą, spragnionego napoisz pieśczętą..

Do drzwi z prawej słychać gwałtowne kołatanie.

MISTRESS MOYLER (wrywając się raptownie): Ach! Ktoś kołata... Na Boga... Puść mnie! (wyrwawszy się, ucieka ku alkowie): Otwieraj poruczniku!

Z chwilą, kiedy zbliża się do drzwi Deniza, te otwierają się i staje w nich podsłuchująca przez poprzód uchylone gospodyni.

ZIELIŃSKI (zrywając się z kolan w pasy): A bodaj że cię wszyscy biesi!.. W samą porę...

OBERŻYSTKA (chyttrze, wskazując na prawo): Ktoś kołacze, panie kapitanie.

MISTRESS MOYLER: Aha... aha... Trzeba otworzyć... (wybiega do alkówki z lewej).

OBERŻYSTKA (do Zielińskiego): Otworzyć?

ZIELIŃSKI (w pasy): Oczywiście, że otworzyć! Albo nie! Ja sam otworzę... Zajmij się jejmość wieczerzą dla nas (spiesznie staje przy drzwiach).

(Kołatanie powtarza się jeszcze gwałtowniejsze).

ZIELIŃSKI (niecierpliwie): Już... już... A co? Goreje gdzie, czy co? (otwiera zasuwkę): Co za gwałty?.. "

We drzwiach staje kapitan Chotkowski. Niski, krępy o czerwonym nosie ukraińiec w mundurze, przy boku jakby staropolska karabela, przez plecy ma przewieszoną kruciczkę, na głowie konfederatka z siwym barankiem, w wysokich palonych butach. Mówi śpiewnie i przeciąga.

CHOTKOWSKI (zdumiony): Zieliński!

ZIELIŃSKI: Co to? Chotkowski?..

CHOTKOWSKI: A ja! Ale co ty tu robisz, dalipanku. Z Filadelfii...

ZIELIŃSKI: Jużci! Z papieramim przyjechał... Wchodźże.

CHOTKOWSKI (wchodząc, tupie nogami, rozgląda się dookoła): Zdało mi się za progiem, że jakiś słodki ptaszęcy głos niewieści słyszał... Niech będzie pochwalony...

ZIELIŃSKI (wskazując na oberżystkę): A to gospodyni... Na wieki wieków... Jak się masz? Z pozycyi przybywasz?..

CHOTKOWSKI (podejrzliwie się rozgląda): Aha... Ja z pozycyi. Tylko nie przybywam, a dalipanku wpadam na chwilę. We dwa konie. Z sierżantem jednym tam... Na lampeczkę wpadam. W gardle mi zaschło... Zimno... Psia aura...

ZIELIŃSKI (niespokojnie popatrzył na drzwi z prawej): Aha... Rozumiem... Dla rozgrzewki... Dalekoś stąd stacyonowan?

CHOTKOWSKI: Będzie ze sześć yardów... (pada na ławkę): Trzeci dzień... Kroplim gorzały od trzech dni nie miał w paszczy... (odwracając się): Gospodyni!.. Mistress! Lady!

OBERŻYSTKA (szybko stając przy nim): Do usług pana pułkownika. Czem mogę służyć?..

CHOTKOWSKI: Możesz jejmość służyć całą butlą cobbler-whisky! Świetną tu mają dalipanku cobbler-whisky!.. Sierżantowi co tam ze mną... (wskazuje na prawo) przy płocie, przy bramie, dasz jejmość rumu i coś na przegrzykę... (do Zielińskiego): Napijesz się ze mną?.. (podejrzliwie): Coś ty taki niespokojny?.. Zaalterowany?.. hę?..

ZIELIŃSKI: Nie! Nie! uchwaj Boże! Napiję się z tobą. Owszem... Ucieszyłem się, że cię widzę...

CHOTKOWSKI: Wszystko świetnie, dalipanku... Więc rum i whisky madam! Jazda... Prędko... (rękę oparł mimowoli na salopce): Otóż widzisz, panie bracie, jest rzecz taka... (zdziwiony dostrzega aksamitną salopkę z futrzanym kołnierzem): Ooo... A to co?.. Jakaś salopka... i jaka piękna... (przykłada do twarzy kołnierz): Wonna, konwaliami pachnąca... (do Zielińskiego, podejrzliwie): Czy to tej oberżystki?.. Jasiu! (wskazuje w głąb za szynkwasy).

ZIELIŃSKI (zirytowany): Nie wiem czyja... Pewnie oberżystki. Czyjażby?..

CHOTKOWSKI: Ej, coś mi się widzi, że łiesz... Tu jeszcze ktoś być musi, dalipanku... I jakiś taki zapach... (kręci nosem): Przyjechała jakaś jenerałowa? Tak?..

ZIELIŃSKI (niecierpliwie): Ależ mówię ci do krocset beczek, że nie... Zresztą nie wiem! Co mnie to!

CHOTKOWSKI: Ale, bo widzisz ja chcę buciska zdjąć i wysuszyć! Trzy dni, dalipanku, nie zdejmowałem. Nie chciałbym, żeby jaka amerykańska lady mi tu weszła gdym w negliżu. (zabiera się do zdejmowania butów).

ZIELIŃSKI: A zdejmujże sobie... Kto ci broni... Mówię ci, że przewidzenie... (poważnie): Jak tam u was idzie?.. co będzie z tem wszystkim?.. Rozpowiedz!

CHOTKOWSKI (odwracając się ku ognisku i wyciągając słomę z butów): Jak idzie? Jak idzie? Nie zbyt znowu... Prą na nas ogromnymi, dalipanku, siłami... Blokujemy wszystkie drogi do Filadelfii, obstrukcyę wielką na rzece robimy! Ale co się odwlecze, to nie uciecze...

ZIELIŃSKI (siadając okrakiem na ławie): Ja też tak myślę! A Westchester?..

CHOTKOWSKI: Już w rękach Brytańczyków... Pono dziś ma się tu zdecydować czy oddać Filadelfię...

ZIELIŃSKI (markotnie): Co ty mówisz?

CHOTKOWSKI: Tak... tak... (machnął butem, skrzywił się): Eee, wogóle! Jeneralicya puszcza bąk po bąku! Głupstwa przeogromne, dalipanku. Całkiem jak nasza jeneralność, haha!.. Kubek w kubek...

ZIELIŃSKI: Może... może! Ty gdzie teraz stoisz, Marku?..

CHOTKOWSKI (wzruszając ramionami): Toć mówię ci, tam, gdzie dwa tygodnie temu, kiedyś odjeżdżał. Z trzema szwadronami stoję. Jenerał Wayne ze swoją dywizją powstrzymuje napór tych bruszwickich bestyi... Jest najdalej wysunięty... pod Paoli.. Ja trzymam komunikację między nim a tyłami... Ale jest źle .. fatalnie, dalipanku... Gorzej być już nie może...

ZIELIŃSKI: Co ty mówisz? Co ty mówisz!?

CHOTKOWSKI (do oberżystki): Idziesz jejmość z tym whisky raz! (grzeje nogi bose przy ognisku).

OBERŻYSTKA (niesie butelkę i długie, wysokie, grube szklanki): Jest, już jest panie pułkowniku.

— Stawia butelkę na ławce i kubki. —

CHOTKOWSKI: O tak, pięknie... (uradowany): Jest eliksir życia... I nogim trochę rozgrzał, bom już dali-panku, ścierpłe miał... (nalewa z butelki w kubki) do krzty, jak z drzewa...

— Oberżystka odchodzi w głąb, ale widocznie nadśluchuje raz po raz. —

CHOTKOWSKI: Ech, wogóle... Cała ta kampania teraz obmierza mi do szczętu... A czego odżalować nie mogę, to tego, zem się przeniósł z pułku Moylera... Wiesz?.. (podsuwa Zielińskiemu kubek).

ZIELIŃSKI: Co? Żalujesz, żeś pod Pułaskiego komendę poszedł? Wolne żarty!

CHOTKOWSKI: Nie żarty, bracie! prawda, dali-panku, prawdziwa prawda! I tak przecie zostałbym pod ogólną Kazia komendą... Być zasie w jego doborowym lejbrezimencie... o... tego nikomu nie życzę... Najgorszemu nieprzyjacielowi! (podnosi kubek): No nasze! Konfederackie!

ZIELIŃSKI: Nie chcesz przez to chyba powiedzieć, żebyś przekładał pod obcym drużbę, Chotkowski!.. (napił się lekko).

CHOTKOWSKI (przekornie): A właśnie że chcę. Byś sobie wiedział, że wolę pod obcym, dalipanku, stokroć razy wolę...

ZIELIŃSKI (wzburzony): Marku! Marku!..

CHOTKOWSKI: No co Marku! Marku! Wiem, że mi Marek na chrzcie świętym dano. I powtarzam ci jak jest. Kat, nie komendant! Satrapa, nie brygadyer! Męczydusza! Utrapieniec! Piekielny tyran, jakiego świat nie widział ze swoją dyscypliną zatraconą!

ZIELIŃSKI (zerwał się oburzony): Marku! Ja tego nawet słuchać nie mogę... Rozumiesz?

CHOTKOWSKI (wzruszając ramionami): A to sobie nie słuchaj. Pytałeś się, panie bracie, to ci mówię jako jest... Choć on tam twój cioteczny, Pułaski, to mnie dyabła z tego! Właśniem myślał, że idąc pod jego personalną komendę odetchnę nieco, łaskawością będę otoczony, względami przynależnymi rodakowi... A tu co! Najspeccyalniej na nas kilku swojej krwi najtrudniejsze orderunki wkłada! (splunął z pasy): Wyrodny człek!.. Twarda dusza, dalipanku! (sięga po kubek): Ot co!

ZIELIŃSKI (zirytowany): Ot co?.. Ot że pleciesz, Chotkowski, co ci ślina na koniec ozora przyniesie. A mnie srom słuchać, jak Boga obrażasz!..

CHOTKOWSKI (ciągnąc swoje): Wystąpiłem z regimentu Moylera, boć mierzilo pod nieszlachcicem służyc,

dalipanku, tylko z tej przyczyny!.. Mac-Moyler heretyk, poganin, nie rzymskiej wiary człek, dyssydent zatracony!.. Ale teraz przy pierwszej nadarzonej okazji wychodzę... Niech tylko Benyowszky ogłosi werbunek do swej Legii. dalipanku, zaraz się abszytuję i do Legii Benyowszkiego idę!

ZIELIŃSKI: A idź, idź! Nikt waćpana za głowę nie trzyma. Tylko jeszcze o onej Legii ani słychno dychu. A jak będzie to kto wie, czy tak z miejsca rotmistrza Chotkowskiego dobiorą.

CHOTKOWSKI (zirytowany): A byś sobie wiedział, że dobiorą! Z otwartymi ramionami dalipanku. (dumnie): Jam pod nim służbę zaczynał! Przy Benyowszkim byłem, kiedy go pod Krakowem Moskwicze Ebschelwitza do niewoli wzięli... O!.. pod samym Benyowszkim! (wzgardliwie): A nie pod jakimś tam...

ZIELIŃSKI (zirytowany): Hola! hola Chotkowski! Hamuj się! Miarkuj co mówisz!

CHOTKOWSKI (golnął, znowu ciągnie dalej): Miarkuję, ale raz wolę wygadać co mi na wątrobie leży... Może sobie ulżę, dalipanku. Całą zimę tamtegoroczną ino Pułaski naczelną komendę dostał, nic tylko egzercyrki i musztry, musztry i egzercyrki! manewracye! Tak całe dnie, tygodnie, miesiące! Jakbyśmy poprzód, dalipanku, nic nie umieli.

ZIELIŃSKI (chodzi tam i z powrotem, niespokojny): A bośmy też, jako żywo, nic nie umieli. I przydały się zimowe musztry, co? I pod Trenton i pod Princeton i pod Brandwyne? Nie? Zrobiła swoje kawalerya skorygowana. Hę? Może nie?

CHOTKOWSKI: A zrobiła... zrobiła... Owszem... Ale co mnie z tego? Sława nie na mnie poszła, a na niego! drillmajstra, co nas drillował... A drill to nie polski obyczaj! Nie sarmacki, dalipanku! brytański!

ZIELIŃSKI (z ironią): Więc ty godzisz się, Marku, na drill i rygor srogi, byle od obcego szedł. Tak?..

CHOTKOWSKI (palnąwszy pięścią w ławę): A tak! Byś sobie wiedział! A tak! Obcy niech drilluje, niech w kluby bierze! niech obciąża służbą! dalipanku, wolę! (hałaśliwie, z krzykiem): Przynajmniej to wiem, że obcy! Przynajmniej nie powiemy sobie wtedy: Marku, bracie, własna krew, rówien tobie cię ugniata! ziomek rodzony nad tobą przewodził! Nie wstyd cię jest od swego równego ponizienie znosić! O!.. Gdzie sęk!..

ZIELIŃSKI (chodził tam i z powrotem, teraz stanął na przeciw Chotkowskiego, słuchał jakby uszom nie wierzył, ręce załamał, omal z krzykiem): Marku! Marku! I ty to mówisz przytomnie?.. Ty słyszysz sam co mówisz?

CHOTKOWSKI (ramionami wzruszył): Chyba że słyszę! Jeżeli ty słyszysz, to chyba i ja słyszę! Cóż fochy stroisz jak komedyanty w teatrze! Nie ja to sam mówię! Czterech nas z byłej Konfederacyi pod Pułaskim tutaj jest! I czterech z nas jednakowy sąd w tej sprawie trzyma, któryś słyszał. Często to sobie mówimy! Tyś, Zieliński exceptem! Tyś jedyny coś się odrodził i Pułaskiego systema zachwalasz! (ironicznie): Ale nie dziwota to, nie! Kuzyn! familiant! koteryjka Krasieńskich wiadomo jaka jest, jakowe ambicje bywało miewała! (pije).

ZIELIŃSKI (zdumiony, oburzony): Jedyny?.. jam jedyny?.. Koterya Krasieńskich? Cóż to ma koterya Krasieńskich? Co ty za terefery wyplatasz, Chotkowski? Zastanów się!

CHOTKOWSKI (zapalczywie): A cóż się tak dziwujesz, aspanie? Cóż tak odgrywasz jakobyś z nieba spadł o niczem nie wiedział! Co koterya Krasieńskich znaczy niewiadomem ci? (wstał z ławki, pod boki się wzięwszy powoli, bosymi nogami podchodzi do Zielińskiego): Może powie dzieć?

Jedno z okien na piętrze cichutko otworło się i w oknie z fajką w zębach patrzy na nich z kpiącym uśmiechem oberżysta.

CHOTKOWSKI: A Konfederację w Barze z jakiej przyczyny zawieszono? He?.. Z czym się panowie Krasieńscy, Potoccy, Pułascy skonfederowali?.. He?.. (postępuje ku Zielińskiemu zaczepnie): Myślisz, dalipanku, że to narodowi szlacheckiemu tajemnicą jest?.. Tak? Myślisz, że nie wiemy, żeście z królewicza Saskiego monarchę z absolutum dominium mieć chcieli? Myślisz, że nie wiemy, że sukcesya miała być stała w jego domu... i tyraństwo?.. Myślisz, że nie wiemy jakoście forytowali królewicza Saskiego, bo się z Krasieńską ożenił i dlategoście przeciw Poniatowskiemu szli...

Zieliński osłupiał, cofa się w tył przed następującym Chotkowskim.

Drzwi małe z lewej lekko uchylają się i wejrzała z nich przestraszona Mistress Moyler.

CHOTKOWSKI (egzaltując się): A kawaler Pułaski z braciszkami i ojcaszkiem czemużto w tem wszystkim rączki trzymał? He? (z krzykiem): Możeli i to nie wiesz?.. He?..

ZIELIŃSKI (rozsierdzony): Chotkowski! Tobie rozum odebrało?.. Ty... (mimowoli za rękę się szablę chwycił).

CHOTKOWSKI: Nie, panie bracie! nie! Mnie rozumu nie odebrało! nie! Tylko widzę dobrze pod jakim to ja filutem służył o... Kto mi to teraz instrukcję dał takową, że trzeci dzień już z moją awanpostą stoję między bagnami piekielnymi na deszczu i chłodzie, baczając jeno, by znienacka na dywizye Wayne nie napadli... A innemu to nie można było dać?.. Taką zatraconą pozycję?.. Inny to nie mógł by tam stać?..

ZIELIŃSKI (przerażony): Jaktó? I tyś pozycję opuścił? Marku!..

CHOTKOWSKI (bezcześnie): A opuścił! Byś sobie wiedział! Urlop sobie sam dałem... haha... Takim

ja komendant jak i on! wojewodzie równy... (pod boki się wzięwszy): Urlop z własnej łaski, dalipanku. Na całą noc.

ZIELIŃSKI (groźnie, brwi zmarszczył): Żeby się gorzały napić? Whisky?.. Tak?..

CHOTKOWSKI (bezcześnie): A tak! Tylko dlatego, że trzy dni nic nie piłem! To moja pasya, whisky! Inni mają inne... (buńczucznie): Mój pan komendant na ten przykład miał pasję miłosną do comtessy Krasieńskiej... Z tej przyczyny tkliwy pamfil do Konfederacji przystał i o wstążkę różową princessy Franciszki się bijał!..

ZIELIŃSKI (w pasy): Dość tego, pijaku omierzyły! (szablę do połowy wyciągnął): Stul zębów Chotkowski, natychmiast, jeżeli nie chcesz bym ci kapuścianą głowę poszatkował! Stul zębów!

CHOTKOWSKI: Aaa... Nie miło prawdy słuchać o famiili! Nie miło? Tak? Może nie? Może się nie widział już Pułaski paziem przyszłej królowej Sarmacyi? Może nie tak jest?

ZIELIŃSKI (porwał go za ramię, wstrząsa nim): Przystań! słyszysz! Boś miarę przebrał! Byś nie był bosym, tu z miejsca odpowiedziałbyś mi kalumniatorze, co plugawą śliną na nieskalane persony ciskasz!

CHOTKOWSKI (zaperzony): Odpowiedziałbym? Dlaczegooby nie? (biegnie do ławki po buty): O proszę... Jaki skory... Ale i jam skory, panie Zieliński... Odpowiedz mi zaraz za plugawą ślinę, szambelanie Moylerowej! (szuka gorączkowo buta).

ZIELIŃSKI (w pasy pałasz wyciągnął): Buty nazuwaj, bibuło! Słomę masz w butach, ale i we łbie słomę!.. (grozi pałaszem): Odpowiedz mi za te słowa, berdyczowski podsędku! (groźnie): Stawaj!..

CHOTKOWSKI (gorączkowo nawdziewając jeden but, cały w pasach, pieni się): A odpowiem... odpowiem, aż ci w piętę pójdzie!.. Mnie, ty żółtodziobie w kaszę nie

naplujesz, coś sam sroce z pod ogona wyleciał... Czekajże... (nie może drugiego buta wciągnąć): A psiacimać...

ZIELIŃSKI (czoło chustką przetarł, zozpiął szybko kołnierz u szyi): No, będzie raz! Warchole piekielny! Czekam...

CHOTKOWSKI (wściekły): Będziel będziel Będiesz ty żałował, że będzie... Ty, Ty Pułasczyku! Krew tylko takowy despekt zmyć może...

ZIELIŃSKI: Tylko! I ja to mówię! Stawaj Chotkowski! (stał w pozycji): Nuże! Masz ubitą ziemię!

Obaj nie słyszą, że oberżysta przechylony przez okno, śmieje się na głos: hahaha. I nie widzą, że przestraszona Mistress Moyler otwarłszy drzwi stanęła w nich patrząc zdumiona, niewierząca własnym oczom.

CHOTKOWSKI (nie może włożyć drugiego buta i z napół nadzianym, wlokącym się po ziemi, postukując, szybko posuwa się ku pozycji): No, próżno i darmo. Drugi wdziać się nie da. Można i tak... (żegna się szybko): In nomine Patris et Filii! Zaczynamy!

MISTRESS MOYLER (przerażona): Ależ panowie Polacy? Wy co znowu?..

— Słychać z prawej z zewnątrz zmieszane głosy. —

Oberżysta przy oknie nagle przestraszony usłyszał głosy z za oberży, wypuszcza fajkę z ust, która spada z okna na dół.

Obaj Chotkowski i Zieliński stanęli w pozycji i już szablami się zetknęli.

OBERŻYSTA (krzyczy, ręce w górę wyciągając, błagalnie): Panowie! Hej! Kapitanowie! Na Boga! Sztab wraca!

MISTRESS MOYLER (z krzykiem): Zieliński! Wracają!..

ZIELIŃSKI (usłyszał dopiero, opamiętał się, odwrócił raptownie): Cooo?.. Sztab wraca?..

OBERŻYSTA (zbiegając już po schodach): Sztab wraca! Na Boga, panowie...

CHOTKOWSKI (spostzegając Moylerową): A jest i dama! Mistress Mac-Moyler! Wiedziałem!..

ZIELIŃSKI (szybko szablę do pochwy pakuje): Dość na dziś. (do Chotkowskiego): Uciekaj waść, bo to sądem wojennym pachnie (zapina mundur szybko, do Moylerowej): Na Boga Denizo! do alkowy...

CHOTKOWSKI (chowając szybko szablę): A pewnie że na dziś dość... Ale co się odwlecze, to nie uciecze. (drepcze, wlokąc but): Poznasz ty jeszcze moje kropidelko, Zieliński! (chwytając za butelkę z ławy).

OBERŻYSTA (do Chotkowskiego, szybko): Kapitana człowiek jest w stajni... (wskazując drzwiczki w głębi za szynkwasem): Tędy... tędy... Uciekajcie panie. Może być źle...

Mistress Moyler biegnie do drzwi z lewej i zatraskuje je za sobą. Oberżysta otwiera małe drzwiczki.

CHOTKOWSKI (przy szynkwasie): Tu pół-dolar za whisky. Hej!.. (rzuca przez kraty).

Sierżant Vanderwild staje na progu.

ZIELIŃSKI (widząc, że Denizy już niema, z ulgą): No! Chwałaż Bogu! (do Chotkowskiego): Poznam, poznam. Byleś teraz poszedł w dyabły kogucie berdyczowski!

SIERŻANT VANDERWILD (u progu, do oberżysty, ostro): Ciemno! Hej! Salonkiper!..

ZIELIŃSKI (do Chotkowskiego, ostro): I wracaj skądś przybył... (pokazuje stryczek na szyi): bo zobaczysz... (sam zmierza szybko do drzwi z lewej).

OBERŻYSTA (zaferowany): Bertie! Bertie... (do Vanderwilda): Można całe drzwi otworzyć, sierżancie Vanderwild! Nie będzie duszno! (woła głośno): Bertie!..

SIERŻANT (odsuwając drzwi): Właśnie to czynię, stary lisie!

Zieliński wyszedł w lewo. Oberżystka z prawej schodzi szybko po schodach.

OBERŻYSTA (do żony, spostrzegając): A jesteś! Rychtuj wieczerzę. Jenerałowie wracają.

OBERŻYSTKA (jeszcze wchodząc): Wiem, wiem, widziałam przez okno. (zmierza do ogniska).

OBERŻYSTA (podchodząc do Vanderwilda, słodko): Wszyscy jenerałowie wracają? Vanderwild? He?..

SIERŻANT (mocując się z drzwiami): Wszyscy nie wszyscy...

OBERŻYSTA (chyttrze): Ale spać dzisiaj będą wszyscy? Tak?

SIERŻANT (opryskliwie): Nie wiem. Co się to stary tak rozpytuje zawsze i rozpytuje. To ciekawa sztuka...

OBERŻYSTA (przestępując z nogi na nogę): Nic. Tylko chciałem wiedzieć ile nakryć przy stole, panie sierżancie.

SIERŻANT (otwiera drzwi szeroko): Czternaście jak zwykle. Chociaż nie! Czekaście! Trzynaście. Bo jenerał Pułaski gdzieś się zawieruszył...

OBERŻYSTA (niespokojnie): Zawieruszył. Oj... Ale chyba nic złego.

SIERŻANT: Głupiś jest ze swoim nic złego... Co by miało być złego... Wziął trzydziestu kawalerzystów... Ma z nimi objechać dla kontroli najbardziej wysunięte nasze stanowiska...

OBERŻYSTA: Aha! aha!.. Rozumiem. To chyba po północy wróci?.. co?..

SIERŻANT: A chyba! (wesolo): Po drodze swoim zwyczajem pewnie będzie szarpał pikiety Torysów... pewnie szpiegów conieco połapie... (pokazuje na gardło): drzewka nimi przyozdobi... ot...

OBERŻYSTA (jowialnie): Hahaha... Daj mu Boże zdrowie. Pracowity jest człowiek, to prawda. Czujny. Nie odpoczywa! nie!

SIERŻANT: A pewnie, że nie, stary worku! Ale ty też nie odpoczywaj!.. I jazda stąd!.. Idą!.. (staje w pozycji wojskowej przy drzwiach).

Oberżysta popatrzył szybko w prawo i raz po raz kłania się głęboko w stronę wchodzących.

Na progu stanęli i wchodzą teraz kolejno parami. Mac-Moyler i jenerał Arnold, poczem J. Washington ze starym Lincolnem, Sullivan z Wilkensonem, Hamilton, Green, Stephen, Knox, Conway, Maxwell, Hintington... Rozmawiają swobodnie i gwarnie. Trzymają w ręce to papiery, to szpicruty, jeden dużą wiązanekę gałęzi, jeden z długą fajką.

W drzwiach z lewej staje zatrzasnąwszy je przytem za sobą w wojskowej postawie Zieliński. Salutuje prawą ręką, w lewej trzyma ceratową tekę.

Oberżystka kłania się w pół raz po raz.

ARNOLD (wchodząc do Moylera): To są rzeczy trudne do przewidzenia. Zawsze trzeba być na wszystko przygotowanym. I to na wszystko najgorsze! I na wszystko najlepsze ..

MAC-MOYLER (z uśmiechem, słodko): Tak, tak, jenerale. Słusznie! Słusznie. Bezwarunkowo.

LINCOLN (do Washingtona): Wayne według mego zdania, Excellencyo, ma w Paoli pozycję, jeżeli już nie doskonałą, to w każdym razie zadawalniającą... Byle...

WASHINGTON: Byle z nim ciągle kontakt utrzymywać, prawda?..

LINCOLN: Tylko to... Tylko to... Byle czuł, że każdej chwili sukkurs przyjąć mu może.

WASHINGTON (przystanąwszy, do wszystkich): No, a jak wy myślicie... panowie... Czy te bagna tu, tu za lasem, za kuźnią Jonatana, czy one zupełnie... bezwarunkowo pewne?..

LINCOLN, GREEN, MOYLER: (spokojnie): Bezwarunkowo! Stanowczo... Ciągną się przez osiem jardów! Nie do przebycia!.. Grzązki grunt! Zapadają się...

SULLIVAN (do Washingtona): Zresztą i tam generał Pułaski trzyma ciągle mocne pikiety, mojem zdaniem nawet zbyt mocne. Moczary nie do przebycia...

MAC-MOYLER: Oczywiście, dopóki mrozy nie wezmą, dopóki to nie zamarznie.

LINCOLN: Tak... tak... Ale wtedy my znów będziemy o sto mil stąd... na zimowych leżach...

Zieliński postąpił dwa kroki naprzód i stanął bliżej, wyprężony. Generałowie skupili się w gronie.

WASHINGTON: Tak... tak, na zimowych leżach... Tak... (z energią): A tymczasem, kochani przyjaciele, czy najpierw wieczerza, a potem debaty? Czy odwrotnie?..

ARNOLD: Sądziłbym, Excellencyo, wieczerzę na potem. Sprawy są ważne, a fasola ze słoniną obciąża żołdki niesłychanie.

— Śmiech wśród generałów. —

WASHINGTON (wesóło): O, macie rację, panie Victorze z pod Saratogi! (w stronę oberżystki): Tedy, jejmość gospodyni, trzymajcie nam jedzenie w kociółku... my sobie jeszcze pogadamy na górze. (wskazuje na ganek).

OBERŻYSTKA (kłaniając się kornie): Według rozkazu.

— Wszyscy kierują się ku schodom. Sierżant Vanderwild zamyka wielkie drzwi z prawej. —

LINCOLN (sposstrzegając Zielińskiego): A co to? Kapitan Zieliński już wrócił... Tak tu mrocznie, żeśmy was nie spostrzegli... (do Washingtona): Zieliński...

ZIELIŃSKI (o krok jeszcze zbliżył się, saltuje): Tak. Mam honor meldować się, Excellencyo. (wręcza tekę): Członkowie Kongresu czcigodni obywatele Adams i Jefferson powierzyli mi ważne papiery z Paryża, sztafety z Charlestonu, raporty z armii północnej... Oto są... (wręcza tekę Washingtonowi, ten zaraz oddaje ją generałowi Hamiltonowi).

WASHINGTON: Wyśmienicie! Wyśmienicie!.. (do generałów): Pozwólcie, panowie, że my poprzód z Hamiltonem przeoglądniemy te papiery. Mogą zawierać coś ważnego... A potem zavezwiemy was na górę. (zmierza ku schodom).

JENERAŁOWIE (potakując, ohotnie): Prosimy! Prosimy, Excellencyo! Oczywiście.

WASHINGTON (stając już na schodzie, do Zielińskiego): Kapitanie Zieliński. Wy pójdziecie z nami, dacie nam relację ustną... (idzie po schodach).

ZIELIŃSKI (salutując): Wedle rozkazu, Excellencyo.

Washington, Hamilton z teką i Zieliński za nimi idą po schodach na górę.

Generałowie Lincoln, Sullivan, Wilkenson szybko zmierzają do szynkwasy w głębi. Green staje przy ognisku i grzeje się.

Mac-Moyler wziął pod rękę Arnolda i idzie z nim dwa kroki bliżej drzwi z lewej.

MAC-MOYLER (głową wskazując ku Washingtonowi): Ho, ho, gdzie to zapisać! Wreszcie wykrztusił komplement o victorze z pod Saratogi!

ARNOLD (lekko zdziwiony, patrzy nań): Washington? No dlaczego aż wykrztusił?.. Co chcecie przez to powiedzieć, Mac Moyler?..

MAC-MOYLER: Co chcę powiedzieć? Ano, to chcę powiedzieć, że dotychczas przecież ciągle się tu tylko mówiło o tym Kostjuszki i Kostjuszki! Tak, jakby Kostjuszki wygrał batalię nad Hudsonem.

ARNOLD: Juści! Słuszna uwaga. To stary Gates taką rozpuszczał opinię, żeby mnie w cieniu trzymać. To prawda.

MAC-MOYLER: Ech, nietylko Gates, nie! W całym Kongresie, w Wydziale Wojny... (wskazuje na ganek): Tam! ciągle się tylko wychwala zasługi Kostjuszki! O was, Arnold rzadko co usłyszeć można było!..

ARNOLD (zdziwiony): Doprawdy? Nigdy nie myślałem, że aż do tego doszło. Hoho... To nieprzyjemnie... Ostatecznie nie Kostjusi przerwał komunikację Clintona z Burgoynem, kiedy ten zdobył fort Montmery. Hahaha... I nie Kostjusi...

MAC-MOYLER (drażniący): Więc nie Kostjusi? Nie. Hoho... a ja myślałem że tego wszystkiego dokazał Kostjusi...

Washington, Hamilton i Zieliński weszli już na górę. We dwóch zasiedli przy stole na środku, otwarli tekę i przeglądają papiery. Zieliński stoi w wojskowej postawie z boku. Jenerałowie przy szynkwasię piją i jedzą.

ARNOLD: Ej, nie żartujcie, Mac-Moyler! Nie pora na koncepty! Inna znów sprawa! Byłbym niesprawiedliwym, nie przyznając, że temu inżynierowi młodemu Gates i ja zawdzięczamy wiele. To jest jego scyency geometrycznej! geologicznej!.. zaprawdę wiele... Byłbym niesprawiedliwym! (siada na ławce przed ogniskiem, nakłada sobie fajkę):

MAC-MOYLER (ironicznie): Aha... Tak... Jako kawalerzysta nie przypuszczałem nigdy, żeby scyencya geologiczna tak ważną była na polu walki.

ARNOLD: Więcej niż przypuszczacie. Wybranie pozycji, oszańcowanie, grunt, stawianie baterii, hoho! W tem Kostjusi istotnie ma węż w mózgu niezwyuczajny. A trzeba wam wiedzieć, że sukcesy i gratulacje nic mu do łba nie idą. Nadal taki jak był! skromny! cichy! ustępliwy... Chylę czoła przed tym cudzoziemcem! Niech mnie dyabli porwą, chylę czoła!

MAC-MOYLER: Hoho... Co ja słyszę?.. Nigdy nie przypuszczał, że i wyście Arnold, tak się rozmiłowali w tych wszystkich przybłędach.

ARNOLD: Skąd wicie, zem się rozmiłowałem? Od-dają co komu należy. Chwałę skromność Kostjusi i kwita.

MAC-MOYLER: Tak... Tak... Ale to Kostjusi excepcjonalnie! A inni? A jego compatryoci? Jakież to arystokraty! samochwalcy! A ci z Paryża. Każdy jakby lordem był i tu na polowanie na bażanty zjechał.

ARNOLD (wymijająco): Tak... tak... Renomują nieco, to prawda... Egzaltują!.. Takie już ich przyrodzenie.

Sierżant Vanderwild otworzył mały koszyk i wyciąga z niego sztucce, które kładzie na stole przy nakryciach, przy talerzach, oglądając poprzednio litery inicjałów. —

MAC-MOYLER (przysiadając się do Arnolda poufnie): Tak. Ale cóż na nich poradzić, kiedy umieli się wkraść w łaski, młode utrefione pustaki! Mają influencję w Wydziale Wojny. Hoho. Taki Jefferson ekstremista zakochany po uszy w tych okpiświatach! A Armstrong! White, Gates wszędzie ich protegują i wysadzają na pryncypalne miejsca! Do czego to dojdzie! Nic, tylko te firyki z Wersalu i z Warszawy.

ARNOLD (pykając z fajki): Niektórzy, trzeba przyznać, pomagają wiele! Odnaczyli się wszędzie! Mają ogień w żyłach, którego nam czasem nie staje! I scyencye strategiczne.

MAC-MOYLER: Ech, co ogień! ogień! Ale to wszystko kosztuje drogo! Na to idą pieniądze masami! (zerwał się): Bez nadziei na fortuny wielkie te hołszy te nie zjeżdżają. Tylko żeby sobie kabzy nabić, bo myślą, że my artezyjskie studnie z dolarami mamy! A wicie, Arnold, na ile myśmy się już zadłużyli przez tę rewolucję nieszczęsną? Wicie wy?

ARNOLD (wzrusza ramionami): Nie wiem. To nie moja rzecz. Moja rzecz bić się. „

MAC-MOYLER (żwawo gestykulując): Ano więc! Pomówcież z Hamiltonem! To człek godny, federalista, nie świszczypała! On wam powie! 16 milionów dolarów winniśmy już Holandyi, Francyi! Hiszpanii!.. 16 milionów!..

ARNOLD (zdumiony): Szesnaście milionów? O toć chyba bardzo dużo! Nie?..

MAC-MOYLER (krzykliwe): A chyba za dużo! To jest suma okropna! To jest coś strasznego! Ja, jako komersant z profesyi, wiem co pieniądz znaczy! Gdyby z nas wszystkich handlarzy koni trzynastu Stanów Skonfederowanych pieniądze wycisnąć, toby jeszcze pół miliona nie zebrał! Wiecie? A tu miliony wciąż idą na tą insurrekcyę fatalną! Rzeka złota się wylewa do morza... (półgłosem, chrypliwie): O... I co z tego, pytam, co z tego, co z tego! Jakie rezultaty? Piąty rok idzie od tego momentu, jak się indyjską herbatę wrzuciło do morza!.. Piąty rok od tego lekkomyślnego, występnego...

ARNOLD (prostując się, ostro): Ej, stary! hamujcie wy się nieco z wyrażeniami.

MAC-MOYLER (zziąjany): Co? Aha.. Więc niech wam będzie: (kpiąco): Piąty rok od tego wiekopomnego! wspaniałomyślnego postępku. I co?.. Coraz gorzej... coraz fatalniej! Nowy York wzięty, Boston wzięty. Ruina komercyjna. Czerwonoskórcy na nas wszędzie podburzone! W Wyoming oskalpowali kilka tysięcy... W wojsku dezercya, tysiące bez butów, bez kołder! bez...

ARNOLD (z gniewem): A przestańże raz, kasztanie stary krakać i krakać. Uszy puchną. Wiem o tem wszystkim, wiem!

MAC-MOYLER (zadyszany): Mówię tylko prawdę, szczerą prawdę jak jest. Nic nie dodaję! Piąta zima nadchodzi, a my jak stoimy? Gorzej dziadów! A dlaczego? dlaczego? Bośmy się z motyką na słońce porwali! Bo zamiast tu porządku robić, wyrzynać czerwonoskórych w pień, wygładzić ich nasienie przekłete, to myśmy się na króla Jerzego zawzięli, na Torysów, na...

ZIELIŃSKI (staje na schodach i przechyliwszy się za poręcz, woła): Jenerał Lincoln jest proszony do jego Excellencyi!

LINCOLN (jadł coś przy szynkwasiu, jeszcze z ustami pełnymi): Słyszę! Idę! (kończy zagryzać, szybko zmierza ku schodom).

ARNOLD (niechętnie): Ciszejże mówcie Mac-Moyler! Mogą usłyszeć jeszcze...

MAC-MOYLER (gorączkowo): Mówię do was Arnold, szczerze jak jest, bo wiem, że już wam też się to wszystko zaczyna niepodobać! Boście mi sami zwierzyli się, że już niekiedy macie tego wszystkiego potąd... bo przypuszczam...

ARNOLD (oglądając się po za siebie): Ciszejże! ciszej, do krośet! (tajemniczo): Pewnie, że już mam tego dosyć... Czasem mi się ta robota cała wydaje jakimś kiepskim szaleństwem! Jak widzę ten cały rozgardyasz, nieporządek, (palec ku gankowi pokątnie wygiął) jak widzę tych z Wirginii rozpanoszonych tutaj bezkarnie... dyrgujących nami, jak swymi negrami!

MAC-MOYLER (ucieszony): Prawda? prawda! Zupełnie jak negrami! Ja szkot! We mnie szkocka krew burzy się na to wszystko, co się tu dzieje... (omal szepem): Wiecie, Arnold, że ja... że ja mam przy sobie jedną taką... jeden taki manifest... ciekawy...

ARNOLD (zaciekawiony): Jaki? Może Jerzego o amnestyi? Co?..

Lincoln siadł na ganku przy stole obok Washingtona.

MAC-MOYLER (z za munduru wyciąga arkusz papieru): Taak... Dam wam go... pożyczę... przeczytajcie sobie... Potem mi oddacie! (tajemniczo): Ten manifest rozrucają po miastach Torysi... Hove go wydał... Proklamacya taka do nas, że to ostatni decydujący moment. Tym, którzy się teraz poddadzą i wejdą w porozumienie, Torysi wszystko wybaczą... o...

ARNOLD (bierze papier szybko, chowa za pazuchę): Przeczytać w każdym razie nie zawadzi. Choćby dla cieka-

wości tylko... Bo już i tak przecież mosty za nami do Brytanii spalone! Raz na zawsze!.. O żadnej zgodzie pomyśleć nawet się nie da...

MAC-MOYLER (pośpiesznie): Bezwarunkowo! Ale tak dla ciekawości! Trzeba wysłuchać i drugą stronę... Co tam też oni myślą znów o nas... Aleć, oczywiście, o zgodzie ani mowy, ani mowy! Myśmy już swój los obrali, raz na zawsze... My ich rządów nie chcemy, nie! My wolimy, żeby nami zarządzili katoliki rzymskie! (z pasyą, szyderczo): Markiz Lafayette, kawaler de Montfort, hrabia Pułaski, Benyowszky, Zieliński, Węgierski... Kikiki... hahaha...

ARNOLD (zdziwiony): Aleście się też, Mac-Moyler, zawzięli na tych cudzoziemców... Slina wam aż z zębów idzie...

MAC-MOYLER (zębami aż zgrzytnął): A zawzięłem się, zawzięłem! Nie robię z tego tajemnicy! Bo widzę co to znaczy ten francuski i polski regiment... Do czego wiedzie... Bo widzę jak te muchy zlatują się tutaj do naszego miodu, Arnold! A moje serce, moje serce szkockie mówi mi, że Ameryka dla Amerykanów!.. o!.. Tylko dla amerykańców, nie dla awanturierów, markizów! Polaków! Bo widzę jak się wiercipięty i pieczeniarczów forytuje... byle się butnie prezentowali! renomowali! parlowali!..

ZIELIŃSKI (na schodach stanąwszy, głośno): Oficcyerów sztabu głównego Excellencya uprasza na sesyę. (sam schodzi po schodkach na dół).

Sullivan, Armstrong, Wilkenson i inni: Idziemy! Słyszę!.. Idziemy Zieliński! W tej chwili! Dobrze...

Ocierają usta, odstawiają na bok szklanki, wstają z ławek.

Sierżant Vanderwild zaryglowuje drzwiczki małe, poczem biegnie do szynkwasu.

ARNOLD (oglądnął się, do Zielińskiego): Idziemy. (do Mac-Moyle-ta): Przestańcie teraz, stary I napijcie się szklankę wody, bo was szlag trafi z pasyi.

MAC-MOYLER (do Arnolda): Już... już... Pewnie, że mnie może trafić, gdy o tem myślę. (do Zielińskiego): Idziemy, Zieliński!

ZIELIŃSKI (schodząc ze schodów, do sierżanta Vanderwilda): Wszyscy nienależący, jazda! (pokazuje ręką, że mają iść precz).

Jenerałowie wchodzą na schody jeden po drugim.

VANDERWILD (do Zielińskiego, pytająco): A oberżystka?

ZIELIŃSKI (do sierżanta): Także. I zamykać drzwi!

VANDERWILD (do oberżysty, twardo): Jazda salonkiper... Fora!.. Za drzwi. I magnifika też!

Zieliński zbiega szybko po schodach i przechodzi ku lewej do alkówki.

Arnold i Mac-Moyler wchodzą na schody.

LINCOLN (stanął przy balaskach ganku i patrzy po schodach): Jesteśmy wszyscy? (liczy idących po schodach): Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

SULLIVAN (stając przy nim): Nie wszyscy... Brakuje przecież jednego...

WILKENSON (idąc po schodach): Oczywiście. Pułaskiego niema...

LINCOLN (do Washingtona): Tak. To prawda. Niema Pułaskiego..

ARNOLD (idąc po schodach, ku Lincolnowi): Inna rzecz, że już drugi, czy trzeci raz jak hrabia Pułaski nie raczy brać udziału w wojennej sesyi.

SULLIVAN (z ganku): Tak... Ale to znaczy, że gdzieś sądził się być potrzebniejszym jeszcze... Pułaski jest skrupulat w tych rzeczach...

WASHINGTON: Zaczniemy bez niego! To darmo. (wesoło): Są, kochani przyjaciele, nowiny bardzo radosne!.. Chodźcie...

Sierżant Vanderwild wypchnął w głębi oberżystę i oberżystkę za drzwiczki małe za szynkwasem, poczem drzwiczki za nimi rygluje. Zieliński wszedł do alkówki z lewej i słyhać też jak drzwiczki za sobą rygluje. Sierżant Vanderwild przechodzi teraz do tych drzwiczek i rygluje je również z tej strony, poczem staje przy drzwiach z prawej. Oficyerowie jeden po drugim drugim weszli na ganek i zajmują miejsca przy stole.

LINCOLN: Wobec tego, że Pułaski vacat, będzie nas tu trzynastu na dzisiejszej radzie.

MAC-MOYLER (siadając): Zupełnie jak przy Wieczery Pańskiej. (z naciskiem): Ostatniej Wieczery Pańskiej...

ARNOLD (swobodnie): Z tą korektą, że Judasza napewno między nami niema. (siada).

Wilkenson Sullivan i inni: Oczywiście! Chyba! Chyba! I nie będzie...

SULLIVAN (wesoło): Skonfederowanych Kolonii jest też narazie trzynaście, a Bóg Wszechmocny da, że jednakże zwyciężymy! (siada).

Wszyscy oficyerowie siedzą już na swoich miejscach. Izba oberży pusta. Vanderwild spokojnie zapala fajkę.

WASHINGTON (wstając, nieco uroczyście, mocno): Takie jest i moje zdanie w tej materyi, kochani towarzysze... Taką jest i moja niewstrząśnięta, niezłomna nadzieja! Nasza sprawa jest prosta, jasna i uczciwa. Nasze zwycięstwo musi być mocne i trwałe. (podnosząc papier w ręce, głośniej): Temci bardziej śmiem to twierdzić, czcigodni wodzowie amerykańskiego ludu, skoro właśnie przychodzi mi podzielić się z wami ponad wszystko miłą nowiną.

— Zaciekawienie wśród wojskowych. —

WASHINGTON: To, na co czekaliśmy, można powiedzieć z bijącym sercem, to co już zdawało się wątpli-

wem w czasach, kiedy uśmiechała się do nas Fortuna, a Mars był całkowicie przy naszej partyi, to właśnie teraz, kiedy przeżywamy okres kampanii cięższy, to stało się faktem.

GŁOSY PRZY STOLE: Oj cięższy, cięższy... No? No?.. Cóż więc?..

WASHINGTON: Oto, kochani przyjaciele, wśród papierów i listów, które przywiózł nam aż tutaj z Filadelfii młody kapitan... kapitan...

SULLIVAN (podpowiadając): Zieliński...

WASHINGTON (ciągnąc dalej): Zieliński, znajduje się też dokument mocno pryncypalnej wagi, który wszystkim nam rozpogodzi choćby bardzo zachmurzone czoła.

Zaciekawienie wzrosło, wszyscy poprawili się na ławach.

WASHINGTON: A mianowicie... a mianowicie Kongres Kontynentalny przesyła nam kopię utęsknionego przez nas wszystkich (uroczyście) Alliansu, jaki prześwietny rząd królewskiej...

LINCOLN (z radością i wzruszeniem): Francyi?..

JENERAŁOWIE: Francyi?..

WASHINGTON: Tak, najdrożsi! Królewskiej Francyi podpisał wreszcie z komisjonerami naszych Stanów Benjaminem Franklinem i Deanem, dnia 17-go września w rezydencyi królewskiej w Wersalu! (głośniej). Hip!

Wrażenie ogromne. Wszyscy zerwali się na równe nogi, jak sprężyną tknięci. Tylko ciężki Moyler powstaje powoli.

OFFICYEROWIE (chórem): Hip! Hip! Hurra...

Sierżant Vanderwild zerwał się też na nogi, choć zdumionły, krzyczy razem.

WASHINGTON (wesoło): Bis! Hip!

WSZYSCY: Hip! Hip! Hurra...

SULLIVAN (wesoło do Moylera): Głośniej stary. Nie przez zęby!

WILKENSÓN (z radością, ramiona szeroko wyciągnął):
No, wreszcie! wreszcie! wreszcie!

WASHINGTON (rozpromieniony): Bis! Hip!

WSZYSCY (chórem): Hip! Hip! Hurra!

WASHINGTON (wesóło): Stop! Dość. Siadajcie.
Nie mamy wiele czasu!.. Mam rację spodziewać się
teraz...

(Jenerałowie siadają jeden po drugim).

WASSINGTON (ciągnąc dalej): ...że apetyty wam się,
obywatele, poprawią i że dzisiejszą fasolę ze słoniną
sprzątniemy doszczętnie... (wesóło) ...pokropiwszy to gęsto
piwem czy miodem, co będzie...

GŁOSY (wesóło): Tak... tak... tak, Excellencyo.

WASHINGTON (poważniejąc): Otóż alliantka nasza
Francya odpowiedziała nam, jak widzicie, godnie... Im-
peratorowa rosyjska, Jekaterina, i jej kancelarya pour
les affaires etrangers w osobie wicekanclerza Ostermanna,
do których kilkakrotnie udawaliśmy się z propozycją
handlowego traktatu, nie raczyła nas nawet obdarzyć
responsem. Jego Królewska Mość Fryderyk II Pruski
raczył naszą propozycję odrzucić. Jego Królewska Mość
Stanislaus August Polski raczył nam odpisać bardzo pięk-
nie skoncypowanym listem. Co się zaś tyczy pańsw
pomniejszych starego kontynentu, to informacje o nich
pozwalam sobie odłożyć ad feliciora tempora, prawda?..

OFFICYEROWIE: Rzecz jasna! Wszystko słusz-
nie... Na później!..

ARNOLD (oschle): Tak. Do rzeczy! Do rzeczy!

WASHINGTON (do Arnolda): Całkiem słusznie. Otóż
alliantka nasza Francya pierwsza uznając nasze przyro-
dzone prawo do niepodległości.

LINCOLN (do Moylera, dobitnie): Słyszycie, Moyler?

MAC-MOYLER (odburknąwszy): Słyszę... słyszę...

WASHINGTON (z uśmiechem do Lincolna): Tak... (cią-
nie dalej) nie poprzestaje tylko na werbalnej deklaracji
swych afektów (podnosząc głos) ...ale wysyła nam na po-
moc jedną eskadrę floty pod szefostwem znakomitego
Rochambeau na północne brzegi i drugą na południowe
pod wielce szanownym hrabią d'Estaing.

— Szmer radości wśród wszystkich —

WASHINGTON (jeszcze podnosząc głos i dłonią na pa-
pier wskazując): Możemy liczyć, piszą nam, na sukurs jakichś
dwudziestu tysięcy ludzi, panowie!

— Radość i szmer wśród jenerałów. —

MAC-MOYLER (chrypliwie): Na razie jeszcze na
papierze...

ARNOLD (potakując): Tak... Tak... To prawda...
I kiedy?

WASHINGTON (poważnie, zwracając się do Moylera
i Arnolda): Tak panowie! Na razie jeszcze na papierze,
atoli ponieważ negocjacje były prowadzone między
gentlemanami z obu stron, przeto nie mamy racji po-
wątpiewać (podnosząc arkusz w górę) ...aby ten świstek
nie był rękojmnią i zadatkiem najistotniejszej rzeczywi-
stości.

Stary Lincoln pierwszy klasnął, potakując szybko głową,
wszyscy przy stole za nim.

MAC-MOYLER (ugodowo): O tak! tak, zapewne

ARNOLD (niepewnie): Pozwalam sobie jednakże za-
uważyć, że nasi wrogowie z Londynu dostają z konty-
nentu starego jeszcze więcej, bo omal 30 tysięcy ludzi...
i to żołnierza, przynajmy, świetnego. Przekonaliśmy się
o tem na własnej skórze!

MAC-MOYLER (chrypliwie, szydąc): Przetrzepanej
skórze. Hahaha...

SULLIVAN (cały w ogniu, zerwał się, wyprostował, do
Arnolda): Tak, kochany kolego, ale pozwalam sobie za-

uważyć, że jest to żołnierz kupowany! (z odrazą): Sprzedawano go Jego Królewskiej Mości Jerzemu II do służby brytańskiej jak bydło na jarmarkach po 375 franków za sztukę... Za roślejszego po 575 franków!..

MAC-MOYLER (zrywa się, również zaperzony): Nam nic do tego, jenerale, skąd Torysi swoich żołnierzy biorą! W naszych szeregach też obcy wnet już chyba zaczną przeważać.

ARNOLD (do Sullivana, twardo): A oburzać się też znowu nam tak bardzo nie przystoi, Sullivan. (odwrócił się lekko do Washingtona): I wśród nas znajdują się tacy, co do swych plantacyi kupują na targach niewolników po 375 franków.

Wilkenson, Hamilton, Green, Knox, Maxwell, z oburzeniem: To negrów! To czarnych! To co innego!

— Mocne poruszenie przy stole. —

SULLIVAN (z gniewem, do Arnolda): Tak, to czarnych i z Afryki.

LINCOLN (z gniewem): I pogan! czasem nawet ludożerców! Wielka różnica.

ARNOLD (przyparty): Zapewne, że jest różnica.

WILKENSON: Nie europejczyków! Nie białych i chrześcian!

SULLIVAN (z obrzydzeniem): I tamci (z naciskiem) sprzedają Wielkiej Brytanii! To co innego! własnych poddanych swych, mości Arnold!..

MAC-MOYLER: Zapewne, że co innego!.. Ale co nam się mieszać do spraw Europy! I co im się mieszać do nas...

ARNOLD: W każdym przypadku atoli, nam się indygnować tem, że król Jerzy kupuje najemne żołdactwo gdzie może, co najmniej nie godzi.

MAC-MOYLER (szybko): Tak! Bowiem i nasi cudzoziemcy też dla naszych pięknych oczu nie służą. Biorą pensye aż miło patrzeć.

SULLIVAN (z gniewem do Moylera): Trudno żądać, żeby nam dopłacali za to, że się pozwalają zabijać dla naszej sprawy.

LINCOLN (do Moylera): A wy, Mac-Moyler, ostatecznie jesteście w służbie waszej własnej ojczyzny, a jednak pensyi dotychczas nie zrzekliście się... He?..

ARNOLD (do Sullivana): Eee... to niech się wprzód pensyi zrzekną markiz Lafayette, lub hrabia Pułaski.

Gwar i kłótniwa atmosfera wzrasta.

WILKENSON (niechętnie): No, do rzeczy! do rzeczy! (do Washingtona): Excellencyo...

WASHINGTON: Panowie... Koledzy! Ze smutkiem widzę, iż dyskusya wojskowa weszła na tory zgoła nic z kampanią niniejszą nie mające wspólnego... Upraszam o chwilę ciszy, bym mógł przyjść do słowa...

— Ucisza się już. Jenerałowie siadają. —

WASHINGTON: Reasumując co tutaj słyszeć mi przyszło, sądzę, że przyrodzona odraza do wroga, który kupuje żołdaków u jeszcze nikczemniejszych ksiąząt z kontynentu, ludźmi żywymi handlujących, jest nam tu chyba wszystkim pospólną! Pod tym względem, przypuszczam, jednej ze sobą jesteśmy opinii... (do Arnolda) Jeżeli znakomity nasz kolega, jenerał Arnold, łaskawie zwrócił uwagę na to, że i pośród nas znajdują się tacy co kupowali ludzi do swych plantacyi, to ja jako taki... (z uśmiechem) jako w tym gronie jedyny taki, bo jako posiadacz trzystu czarnych w mem Mount-Vernoon, nie łączę się w mniemaniu o tej bolącej sprawie, z tem, co tu oświadczyli moi przyjacielowie Lincoln, Sullivan, Wilkenson...

Zdumienie u officyeruw. Głosy: Słuchać, słuchać! Słyszycie?..

WASHINGTON (ciągnie podniesionym głosem: ...ba, nawet nie zgadzam się z tem co powiedział zwycięzca z pod Saratogi, jakoby istniała różnica między tem duszokupstwem, a tamtym handlem żywymi, białymi ludźmi!

— Zdumienie wśród jenerałów. Głosy niechętnie i pomruk. —

WASHINGTON: Nie, moi najdrożsi! Niema żadnej różnicy! I nasze kupowanie niewolników jest czemś niecnem i haniebnem! Jest czemś, co wcześniej czy później jako czarna plama na honorze Stanów zmytą i wywabioną być musi. Moim skromnym zdaniem tedy, dyfferencya żadne w tem nie zachodzi. Ci i tamci są ludźmi na obraz i podobieństwo Boskie stworzonymi! Przyszłość dopiero niezbadana okazać może, którzy z nich nawet więcej na godność człowieczeństwa zasłużyli, a którzy więcej hańby czystemu człowieczeństwu przynieśli. Takie jest moje zdanie w tej materji, koledzy!

— Chłodna cisza przy stole. —

LINCOLN (sam, wzruszony, klasnął brawo): Całkiem słusznie! Całkiem słusznie Zorż! (podaje mu dłoń przez stół): I moje!..

WASHINGTON (z uśmiechem, ściskając dłoń Lincolna): Z radością stwierdzam, że mój sąd o tem nagrodzon jest jednogłośnem uznaniem... Dobrze i to... narazie...

WILKENSON, SULLIVAN: Do rzeczy! Do rzeczy!

ARNOLD: Tak! Tak... do rzeczy. (ostro): My tu debatujemy jak panowie kupcy w Indenpendence-Hall, czy w Kongresie, a tu miecz Demoklesa nad nami, Excellencyo.

MAC-MOYLER: (kpiąco): A admirałowie francuscy nie dopłynęli...

WASHINGTON: Całkiem słusznie! Nie jam też zboczył z głównego gościńca. Wracam z ochotą. (surowo): Otóż na subsydyja francuskie liczyć możemy z bezwzględną ufnością. Spodziewać się ich nam trzeba, atoli aż na

wiosnę... Tymczasem, teraz, nie widzę przyczyny zatajać między sobą, lub mówić półgębkiem, czy w cztery oczy o tem, że jest z nami niekorzystnie. Nawet więcej, powiem że jest źle, że znów musimy się cofać.

MAC-MOYLER (ironicznie): Że zwyciężamy rejterując (na stół wskazał): i na papierze...

WASHINGTON (jakby nie słyszał. brwi zmarszczył): Na przedwczorajszej sesji zdecydowaliśmy ewakuować naszą drogą Filadelfię... przewieźć szpitale z rannymi do Betlehem.

ARNOLD (niecierpliwie): Archiwa do Princeton, Kongres do Landcaster. No dalej, co dalej?

WASHINGTON (spokojnie): Wczorajszej debaty rezultatem było to, że armia nasza cała na zimowe leże przesuwa się aż do Valley Forge...

ARNOLD (twardo): No, nie cała, Excellencyo, nie cała, bo przecież dywizya...

WASHINGTON (spokojnie): Za wyjątkiem dywizyi Wayne. Tak... Dziś zaś musimy tu zdecydować pośpiesznie dwie kwestye ważne. Pierwsza to jest propozycja powiększenia kadr kawaleryjskich, jaką nam przedłożył w obszernym referacie brygadyer Pułaski...

ARNOLD: Niema Pułaskiego...

LINCOLN (niespokojnie): Gdzie on może przebywać tak długo? Przecież wiedział, że o siódmej...

WASHINGTON (spokojnie): Druga zaś sprawa czysto strategiczna polega na tem, kochani przyjaciele, jak najskuteczniej...

SULLIVAN (podpowiadając): I najdłużej...

WASHINGTON: Tak i najdłużej zakrywać odwrót armii, i to całej armii ze względu na to, że Cornwallis połączył się już z Knyphauzenem, że zagrażają zajęciem

nam drogi na Chester, że mogą nam przeciąć możliwości skutecznej i bezpiecznej...

MAC-MOYLER (ironicznie): Rejterady...

WASHINGTON (spokojnie): Tak, bezpiecznej rejterady. Czy tedy, panowie, zostawić jeszcze dywizję Wayne w Paoli? Czy cofać się i na Yellow Springs?

LINCOLN (szybko): Brac Wayne! Ja mówię brac Wayne? (do sąsiadów): Co?..

WASHINGTON (biorąc plan do ręki): Otóż, kochani przyjaciele. W sprawie pierwszej... Pisze nam tutaj generał Pułaski...

MAC-MOYLER (zrywa się, zaperzony): Panowie! Excellencyo! (do generałów): Przypuszczam, że koledzy wszyscy zgodzicie się ze mną, jeżeli wystąpię do generalissimusa Washingtona z pokorną petycją by nas wszystkich od słuchania takowego elukubratu raczył łaskawie uwolnić.

LINCOLN, WILKENSON (do Moylera): Dlaczego? Owszem... Cóż znowu?..

MAC-MOYLER (bezpośrednio do Lincolna): Dlaczego? Dlatego że można być, że można być z wielką attencją dla tego batalisty... owszem... ale te jego natrętne memoriały o powiększenie kawalerii już nam wszystkim kością w gardle stały! My nie mamy na to pieniędzy, trzeba temu kawalerowi raz oświadczyć!.. My nie mamy pieniędzy na wyrzucenie! Niech kongresmen tu obecny generał Hamilton zaświadczy. Mamy szesnaście milionów dolarów długu Stanowego. Nie ma za co butów zakupić dla dwóch tysięcy ludzi!.. A pan hrabia Pułaski de Corvin wciąż nas wprost bombarduje swymi memoriałami niedorzecznymi!

SULLIVAN (zrywając się, oburzony): Niedorzecznymi?.. Niedorzecznymi! (do Wassingtona): Excellencyo, raczcie wybaczyć! Ale epitet „niedorzeczny“ użyty przez pułkownika Mac-Moylera jest krzyżącym zuchwalstwem.

WASHINGTON (poskramiając): Panowie! Panowie! spokojnie.

ARNOLD: (szyderczo): Aż zuchwalstwem?

SULLIVAN (do Arnolda): Tak! Zuchwalstwem. Niestety, nie znajduję innego słowa na określenie! Zuchwalstwem! To jest opinia całkiem niekompetentna! Przy sięgam wam jako kawalerzysta z krwi i kości! kawalerzysta w trzecim pokoleniu...

MAC-MOYLER (kpiąco): Hoho... Aż w trzecim!

SULLIVAN: Tak, w trzecim. Pułkownik Mac-Moyler może znać się na cenach i gatunkach końskiego materiału, ale do kunsztu kawaleryjskiego, do kroćset, chyba nie rości pretensyi. (biorąc arkusz ze stołu): Tymczasem zaś projekt Pułaskiego opiera się na racjonalnej basis, panowie! Pułaski wywodzi się z nacyi, której wojskowy geniusz w wojowaniu podjazdowym, kawaleryjskiem słynie na całym starym kontynencie. Dawał sobie radę z Drehwitzem, Ebschelwitzem, Weymarnem, Apraksinem i z gorszymi od naszych czerwonoskórych, z kozakami Imperatorowej! Wiosenną kampanię rozpocząć musi kawaleria! Brytańczycy skupują konie we wszystkich koloniach! przepłacają! Stan naszej ekwitacji przed Pułaskim był gorzej, niż oplakany. Pułki Blanda, i wybaczcie tu obecnego Mac-Moylera, dawały wzór tego, do czego nieumiejętność w mustrze i brak subordynacji doprowadzić mogą... Odkąd zaś brygadyer Pułaski objął naczelną komendę, to nie potrzebuję panom eksplikować...

ARNOLD, WIKENSON, GREEN (niecierpliwie): Nie... nie... wiemy, wiemy... Do rzeczy! do rzeczy!..

LINCOLN (do Sullivana, serdecznie): Tak Sullivan! Całkiem słusznie. "

SULLIVAN (podnosząc papier ze stołu): Plan Pułaskiego czytałem, znam, oraz aprobuję. Przychylną odpowiedź i decyzję waszą uważam jako sprawę nie cierpiącą

zwłoki. Proponuję oddanie pod drobiazgową dyskusję memoryału Pułaskiego. Będę temu sekundował do ostatniego tchu. Skończyłem...

MAC-MOYLER (zrywając się, chrypliwie): Respondując koledze Sullivanowi...

ARNOLD (do Mac-Moylera, chwytając go za ramię): Wybaczcie Moyler. Jeszcze ja słówko dodam. (do jenerałów, oschle): Przypuszczam, że gdyby hrabia Pułaski przypisywał tak wielką doniosłość swemu memoryałowi, jaką przypisuje nam jego admirator, zacny kolega Sullivan, to chybaże sam personalnie sprezentowałby nam tutaj swe propozycje! sam ich bronił... a nie łowy sobie teraz właśnie urządzał gdzieś w puszczy na dziki... Nie?

GREEN, WILKENSON, MOYLER: Chyba... Pewnie... Całkiem słusznie... Tak... Tak...

LINCOLN (gorąco): Mogę wam zaręczyć mojem parol d'honneur, że jeżeli on teraz gdzie poluje, to z pewnością nie na dziki...

SULLIVAN, MAXVELL, CONWAY: Tak... Tak... Całkiem słusznie. A na grenadyerów brunszwickich! Bezwarunkowo... Na Mindorffa.

MAC-MOYLER, ARNOLD (zapalczywie): O, zobaczmy, zobaczmy, czy nie na dziki...

SULLIVAN, LINCOLN (z zapalem): A zobaczcie! Przekonacie się... Tylko cierpliwości!..!

Sierżant Vanderwild raz po raz spoglądał w górę, nieco zaniepokojony, kiwa głową, drapie się po głowie, wreszcie wpada na pomysł, drepcze do stołu i zabrawszy kilka talerzy cynowych idzie z nimi do kociołka, gdzie odchyliwszy pokrywę zaczyna wielką kochlą na talerze nakładać fasolę. Para bucha z kotła. Vanderwild filuternie raz po raz pogląda ku górze.

WASHINGTON: Kochani przyjaciele... Raczcie zaniechać zwady, proszę was. (dłonią w stół uderzył): Stop!.. Już... Upraszam bardzo... Żywię głębokie przekonanie,

że kolega nasz Mac-Moyler nieprzystojnych słów, jakich użył w prędkości, wyrażając się o szacownem piśmie do Wydziału Wojny szefa Pułaskiego, sam teraz żałuje mocno... Bardzo rad jestem, że kolega Sullivan zatarał przykrą impresję, jaką ten wyskok naszego ognistego Szkota w nas wzbudził. Hrabia Pułaski jest gentlemanem, ponad wszelkie wątpliwości bardzo odważnym, roztropnym, przedsiębiorczym. Brak mu tylko dokładnej znajomości naszych obyczajów, aby się zeń uczynił cenny oficer naszego sztabu. (do Arnolda): Ze teraz nie poluje na dziki w puszczy koło Hyphen-Tavern, to... to mogę wam...

Nagle słychać po za oberżą z za każdej ściany trąbkę alarmową. I liczne głosy i przelatywania. Równocześnie od drzwi z prawej gwałtowne kołatanie pięściami. I równocześnie z bardzo daleka pierwszy odgłos działa. Wieczór zapada.

Wszyscy oficerowie na górze zerwali się na równe nogi, pobledli, zdumieni.

Teraz i do drzwiczek przy szynkwasiu w głębi słychać stukania gwałtowne.

Sierżant Vanderwild, opuściwszy na ziemię talerze cynowe, biegnie do drzwi z prawej.

WASHINGTON (wyprostowany jak struna stanął przy balaskach): Co to?.. Na alarm trąbią?.. Co to za psi figiel?..

LINCOLN (rękę do ucha przyłożył): Słyszałem armatni wystrzał...

WILKENSON: Przywidziało wam się Lincoln!

PUŁASKI (z za drzwi z prawej, donośnie): Otwieraj! Słyszysz? Otwieraj do kroćset dyabłów...

SULLIVAN (pierwszy zbiega na schody): Musiało się stać gdzieś coś ważnego...

VANDERWILD (mocując się z rygłem): Zaraz! zaraz... Już...

Officyerowie stanęli wszyscy przy balaskach rzędem. Słychać drugi bardzo daleki huk działa. Trąbki alarmowe to bliższe, to dalsze.

WASHINGTON (nad słuchując): Słyszałem teraz huk działa... To są najwyraźniej nasze haubice z nad rzeki...

LINCOLN: To głos Pułaskiego! Pułaski!

MAC-MOYLER: Tak... Tak... to Pułaski.

Uderzenie o drzwiczki w głębi i z prawej. Wreszcie w głębi z prawej brzęknęła szyba, tłucze się okno. Sullivan zbiega po schodach.

OFFICYEROWIE (z zewnątrz, przez okno): Otwierać... Otwierać!

Teraz sierżant Vanderwild szeroko rozwarł drzwi z prawej. Wichura wpada przez rozwarte szeroko drzwi i tłumi na moment płomienie ogniska. Na dworze widać już ciemno.

Na progu staje Pułaski. Jest cały zabłocony, od stóp do głów, nieco przybladły, brwi ma zmarszczone, zaalterowany. Żnów słychać trąbki alarmowe to bliżej, to dalej.

PULASKI (łapiąc oddech, twardo): Tak! To ja...

WASHINGTON (stając przy poręczy, ostro): Co znaczy ten alarm? Kto śmiał?..

— Daleki huk działa. Kołatanie w tyle. —

PULASKI (o krok się posunął): Jam kazał Excellencyo... Wybaczcie!

Zdumienie wśród officyerów.

SULLIVAN (do Vanderwilda, wskazując na drzwiczki w głębi): Otwieraj! Można...

Vanderwild biegnie do drzwiczek w głębi.

WASHINGTON: Jakim prawem, Pułaski?..

PULASKI (buńczucznie): Mojem własnem, Excellencyo! Brytańczycy przeszli bagna. Są o trzy godziny marszu od Hyphen-Tawern! (stuknął szablą o glinę).

Wrażenie piorunujące. Jenerałowie jeden przez drugiego: Co?? Co on mówi? Bagna? Kiedy?.. To żart! Czy być może?

ARNOLD (z ganku, najgłośniej): To niemożliwe!

Maxwell i Green zbiegają szybko ze schodów.

PULASKI (wprost do Arnolda): Zdawałoby się! A jednak tak jest... Zaszli od Paoli Tavern. Dziś w południe. Bataliony z dywizji Knyphauzena. Grenadyery.

Zdumienie wzrosło: Gdzie? Jak?

WASHINGTON: Grenadyery? Od Paoli Tavern? (niespokojnie) A Wayne?..

LINCOLN, SULLIVAN, WILKENSAN: A Wayne? Wayne?

PULASKI: Dywizya Wayne, niestety, cofa się w rozsypce... Dziś przed świtem zniemacka okrażono ich, napadnięto... Resztki cofają się na lasy... tutaj...

Przygnębienie u wszystkich. Sierżant Vanderwild wpuścił przez małe drzwi oberżystę i oberżystkę. Sullivan stanął już przy Pułaskim.

SULLIVAN (ze zgrozą do Pułaskiego): Resztki?..

PULASKI: Niestety! resztki. Stracił około siedmiuset... do 8-ej rano... (do Washingtona): Przysłał do mnie konnego o 11-ej rano... Tutaj należy się ich spodziewać koło północy... (zaczepnął powietrza, zrzucił flintę z pleców na ławkę).

WASHINGTON (zgnębiony, twardo): No, a Smalwood? Smalwood? Przecież brygada Smalwooda miała w każdym wypadku iść mu z sukursem w razie czego! Gdzież Smalwood?

LINCOLN: Tak... Tak... Tak było dysponowane.

PULASKI: Jenerał Smalwood nie miał żadnej instrukcyi w tym kierunku. Nie ruszał się z miejsca. Dopiero teraz.

Zdziwienie i oburzenie wśród oficerów.

WASHINGTON (z gniewem): Jaki nie miał żadnych instrukcji Smalwood! Jak wy śmiecie mówić coś podobnego?

OFFICYEROWIE: Miał! Musiał mieć! Były instrukcje!

PULASKI (twardo): Powtarzam. Jenerał Smalwood do świtu jeszcze żadnych instrukcji nie miał. Instrukcję doręczono mu przed południem o godzinie 10-tej minut 30, kiedy... kiedy już było po wszystkim.

— Zgroza i oburzenie w kole. Wszyscy schodzą teraz ze schodów. —

WASHINGTON: To niemożliwe Pułaski! Wy jesteście w błędzie. Wczoraj rano instrukcja wysłana (do Moylera, ostro): Mac-Moyler? Co?

PULASKI (powściągliwie): Nie! Nie jestem w błędzie, Excellencyo. Mówię jeno co ściśle mi wiadome. Smalwoodowi wręczono instrukcję z komendy głównej dziś o godzinie 10-tej minut 30.

Wszyscy patrzą na Mac-Moylera, który ze spuszczoną głową stoi na boku zgnębiony, dłonie rozkładając...

MAC-MOYLER: Tak... To możliwe... Zgadza się... Nie mogę temu zaprzeczyć. Instrukcję wysłałem wczoraj późnym wieczorem. Nie myślałem, że pośpiech nakazany. Nie było adnotacji, że nagle. Odpowiadam jeno częściowo za to... Trzeba było dopisać jak zwykle na boku: rapid! rapid... (zgnębiony opada na ławkę, twarz ukrył w dłoniach).

— Chwila ciszy wśród oficerów. Jedni patrzą oburzeni ze zgrozą, inni nawet z politowaniem. —

PULASKI (przerwywając ciszę, energicznie): Mniejsza z tem panowie! Co się stało, już się nie odstanie! Tu jest rzecz ważniejsza! (nagle jakby oddech stracił, poblądł): Oj, tylko dajcie mi się czegoś napić... Pomdleję ze znużenia... (lekką siania się).

SULLIVAN (podbiega, staje przy nim, podtrzymuje go): Wody... Wody... Albo rumu...

LINCOLN (biegnie do szynkfasu): Rumu... Lepiej rumu... Zaraz będzie...

PULASKI (wskazując ręką na gospodę): Oberżę Hyp-hena musimy natychmiast opuszczać panowie!

Washington zgryziony, błydy, siadł na chwilę, czoło oparł na rękę. Hamilton stoi obok niego, zbiera papiery ze stołu.

SULLIVAN, ARNOLD, WILKENSON: Dlaczego? Cóż znowu! Musicie? Dlaczego i oberżę?

PULASKI (wyczerpany, głos podnosząc, chrypliwie): Obóz za sześć godzin może być atakowany. Las od strony bagien zagrożony... zagrożony!..

Lincoln podaje mu szklanekę rumu.

PULASKI (do Lincolna): Dziękuję... Dziękuję... Dwa-naście godzin z rzędu nie zeskoczyłem ze szkapy... Dziękuję...

Oficerowie otoczyli go kołem. Oberżysta zaciekawiony, hamując z trudem rozradowanie, zbliża się i nadśluchuje. Pułaski przysiadł na chwilę na ławce i pije duszkiem.

WASHINGTON (wstał, energicznie, mocno): Arnold! Co on mówi jeszcze? Co mówi Pułaski?.. Co ma znaczyć ten alarm pytam?

ARNOLD (do Washingtona): Pułaski mówi, że i obóz i las są już w niebezpieczeństwie. (wzruszając ramionami): Ale tego to już nie pojmuję. Jak? Jakim sposobem?

PULASKI (jakby weń siły weszły, prostuje się): Zaraz... pozwólcie!.. opowiem... Excellencyo! (zwraca się w górę do Washingtona): Excellencyo! za godzinę nie powinno z nas tu być ani śladu... Ręczyć mogę do północy!.. Niebezpieczeństwo uchylone, ale tutaj zostawać ani chwili nie można...

Washington zbiera z Hamiltonem papiery ze stołu i teraz schodzą po schodach szybko na dół. Trąbki alarmowe powtarzają się.

WASHINGTON: Ale dlaczego, dlaczego, Pułaski? Nie rozumiem jeszcze dokładnie z jakiej przyczyny. Czy wy nie egzaltujecie hrabio, jak to już pozwałam sobie zauważyć bywało? Owszem. My możemy dojść do tejże samej decyzji, ale niechże wiem dokładnie jak rzeczy stoją... Gdzie Brytanie przedewszystkiem?.. Tam koło bagien?..

ARNOLD (z lekka, kpiąco): Może wam się przywidziało, Pułaski?.. Mundury dywizji Smalwooda są tak samo czerwone, jak mundury brunszwickie armii Kniphausena... Może wyście w egzaltacji kazali strzelać do naszych własnych żołnierzy?.. To byłoby straszne!

Washington staje już obok. — Koło niego Hamilton, Green, i inni. —

PULASKI (zrywa się, w gniewie): Dość tego, jenerale Arnold! Wypraszam sobie podobne koncepty u panów! Nie można mnie więcej uchybić, jak zarzucając mi egzaltację. Nie jest teraz pora na żarty! (szuka oczyma dokoła, wzrok jego pada na oberżystę): Vanderwild! Vanderwild! (do jenerałów): Zaraz wam postaram się przedstawić dowód, czarno na białem.

— Vanderwild staje blisko, salutuje. —

PULASKI: A jesteś... dobrze... (niespodzianie odwraca się, wskazuje na oberżystę): Vanderwild! Trzymaj tego ptaszka!

Oberżysta patrzył uśmiechnięty, rozciekawiony na Pułaskiego. Teraz zobaczywszy jego wyciągniętą rękę, zbladł śmiertelnie, z trząsł się na całym ciele...

OBERŻYSTA: Jezus, Marya, Józef... Ratunku! (i rzuca się by uciec w prawo, z krzykiem): Bertie!..

Arnold i Sullivan zagroździ mu drogę; równocześnie dopada go Vanderwild i chwyta z tyłu za rękę.

PULASKI (groźnie): Trzymaj psisyna i nie puszczaj! Wiąż mu garście... (wyjmuje z za kubraka czerwony arkusik

papieru i trzyma go w lewej ręce, w prawą bierze wyciągniętą krócičkę).

Oberżystkę wyrrywającą się chwyciło w tyle dwóch żołnierzy.

Rozciekawieni oficerowie stają dokoła.

ARNLOD, LINCOLN, SULLIVAN: Co to? Zdrajca? Szpieg. Tak? Hyphen był szpiegiem?

VANDERWILD (do jenerałów): Oddawna się tego domyślałem... Nie śmiałem mówić.

PULASKI (do Washingtona): Zaraz z ust tego zdrajcy dowie się Excellencya jakie niebezpieczeństwo nam wszystkim zagrażało... Proszę słuchać. (do oberżysty): Mów, łotrzyño, wszystko! Szczerą prawdę! Sam... Godzinę temu schwytałi moi ludzie Indyanina, któremuś duszo wyrodna dał ten spis kwaterujących w oberży jenerałów!

OBERŻYSTA (padając na kolana, z rykiem): Panie! Panie jenerale. Powiem wszystko! wszystko! Jenó życie! Życie daruj!..

Vanderwild wiąże mu ręce z tyłu mocno na krzyż.

WASHINGTON (odwrócił się w tył, pośpiesznie do otaczających blisko): Niema co! (głośno): Kulbaczyć konie! Pakować wszystko w kosze! I żeby jeden paperek nie został... (klaszcze w ręce).

W oberży pokazują się jak z podziemi żołnierze. Wraz czynają wynosić kosze, zbierać rzeczy po izbie. Biegają tu i tam.

PULASKI (do klęczącego, przykładając mu wylot kruciczki omal do czoła): Śpiewaj szelmo, gdzie najbliższe forpoczty brytańskie?

OBERŻYSTA (szczękając zębami): Powiem, powiem, wszystko powiem, tylko życie, życie, życie darować... Wiem gdzie... wszystko wiem gdzie są! Ile ich jest... Zdradzę wszystko! Ich zdradzę! tylko życie, życie!..

ARNOLD (do Washingtona): Najlepiej wylać rum z beczek na podłogi i podpalić budę, żeby śladu nie zostało.

OBERŻYSTKA (w tyle): Jezus Marya! Litości, panowie! Nie palcie austery! Nie palciel..

PULASKI (kruciczkę wymierzył w łeb oberżysty): Gadaj?.. Ilu?..

WASHINGTON (do Arnolda, pośpiesznie): Całkiem słusznie. Tak się też robi. Wydajcie rozkazy odpowiednie. (do Pułaskiego): Więc?..

Arnold daje znak jednemu żołnierzowi.

OBERŻYSTA: Więc tak... Brytańczycy są już nad rzeką... Tam... Gdzie bagna... przeszli bagna. Jest ich dwa szwadrony.

PULASKI (potakując za każdym razem): Tak... Tak... Dalej Hyphen!..

WASHINGTON (do Pułaskiego): Zgadza się?..

PULASKI (potakując): Zgadza, Excellencyo... (do oberżysty) Dalej łotrze... Śpiewaj...

OBERŻYSTA: Grenadyerzy pod oberstem Mindorffem... „Błady Orzeł“, rudokórzec z Moheganów jeden... miał ich tu prowadzić na prze lasami... Jeżeli by przeszkody nie natrafili mogą tu być na jedynastą... (ręce składa jak do modlitwy, skomląc): Ale życie darujecie, darujecie?..

WASHINGTON (do Pułaskiego): Jakto przeszkód? Przecież tam były pikiety? (do jenerałów): Kto tam był stacyonowany?

PULASKI (do Washingtona, spokojnie): Bądźcie spokojni Excellencyo! Przeszkody już natrafili... Szwadrony Mindorffa zatrzymały się na dłużej... Ze stu brunszwickich burszów zapadło się już w moczarach Schnykillu... Plac na razie wygrany. Nie miałem pełnej ufności do kapitana, któremu powierzyłem te awanposty nad bagnami! Dziś rano sam wybrałem się z małym oddziałem, żeby skontrolować wszystko co tam nad rzeką. Złe prze-

czucia nie zawiodły. Kapitan gdzieś przepadł, opuścił stanowisko. Jego ludzie widząc na skraju lasu niespodzianie występujące „czerwone mundury“, już, już mieli poddać się panice... kiedym szczęsnym trafem nadjeżdżał, a mój oddział ze mną... Wywiązała się utarczka... (wskazując na prawo): Oberst Mindorff tam ranny, związany.

WASHINGTON (wzruszony i wdzięczny): Całkiem słusznie! Wyśmienicie. (jakby przypomniał sobie, brwi zmarszczył, surowo): Nazwisko kapitana?..

PULASKI (zasepił się nieco, chrząknął, powiół okiem dokoła): Chotkowski! Niestety, kapitan Chotkowski! (ciszej): mój compatriota.

Chwila krępującej ciszy. Jenerałowie patrzą po sobie, zakłopotani, poczem mimowoli wszyscy na Washingtona. Oberżysta klęczy na ziemi, wpatrzony błagalnie w Pułaskiego. W głębi żołnierze stoczyli jedną bekę, rozbili ją i zawartość jej rozlewają na podłogę austeryi.

WASHINGTON (drżącym głosem): Compatriota... Ach... Jak mi przykro... (powiółszy okiem po jenerałach, szybko): Tak... Ale potem coś dla nas wszystkich uczynił Pułaski, wam oddaję w jego sprawie decyzję. Postąpicie z nim jak będziecie uważali za stosowne... Powiecie mi potem po namyśle...

PULASKI (twardo, zakładając z powrotem kruciczkę na plecy): Nie potrzebuję namysłu, Excellencyo. To, że Chotkowski Polakiem jako i ja, nie tylko nie daje mu żadnych prerogatyw, ale ciężar jego obowiązku winno było wzmódz jeszcze... Chotkowski pójdzie pod Sąd wojenny, jak na to zasłużył. (woła w głąb izby): Vanderwild! Vanderwild!..

Sierżant Vanderwild staje przy nim. Oberżysta w przezcuciu czegoś, wyprężył się cały i dobył z siebie głosu prze-raźliwego.

PULASKI (wskazując czerwonym papierem na oberżystę):
A z tym postąpimy sobie skróconym trybem! Vanderwild!.. Stryczek na szyję szpiega! (ręką na prawo wskazał): I splugawcie Hyphenem mocną gałąź pierwszego lepszego drzewa z brzegu lasu!.. A wysoko...

Oberżysta ryknął rozpaczliwym głosem.

— Żołnierze dopadli go i wywlekają na prawo —

Kurtyna spada.

AKT III.

Dom kobiet w kolonii „Braci Czeskich“ w Nowem Betlehem.

Obszerna izba z dwoma oknami i drzwiami szklanymi, wychodzącymi na ogród warzywny, a pełen kwieciami. Przy oknach z zewnątrz pnące się kaprifolium i powoje, drzew nie widać, tylko zielen trawników, piaskiem wysypane ścieżki, krzaki róż wysokopiennych, malwy. W oddali pawie i pantarki wygrzewające się w słońcu. Izba jaśniejąca czystością, jasno-żółto tynkowana z podłogą o długich deskach. Drzwi w prawo i w lewo. U okien żółte muslinowe firaneczki, białymi wstążkami podwiązane. Nad drzwiami szklanymi, wychodzącymi na ogród, czarny krucyfiks. W obu rogach izby bliższych, półki pełne starych książek i foliów, ale półki dziwnego kształtu, jakby schody trójkątne wycięte, a na schodzie najwyższym w doniczce jakiś kwiat, gałązkami aż pod sufit sięgający. Przy oknie w głębi z lewej, mały, biały lakierowany stolczyk, przy którym dwa karła z wysokimi oparciami. Taki sam biały stolczyk z prawej, bliżej przy półce z książkami, zarzucony papierami. Przy stoliku taburet.

Wiosna roku 1779. Południe. Słońce dnia pogodnego. Z bardzo daleka, zapewne z kaplicy „Braci Czeskich“, dochodzą ciche dźwięki organów, grających melodye religijne, dziwnie znajome, jakby kolędowe.

U okna w głębi, w karle bliższym, siedzi oparłszy nogi na podnóżku ranny generał Lafayette. Przybladły mocno, rękę ma na temblaku, głowę również lekko bandażami owiniętą. Przysłuchuje się z zaciekawieniem opowiadaniom Benyowskiego. Przez okna i drzwi szeroko otwarte widać idących ścieżkami tu i owdzie i krzątających się przy ogrodowej pracy Braci i Siostry Gminy Czeskiej. Ubrani są szaro, cokolwiek po zakonnemu, ale swobodniej. Czasami widać też spacerujących rannych w białych kitlach, opartych na Braciach Czeskich.

Benyowsky wysoki, rosły mężczyzna z oliwkową, jakby cygańską, cerą, z wielkimi wąsiskami, w pół mundurze, w wysokich palonych butach, w ruchach gwałtowny i zawadyacki. Przepasany wstęgą czarno-żółtą, z gwiazdą austriacką, wiszącą na piersiach, ma order francuski świętego Ludwika, order Czarne-

Orla i jeszcze jakoweś odznaki. Włosy osławionemu awanturierowi węgierskiemu przypruszyła już nieco siwizna. Na nogę dość mocno utyka.

LAFAYETTE (głosem przyciszonym, patrząc na Benyowskiego z podziwem, ale ze szczyptą niedowierzania): Tak... Toć są rzeczy więcej niż nadzwyczajne. Słucha się tych waszych narracji, Benyowsky, jakby się czytało owe opowieści Scheherezady. (z uśmiechem): Widzi mi się, że sultan, a wy baronie, bajadera. Haha...

BENYOWSKY (z emfazą): A chybali... chyba... Śmiem wątpić, czy któryś z moich współczesnych przeżył i dokonał tyle, co ja dokazał!

LAFAYETTE: Tak... Tak... Prawdopodobniej, że zaden... Bo i całą Sybiryę przejechać! Z niewoli rosyjskiej uciec. U Dalay Lamy z wizytą być! Z japońskim mikadem parlować, świat cały opłynąć, madagaskarskim królem być wybranym..

BENYOWSKY (wesół): I znów cesarskim austriackim namiestnikiem adryatyckiej prowincji, hahaha!..

LAFAYETTE: Tak... Tak... Niestychane! niestychane! Poszczególnej rzeczy z tego dokonać jużby było czemś wielkiem, okazałem! Zaś tu jeden człowiek! Jeden i tenże sam! No, a teraz w Ameryce...

BENYOWSKY: A tak!.. tak... Tu także było mi bardzo mozolnem przedostać się. Po dwakroć mnie Brytańczyki na okręcie chwycili i do więzienia odstawiali, choćem był pod przybranem nazwiskiem... Jużem nawet rozmyślał czyby nazwiska swego nie wyjawić i służby swe Torysom nie ofiarować...

LAFAYETTE (zdumiony): Cooo?.. Jakże to... Chybam się przesłyszał...

BENYOWSKY: A tak... jako żywo... Chciałem, przemyślałem nad tem! Kto wie nawet, czy tak nie byłoby lepiej.

LAFAYETTE (aż się podniósł): Jakto lepiej? Przy tamtej partyi?.. Żart chyba...

BENYOWSKY (przystanął): Skądżeby zaś żart... Któż mi zaręczy po której partyi łatwiej się odznaczyć,.. Hoho... Może już dziś byłbym generalissimusem!.. Możebym już order podwiązki dostał...

LAFAYETTE (brwi marszcząc, suchoj): Order podwiązki?.. Generalissimusem? Odznaczyć? (wzruszając ramionami): Wyznam, że nie rozumiem.

BENYOWSKY: O, przecież to jasne, panie markizie, jak to słońce. (wskazuje ręką w górę): Przecież sława po obu stronach jednakowa! Przecież tu rozchodzi się o to, by nieśmiertelną sławę zyskać!.. by czoło sławą opromieniać, by zasłynąć u współczesników i u potomnych, by się bić jako lew, czy jako lwie serce.

LAFAYETTE (sztywnie): Juścić tak... Może i sława coś znaczy! Atoli przecież główna rzecz jest, o co się bić, za co, po czyjej partyi, czyli w służbie godziwej sprawy! Nie?..

BENYOWSKY (wymijająco): Tak... I tak o tem można sądzić! Główna atoli, żeby się bić, świetnie bić, odznaczyć!.. O!.. I lepiej się dobrze bić po stronie mniej godziwej, niżeli lichy po stronie tych, co racyę mają za sobą! Nie?

LAFAYETTE (jakby zakłopotany, ramionami wzruszając): Wiercie mi, baronie, że ja omal uszom wierzę, słysząc to, co słyszę... Nadto, nadal to uważam za koncept... Przecież nie chodzi o to, aby jeno wojować dla wojaczki samej, dla zgiełku i szczęku broni, dla awantury! i by swą żądzę krwi przelewania uciszyć! jeno by zwycięstwo wywalczyć przemocą uciśnionej stronie?.. Czyż nie tak?..

BENYOWSKY (siadając obok): I owszem, panie markizie! Owszem. I tym trybem dla wojennego rzemiosła rozgrzać można. Nie przeczę!

LAFAYETTE (uradowany): A więc? A więc, baronie kochany. Ergo rzecz pryncypalna, po czyjej stronie walczyć! I by przypadkiem choć w części nie pomódz do tryumfu podłej przemocy! szatańskiego okrucieństwa! nikczemnej chciwości! (wzruszony, powstał): A wy, baronie, zdajecie sobie sprawę z tego po czyjej partyi w niniejszej kampanii, dziś... Opatrzność hojnie tyraństwo wszystkich czasów zgromadziła... (oddycha pośpiesznie, chusteczką się chłodzi).

BENYOWSKY (lekką powstydzony): Ależ tak... wiem... wiem. Nie egzagerujcie się panie markizie... Może wam to szkodzić...

LAFAYETTE: Dobrze... już dobrze... (niecierpliwie): Ale mówcież.

BENYOWSKY: Więc tego... więc ja uznaję tak samo, że cel walki rzeczą pierwszą.. że tego... że cel nie uświęca, to jest, że środki nie uświęcają celu, alias, że walczyć na służbie tych co tyraństwo niosą nie... tego... nie jest wskazaniem. Atoli... atoli widzicie, mości Lafayette, dla mnie główna sprawa... główna, by z moich postępów rycerskich sława opromieniła moją ojczyznę... o!.. Nawet nie baczę gdzie walczę, byle ojczyznę splendorem to okryło.

LAFAYETTE (stając przed nim blisko, kpiąco): Którą ojczyznę, baronie Benyowsky? Madagaskar?

BENYOWSKY (zdziwiony, aż cofnął się w fotelu): Jako Madagaskar?.. Skądże Madagaskar?..

LAFAYETTE (mocno): Juści, którą ojczyznę ja was pytam, baronie! Wczoraj jeszcze tu na tem miejscu (wskazuje) tłumaczyliście mi przecież, że ojczyznę waszą cały świat! a rodakami wszyscy ludzie porówno! Japowie, Madagaskarzy, Węgry! Polacy także.

BENYOWSKY (wymijająco): Nooo, tak... Wczoraj... I to w innym sensie było...

LAFAYETTE (stając znów): Więc Węgry, czy Cesarstwo?

BENYOWSKY: Nie! Skądże... Mą ojczyzną przybraną Sarmacya! Polska! Nieszczęśliwe Królestwo, po które dwugłowe poczwarnic orły wyciągają swe szpony drapieżne.

LAFAYETTE: A więc! A chyba! sława na pańską przybraną ojczyznę nie padłaby z tego, gdybyś nawet odznaczył się najnieśmiertelniej, przy partyi tych, co tyraństwo świata niosą! Tylko hańba! Nieśmiertelność ale hańby! i wstyd niezmasany nigdy niczem. (oddycha ciężko, aż dech utracił).

BENYOWSKY (zakłopotany): Ależ tak, tak... Nie przeczę... Ale nie egzagerujcie, panie markizie... Lekarz wskazał wam spokój!.. A wy się tak unosicie... I bez przyczyny. (urazony): Boć przecież nie do Londynum pojechał i nie dałem się wynająć jak Kniphausen... Mindorf, czy inni, ale tutaj do was! I tu o libertas americana walczyć zamierzam przy boku waszym i Pułaskiego. (wskazał na drzwi z lewej).

LAFAYETTE (zbliżając się doń, serdecznie rękę lewą wyciągnął): Jeśli jest tak... tedy wszystko dobrze! Wybaczcież, kochany baronie! Uniosłem się nieco... ale bo też niebaczenie powiedzieliście rzecz, która mnie do żywego ubodła, a umarłych by z grobu indygnacją wstrząśniętych ruszyła. (siada z powrotem, powoli): A zwaźcież, że to usłyszeć mi przyszło z ust kawalera, do którego żywię admiracyę niepomierną! Zwaźcie, zem jako młodzieniaszek pierwszy raz brał udział w dworskim ensemble przy tej właśnie okazji, kiedy to Jego Królewski Majeść Ludwik XVI wam ofiarował własnoręcznie szablę honorową za wzorowe Madagaskarem rządzenie!.. Zwaźcie, jaką na mnie impresyę wyrzucić musiała wondrous tyłoma legendami owiana persona barona Benyowskyego...

BENYOWSKY (łagodniejąc, spokojnie): Dobrze już, dobrze... Ale wy znowu zważcie, panie markizie, w jakich to okazyach mnie obecnie znajdować się tu przyszło... Jako sam nie wiem teraz co począć ze sobą. Wałęsam się po tej Ameryce z kąta w kąt, jak Marek po piekle... (wstaje, rękami włosy mierzwi, przechadza się): Dopóki Kazimierz był generalissimusem jazdy regularnej, jam jeszcze miał szanse że mi mój plan Legionu wolontaryuszów Kongres zatwierdzi...

LAFAYETTE (zamyślony): Tak... tak... Nie przeczę. Jest kolizya teraz! Jest...

BENYOWSKY: A jest i wielka... Rok temu będzie, jak mój memoriał wniosłem. Odsyłali od Annasza do Kaifasza, od Hamiltona do Dickensona. Deliberowali nad nim miesiące. Jam tymczasem bijał się w skromnej randze, jako porucznik, pod tym i owym. Ale wreszcie powiedziałem sobie, już dosyć. Tak siebie despektować dalej nie mogę... I znów jałem szturmować z moim memoriałem. I już, już, już miałem nadzieję, że mi Legion zatwierdzą, kiedy...

LAFAYETTE: Kiedy się baron wywiedziałeś, że Pułaski z naczelnej komendy się dymisyonuje i...

BENYOWSKY: Ano właśnie... Że się Pułaski dymisyonuje i że jemu zatwierdzają w Kongresie jego dawniejszy plan Legionu towarzyszyów pancernych.

LAFAYETTE (zaciekawiony): I teraz jak rzecz stoi?.. (wesolo): Będąli może dwa Legiony?..

BENYOWSKY (przeczy energicznie): A nie! Jam ustąpił, oczywiście. Przecież nie mogę z Kaziem konkurować... Familiant mój, to jedno. a powtóre jam sobie condotierre, landsknecht, czy jak tam, a Kazio hetmańska dusza, wódz urodzon... nadto francuską szkołę ma... francuską wojenną metodę!.. o!

LAFAYETTE: Tak! tak... zna się na swoim, zna... Aleć to bardzo szlachetnie z waszej strony, baronie, żeście tak abdykowali z miejsca!.. bardzo...

BENYOWSKY (ramionami wzruszył): Nie mogłoz być inaczej... Zaczem atoli teraz niewiem doprawdy, co z sobą mam począć. Myślałem przyłączyć się do dywizyi Arnolda...

LAFAYETTE: Arnolda? Aha. Jenerał Arnold dostał obronę West-Pointu, prawda?..

BENYOWSKY: Tak... Nie lubię pracy w twierdzy... Aleć zawsze! Tam Kościuszko! Myślałem przy nim zagrzać miejsca. Teraz znowu ciągnie mnie, żeby pod starego Lincolna iść na południe.

LAFAYETTE: Pod Savannah? Tak? To tam Lincoln? Niewiem już dokładnie teraz, co gdzie... Ten miesiąc gorączki nie pozwolił mi wiedzieć o wszystkim.

BENYOWSKY: Tak... Tak, drogi markizie! Lincoln idzie odbierać Savannah... Charlestown jeszcze w naszych rękach. Ale wogóle tam nieświetnie... oj nie...

— Koło okien z zewnątrz przechodzi jedna z sióstr. Jest w białym kornecie, z pękiem różyczek za paskiem, siostra Angelika; w rękach trzyma szklankę i flaszeczkę z lekarstwem. —

BENYOWSKY: Wszystka nadzieja w sukursie admirała d'Estainga. A flota podobno już jedzie?..

LAFAYETTE: Podobno już... ale dokładnie, kochany baronie, nie wiem. To wiem tylko, że skoro cokolwiek, cokolwieczek sił mi przybędzie, wraz jadę do Francyi, by rząd Królewskiej Mości przynaglać... przynaglać... (patrzac przez okno w ogród): O... idzie tutaj siostra Angelika...

— Siostra staje blisko drzwi szklanych i tu spotyka się ze siwym mężczyzną w ubraniu Braci Czeskich, z Natanielem. Ten przenosi w rękach mały, pusty ul. Tuż przy drzwiach postawił go na chwilę na ścieżce i jakby odpoczywa. Siostra Angelika przystanęła, ogląda ul, rozmawiają swobodnie, wesolo. —

BENYOWSKY (oglądając się): A tak .. Siostra Angelika z lekarstwem... (raptownie innym tonem, opierając się ręką na kolanie Lafayette'a): Panie markizie... Wam nikogo nie przypomina siostra Angelika?..

LAFAYETTE (zdumiony): Angelika? Kogóż ona może przypominać?.. Chyba aniołów z nieba dobroliwością swą bezbrzeżną... (jakby miał jakieś wątpliwości): Ale czekajcież, Benyowsky, czekajcie...

BENYOWSKY (niecierpliwie): No... no... A jednak... Pewną damę z towarzystwa z Paryża. Asystowała, jeśli o to chodzi, również przy festynie ofiarowania mi honorowej szpady.. Sławna dama... piękna...

LAFAYETTE (aż rozprostował się na fotelu): Czekajcież Benyowsky! Na Bogal.. Już jam o tem kilkakrotnie myślał.. Ależ tak... tak... przypomina... przypomina...

BENYOWSKY: Jeszcze nie wiecie, Lafayette... Moją rodaczkę Polkę (smętnie): .. ongiś wielką... wielką damę... Duchessę a nawet...

LAFAYETTE (plasnawszy ręką w poręcz): Ależ wiem, już wiem! Tak... tak! Księżnę Kurlandzką, przyszłą Królewiczową Karolową Saską!.. Tak... Przecież tańcowałem z nią... Pierwszy mój menuet wersalski.. Tak... Cztery lata temu... Ach, jak ja mogłem zapomnieć... (chwytając za rękę Benyowskyego): Ależ zupełnie ta sama! Chód, oczy, usta! kibić!

BENYOWSKY (oglądając się za siostrą Angeliką): Prawda? Coś zadziwiającego! Ta sama kibić, ten sam słodki uśmiech, cierpienie jakoweś wyrażający... O teraz...

LAFAYETTE (wstał i patrzy w ogród): Ależ tak... tak... Jak ja mogłem tego nie dostrzedz... To dziwne... Wiecie, Benyowsky, że istnieje tutaj zabobon, jakoby każdy człowiek na tamtej półkuli miał na tej swego sobowtóra.

BENYOWSKY: O, ta istotnie jest omal sobowtorem nieszczęsnej księżny... I nawet tak samo jakby w klasztorze...

LAFAYETTE (zdumiony): Jakto? Madonna Francesca w klasztorze? Księżna Kurlandzka?..

BENYOWSKY (machnął ręką): Ooo! Już od dwóch lat! W Krakowie, tak... Nie będzie królową Sarmacyi, ani księżną Kurlandzką, nie! Porzucił ją mąż! Wypieścił i zdeptał... Z rozpacz, ze zgrzyoty, ze wstydu wstąpiła do Sióstr Sakramentek.

LAFAYETTE (cicho, wskazując na drzwi z lewej): Porzucił? Do klasztoru! Tą wesołą! promieniejącą szczęściem i niespodziewaną dołą... Boże! Boże! Któż byłby się spodziewał wonczas... Comtessa Krasińska, w której kochało się stu pierwszych kawalerów Paryża... (cicho, wskazując na drzwi z lewej): A on wie cokolwiek już o tem?.. Pułaski?..

BENYOWSKY (przeżył, wstał): Nic!.. Nic... Z nim nigdy się o tem nie mówił! Nie można... To rana niezabliźniona w sercu!.. Sam się nigdy o to nie pytał...

LAFAYETTE (nagle zaniepokojony chwytając za rękę Benyowskyego): Dobrze... ale on może się lada chwilę przebudzić... Zdrożony tak długą jazdą zasnął jak kamień... ale w południe kazał się obudzić... Czy on Siostrę Angelikę już widział?..

BENYOWSKY: Nie! Jakżeż mógł widzieć... Raniem szarym przyjechał do Betlehem... (zakłopotany): Co prawda, lepiejby było, żeby jakoś można było uniknąć tego...

LAFAYETTE (też zakłopotany): Bezwarunkowo... Takta podobna! Ale jak temu zaradzić...

— Brat Nataniel wziął ul na ręce i przechodzi koło okienku lewej. Siostra Angelika stanęła na progu i wesoło uśmiecha się do Lafayette'a. —

ANGELIKA (wchodząc): Bóg z wami bracia jenerałowie... Ale co to ja widzę... Obywatel Lafayette stoi, spaceruje... rozmawia... I rumieńce na obliczu?... Co to dzisiaj?... Benyowsky!..

LAFAYETTE (siadając, serdecznie): Już siedzę, siostrzo Angeliko... (patrzy na nią dziwnie, do Benyowskyego): Albo ten głos!.. ten głos jakież podobny!..

ANGELIKA (przystępuje do stolika, otwiera flaszkę, swobodnie): Co głos?... Jaki głos?... Tu tylko ja mam głos bracie Lafayette... I ten głos przykazuje wam szanować zdrowie, (współ do Benyowskyego) a nie prowadzić z baronem Benyowskim gorących dyskursów... (liczy krople): Raz, dwa, trzy.

LAFAYETTE: Już, już... Żadnych dyskursów! dobrze! Niech mi wolno będzie tylko jeszcze oświadczyć wam siostrzo Angeliko, że im lepiej poznaję Betlehem, tem więcej widzę w niem podobieństwa do tego, co ludzie imaginują sobie jako paradys, jako miejsce szczęśliwości wiecznej...

BENYOWSKY: Oj, to prawda, wierutna prawda...

ANGELIKA (licząc krople): ...dwadzieścia pięć. Czyż tak jest istotnie? Tedy dłączegóż, sądząc nas być rajem, nie chcecie tu już na zawsze ostać, jenerałowie?... (podaje Lafayetteowi szklanę): Proszę pięknie wypić... o tak... haustem...

— Lafayette krzywiąc się gorzko, wypija. —

ANGELIKA (flaszkę zatykając): Ta pani, co tu kilka dni temu przyjechała z Filadelfii także nam powiedziała, że to raj ziemski. Przyszedłszy atoli do tego przekonania, już tu i zostaje na zawsze. Wczoraj wpi-sała się uroczyście. Przyoblekła już nasze szaty.

BENYOWSKY: Która pani siostrzo Angeliko?..

ANGELIKA: A ta Fransuzka z Kanady, co przyjechała tu odwiedzić rannego w nogę kapitana...

LAFAYETTE (zdumiony): Zielińskiego?... Tak?..

ANGELIKA: Tak... Tak, Zielińskiego.

BENYOWSKY (zdumiony): Mistress Mac-Moyler? Piękna pułkownikowa? Hoho?..

ANGELIKA (przytakując): A tak!.. tak! Wczoraj nam wszystkim w kaplicy Zborowej wyspowiadała się Siostra Deniza z całego życia swego... (z niesmakiem): Brzydko i głupio życie wy tam w miastach bracia kochani... Chwalić Boga Najwyższego znalazła u nas schronienie i drogę jasną do szczęśliwości doczesnej. Bierzcie z niej przykład. (wskazuje na szpadę Benyowskyego): Odpaszcicie te noże zbrodnicze. Porzucicie rzemiosło rzeźników mięsa ludzkiego i weźcie się do pracy zbożnej. (swobodnie): Jeżeli wam się, obywatele, to Betlehem nasze istotnie wydaje rajem... jak mówicie.

LAFAYETTE (wyciągając do niej rękę, serdecznie): Nie tylko wydaje rajem! Ale ono jest rajem, siostrzo Angeliko. Skoro patrzę na waszą społeczność wzorową, kiedy widzę ten wasz ul cudowny, brzęczący pracą i mazołem i pieśniami pogodnymi już od rana, od brzasku, dusza mi taje z uczucia błogości siostrzo... (trzyma ją za rękę, poważnie): Ta harmonia nieskalana, w jakiej żyje te pięć setek ludzi ..

ANGELIKA (poprawiając): Pięćset dwadzieściasiedem, bracie Lafayette!

LAFAYETTE (z uśmiechem): Niech będzie pięćset dwadzieściasiedem tedy!.. Ta harmonia żywota waszego wzrusza mnie do głębi. (do Benyowskyego): No, i każdego chyba.

BENYOWSKY: I mnie także! także!.. Atoli... „

LAFAYETTE: Tak! Atoli, widzicie, nas przyroda matka do czego innego powołała.. My tutaj jeno odpoczywać możemy, leczyc się z ran i dolegliwości... nabie-

rać sił i zapasów żywotnych, by potem walczyć, walczyć o szczęście dla innych.

ANGELIKA (odsuwając się, poważniejąc): O szczęście? Walczyć?.. Gdzie Chrystus Pan powiedział, że o szczęście innych mieczem walczyć się winno? Pokażcie!..

BENYOWSKY (wstając, zapalając się): Że mieczem walczyć tego nigdzie nie powiedział. Ale przecież Chrystus Pan sam wypędził ze świątyni gromadę kupców handlujących, siostrzo Angeliko! Takoz i Amerykanie przepędzili z ziemi swojej handlarzy herbaty indyjskiej! To jedno. Powtóre co Chrystus Pan powiedział do kapitana z Kafarnaum? Czyli kazał mu zmienić zajęcie? Odpassać miecz? Nie! Widzicie tedy... Replikuję wam ewangelią Mateusza! Ool..

LAFAYETTE (z uśmiechem): A zresztą jeszcze rzecz inna. Skoro potępiacie w waszej przezacnej gminie rzemiosło wojenne, czemużto same (przyciszniej) szyłyście siostrzo z takim zapalem sztandarów, który zamierzacie dziś solennie ofiarować Pułaskiemu?.. O?.. Jakżeto?..

ANGELIKA (rumieniąc się, niepewnie): Już wam to raz eksplikowałam bracie markizie.. Dochodziły nas słuchy zewsząd jakim okazał się brygadyer Pułaski, jako wódz i generał.. Że ludzkim się obyczajem kierował wobec pobitych wrogów, że ponad wszelką miarę oszczędzał w rekwirunkach spokojnych fermerów i kupców.. Oto dlaczego sztandar dlań wysztyftowany... Zresztą spytajcie o to starego Nataniela bracie Lafayette... Właściwie, to starsi Zboru nam kazali...

BENYOWSKY: Byś sobie wiedziała, siostrzo! juścić że spytamy...

ANGELIKA: Dobrze więc. Ale teraz jeszcze raz swoje powtarzam, zbyt w dyskursy nie zadawać się. Niczem się nie egzagerować! (grozi paluszkami): I z fotela raz po raz wstawać także zabronionem, chyba że do sadu

na przechadzkę! Taka jest nasza wola... (zmierza ku drzwiom z prawej): Teraz idę do innych (z uśmiechem) cierpliwszych patientes.

Równocześnie drzwi z lewej otwierają się i staje w nich Pułaski. Twarz ma nieco pooraną bruzdami, w oczach już i przy ustach pewną zaciętość, wąs przydługi i jakby zaniedbany.

Benyowsky i Lafayette spojrzeli na siebie szybko z niepokojem, poczem za odchodzącą Angeliką. Gdy za nią drzwi się zamknęły, odetchnęli uspokojeni. Lafayette wstaje, Benyowsky idzie przeciw Pułaskiemu, serdecznie obie ręce wyciągając.

BENYOWSKY (z radością): O jesteś wreszcie, Kaziu, serce moje!..

PULASKI (wyciąga doń obie ręce, do Lafayette'a szybko): Nie wstawa! Kochany markizie, upraszam bardzo... (do Benyowskyego): Witaj Morysiu.. Witaj... Miesiączek będzie jak cię oczy moje nie widziały.

BENYOWSKY: Bez mała, Kaziu! (z troską): Oo... ale coś cię poderwało znowu. (całując się z nim kordyalnie): I spadłeś na ciebie co się zowie.

PULASKI (ściska rękę Lafayette'owi): Cokolwiek... cokolwieczek! Niema o czym mówić... (do Lafayette'a): Serdecznie się cieszę, bo widzę, że plajzerowanemu lepiej... lepiej.

LAFAYETTE (siadając): O tak! Znacznie lepiej... Nawet, zdaje mi się, że wy hrabio raczej w Betlehem dłużej wywczasować byście winni.

PULASKI: Może... może... Ja też w Betlehem myślę zakwaterować dłużej. Tutaj chcę dokończyć kompletowania mej Legii...

BENYOWSKY: Siadajże, siadajże, kuzynie drogi. (podsuwa mu fotel).

LAFAYETTE (wesolo): Tutaj? Ależ chyba nie skantonujecie naszych „Braci Czeskich?”

PULASKI (z uśmiechem): Nie! Skądżeby też! Gdzież jabym śmiał ruszać tych Nazarejczyków!.. (do Benyowskiego, stojącego): Siadaj, Morysiu, siadaj... Jam wypoczęty... Zresztą przeglądnię prędko te papiery. (wskazuje na stolik z prawej): To raporta moich komisjonerów Legionowych.

LAFAYETTE: A jak tam idzie nowy werbunek generale?.. Słyszałem że dobrze?

PULASKI (przysiadłszy się do stolika, w pół odwrócony do nich): Jak dotychczas wyśmienicie... (wziął jakiś papier do ręki) Wybaczcie... Jenó rzucę okiem... Komisjonerów werbunkowych wybrałem sobie przednich... (równocześnie przegląda papiery): Major Dubois w Albany, Palmer w Wirginii, kochany, zacny Bentalou w Lancasterze... Potem mam kapitana Kowacza...

BENYOWSKY: A, ten Ślązak. Służył w Fryderycjańskiej armii, Polak! Znam go, znam. Świetny militarysta! Rutynier.

PULASKI: O tak! Ten jest w Caston... Zna się na materyale ludzkim! (radośnie): Będzie razem trzy tysiące, ale to chłop w chłopa, jak ulał do chwytań i forpoczt, do ataków flankowych, do niespodziewanego szarpania...

LAFAYETTE: Tak... tak... Ja też oddawna uczuwałem brak partyzanckich formacyi na tym terenie.

PULASKI (zapalając się): Prawda? Prawda?.. Partyzancka robota tutaj nieodzowna! Ach, to myśmy mieli arcymistrza do takiej roboty. Przeklinali go Brytanie. Kniphausen sto dolarów nagrody ogłosił za schwytanie go żywego, tak mu zawsze flanki kasał.

LAFAYETTE: A co? Poległ już.

PULASKI: Tak! Poległ pod Valley-Forge! tej pamiętnej nocy, kiedy to tak było gorąco... (machnął ręką): I to lepiej mu że poległ ze sławą, bo inaczej... Zresztą nawet niema racyi go żałować. (twardo): Umiał życie ofiarować, obowiązku spełnić niepotrafił...

BENYOWSKY (zaciekawiony): A to ktoś z naszych, Kazimierzu... O kim mówisz?..

PULASKI: Wiesz o kim! Znałeś go. Walczył przy tobie pod Krakowem, kiedy cię pobrał Ebschelwitz do niewoli! Chotkowski...

BENYOWSKY: A Chotkowski! Chotkowski! Pamiętam, pamiętam! Konfederat, sodali, bibuła wielka. Nawet nie wiedziałem, że on legł tam.

PULASKI (czytając jakiś papier): Tak... Tak! Legł, Indyanie go posiekli na drobne ćwierci! Z plemienia Moheganów... Wyłapaliśmy ich potem... U jednego się znaszedł skalp... (figlarniej) skalp konfederacki, podgolony z czubkiem. (nagle przeczytał coś z większego arkusza, zmarszczył brwi i zirytowany mnie papier w garści).

LAFAYETTE (z spólczuciem): Ooo!.. Czyżby i coś niemiłego było w cyrografach?..

PULASKI (zrywając się): A jakżeby być mogło inaczej... skoro z „Wydziału Wojny.“ Zawsze się coś znajdzie! I zawsze z tego samego źródłowiska, zawsze!

LAFAYETTE (machnął ręką): Ach, z Wydziału Wojny! Wiadoma rzecz! Jegomościowie z kancelaryów zawsze ci sami...

PULASKI (wzburzony): Tak, zawsze! Ale jegomościowie z kancelaryów Kongresu najoczywiściej uwzięli się na mnie, (wygląda z powrotem zmięty papier) jak na złość na mnie... Odkąd tylko sławetny Mac-Moyler wyszedł z aktywnej służby i dostał ekonomiczny resort, nic tylko komeraże i szykany! szykany i komeraże!

BENYOWSKY: Żali to nie było do przewidzenia mój Kaziu?..

PULASKI: A było, było! Nie mniej jednak o złości i o cholere istną przyprawia... Ot i teraz na co to poważyli się. (przystępuje do nich z papierem, rozkłada go na stole): Baczcież, najdrożsi moi... Odpisuje mi tu jakowys

gryziopiór, jakowyś kancelarzysta, co prochu nigdy nie powąchał... nawet jego wabienia się odcyfrować nie można...

BENYOWSKY (patrzac w papier): Ham... Ham... Hawkes... nie.. nie Harkes... może Hamilton?

PULASKI: Ależ nie Hamilton... Harkinson, czy ktoś tam! Abym jeszcze raz wszystkie kwity Legii im tam do rejestru dostarczył... dla kontrolizacji powtórnaj!.. Słyszeliście!? Teraz! do kontrolizacji! kiedy już raz wszystko w ordynku wzorowym dostarczonem było! I że-bym wogóle z ekspensami się oszczędzał i rachował!.. Tak poważa się do mnie pisać jakowyś pludra z Baltimore, co może jednej batalii nawet na oczy nie widział!..

LAFAYETTE (z spólczuciem): Zapewne że nie widział... Bo skądże...

PULASKI (składając papier we czworo i chowając go za kubrak): Ale ja już mam dość tego i zadość (chodzi tam i z powrotem, gniewny): Mnie już i flegmy nie starczy ujadąć się z tymi ekspertami ekspensów w zielonych okularach! Ja im znów rogów trochę przytrę! Czekaścież ino! (klaszcze gorączkowo): Vanderwild! Vanderwild! (patrzy w stronę drzwi na lewo): Hej!..

BENYOWSKY (zdziwiony): Jaktó? Vanderwild?..

PULASKI (do Benyowskyego): A tak! Vanderwild przeszedł do mojej Legii... Błagał o to, więc mu Excelencya pozwolił. Wraz go obaczysz... (jeszcze z gniewem): Popamiętają mnie oni!..

We drzwiach z lewej staje sierżant Vanderwild i szybko saltuje.

VANDERWILD: Jestem na rozkazy.

PULASKI: Jesteś. Rozpakowałeś?.. (Vanderwild kiwnął głową) Dobrze... Pójdiesz teraz poszukać w tych izbach (wskazuje na prawo) adjutanta Zielińskiego. Popro-

sisz, by wraz się z łóżka zwlókl i tu przyszedł. Epistoła ważna jest do napisania! Już...

Sierżant Vanderwild kiwnął głową i maszeruje.

LAFAYETTE (zdziwiony, do Benyowskyego): Istotnie, Vanderwild!

PULASKI (chodząc tam i z powrotem): Ooo... ja sobie dmuchać w świecę nie dam!.. Zobaczą z kim sprawą! Audytora Legii, com go do Kongresu z rachunkami posłał, trzeci tydzień idzie jak mi trzymają. Co drugą pozycję w rachunkach mi kreślą, jakoby to było nie potrzebne! Oni niby wiedzą co potrzebne! Takowi co całe życie pieprz i indygo w papier obwijali!..

BENYOWSKY (kpiąco): Oj to prawda!.. prawda...

PULASKI: Oni niby wiedzą jakie to są ekspensa na jakitaki ekwipaż doborowej Legii!.. Ja jeżdżę, użeram się... Każde szkapsko włogawe targuję po dwie, trzy godziny!.. o każdego dolara z kupcami, co nam postawy sukna na mundury dostarczają, kłócę się jak przekupka ze Starego Miasta! a te niecnoty mi marnowanie grosza supponują...

LAFAYETTE (łagodząco): No tak znowu nie jest. O tem nie pisał!..

PULASKI (niecierpliwie, z wybuchem): A tegoby jeszcze brakowało, żeby mi tak wypisali! A toćbym lby poprzetrać!.. A toćbym konno do ich kancelaryi wjechał i kopytami ich rejestra potraktował!.. (stał naprzeciw nich): A toć właśnie ponieważ szpetny nierząd w rachunkach przyrodzoną jest wadą nacyi, z której się wywodzę, przetom z pomnożonym skrupułem i dokładnością rejestra ekspensów prowadził! Nocamim nad tem ślęczał, aż mi się w oczach ćmiło od sumowania i cyferek. Byle nie było luki! Byle nie luki! byle się wszystko godziło! Aż już kancelarzyści z Wydziału Wojny w siódme poty wpadali z irytacyi na te moje grymasy...

LAFAYETTE (z uśmiechem): Tak... Tak... Co prawda, to prawda. Skarżyli mi się tutaj, że się temu zbyt wielki walor przypisuje.

BENYOWSKY: A chybali oszczędniej nie można! Już ja wiem coś o tem.

PULASKI (do Lafayette): Zbyt wielki walor przypisuje? Otóż i widzicie, panie markizie, że jeszcze nie za wielki walor! Jeszcze im nie za wielki! Widzicie teraz co zbieram. Ustawne nieukontentowanie i nieukontentowanie i wydatków nieaprobowanie! i takowe listy!.. o... jak ten!.. (palce splótł w gniewie): Ale już dość i zadość... Trzeba się okoniem postawić! (niecierpliwie): Gdzież ten Zieliński?

Drzwi się otwierają powoli. Wsparty mocno na ramieniu Vanderwilda staje we drzwiach Zieliński. Ma całą nogę prawą obandażowaną i zgiętą; jest w szarym kitlu, przybladły mocno i zapadły na twarzy.

LAFAYETTE (z spólcuciem): Całkiem słusznie, drogi hrabio. Pełna racya przy was. Więcej niż często z tych kongresmenów wyłazi ich dawny łokieć i komersanckie obyczaje...

BENYOWSKY (ku Zielińskiemu, serdecznie): A, otóż i jest nasz biedny kuternóżka...

PULASKI (odwracając się, z ulgą): A jesteś Jasiu mój kochany. Bywaj... Znów cię zrywam z łóżka, biedaczyno. (przystępuje doń serdecznie): Wybacz, ale sprawa jest ważna, niecierpiąca zwłoki... (podsuwa mu krzesło): Siadaj... albo nie... Moryś przysuń to karło... wygodniejsze.

BENYOWSKY (zerwał się i niesie fotel ku stolikowi z lewej): Masz, masz Zieliński... (figlarnie): Oj, żeby kózka nie skakała...

Lafayette serdecznie ręką pozdrawia Zielińskiego.

Vanderwild pomaga siadać Zielińskiemu.

ZIELIŃSKI (głosem przycichłym): Dla ciebie, Kaziu, o każdej godzinie dnia i nocy. (wyciąga doń rękę).

PULASKI (ściskając mu obie ręce): Dziękuję ci zacna duszo... Otóż widzisz jest sprawa znowu z tymi... jak zawsze... Z ekonomicznym resortem Wydziału Wojny!.. (machnął ręką): A mnie już kością w gardle stanęły te z panami biuralistami jałowe dysceptacje. Masz (wyciąga z zanadru list) ...oddaję to pismo, coś mi tu przygotował od nich... Nie będziemy się wdawali z tymi kwestarzami!.. Do samego przeora pójdziem... Epistołę musimy wyróżnić... Tyś w tym, Jasiu, majster i kształcony... Listy umiesz pisać jakbyś nuncyuszem bywał... Mnie się już sprzykrzyły te petycje i molestowania Washingtona... Pisz ty... ja się jeno podsubskrybuję... Tak będzie jeszcze bardziej officiose... prawda?..

Sierżant Vanderwild wychodzi z powrotem w lewo.

LAFAYETTE (od stolika): Tak... tak... I polityczniej.

BENYOWSKY: (potakuje, stanął przy stoliku): O tak... tak... Jam też tak poczynął, gdy mi trzeba było do Jego Królewskiej Mości z Madagaskaru pisać. Tylkom się subskrybowałem!

PULASKI (zadowolony): A więc... właśnie!.. (do Lafayette): Zieliński! pięknie po brytańsku napiszesz... (do Zielińskiego): Ale tym razem Jasiu, musi być już tryb ostry... Wiesz o co idzie!.. Oni tam nieukontentowani, ale ja tu jeszcze więcej.. Wypraszam sobie takowe postęпки na zawsze.. (dumnie) Gracyalistą ich nie jestem.. Za swoje złamanego tyńfam jeszcze nie dostałem.. A nie upominam się.. Do dzisiaj dnia w domu panów Morrisów listy kredytowe miałem. Matuchna dobrodziejka i siostra co sobie odejmą od gęby mnie przysyłały... Służba moja bez profitów jest... A teraz...

ZIELIŃSKI (z uśmiechem): Przecież i na Legię samą resztę twoich funduszów dałeś Kazimierzowi... (palcem mu delikatnie pogroził): Ostatnie...

PULASKI (machnął ręką): Mniejsza z tem! Niema o czem mówić! Dość że gracyalistą Unii nie jestem...

Ale sto tysięcy dolarów Legia kosztować będzie i tyle! (płasnął ręką w stół): Ani dolara więcej, ani mniej! Ale to wszystko dostać muszę co do ostatniego penny... do ostatniego penny!

LAEAYETTE: Chyba! Chyba...

PULASKI: I to wszystko w tej ostatecznej epistole figurować musi! Czarno na białem. I trybem najtwardszym, bez restrykcjiów nijakich... Tylko w takowych kondycjach dalej walczyć o wolność Stanów mogę... Niech sobie to jegomość Washington w pamięci zakarbuję... A nie to nie!.. Niemiła Bogu ofiara... (głasnął Zielińskiego po plecach).

BENYOWSKY (wesóło): Idź cieleń do obory... po naszymu! Hahaha!..

PULASKI (do Benyowskyego): A tak! tak... Jeżeli mieć Legię to jak się patrzy!.. Nie amatorów jeno, co to przy pierwszej lepszej debakli rzucają muszkiety w zboże i jak nasi konfederaci, nieprzymierzając, dezserterują radzi Bogu do dworów i fermów swoich jak niepyszni. Na dobrą Legię pieniądze znaleźć się muszą... (do Zielińskiego): Rozumiesz?..

ZIELIŃSKI (z uśmiechem): Ja rozumiem! Byle generalissimus wreszcie zrozumiał...

LAFAYETTE (pogodnie): Tak!.. Tak!

PULASKI: Tak tedy pisz... Konspekt próbny mi pokażesz... przepisze się, podpiszę. (z westchnieniem): Może Bóg da, opowiedzą się przy mnie i za mną Gates, Sullivan, Wayne, Lincoln... (pogodniejac): A wtedy uformuje się Legię cacko... Legię nad Legiami! (do Benyowskyego, wyciągając obie ręce): Ty Morysiu dopomożesz...

BENYOWSKY (również ręce obie mu podając): Ile sił, Kazimierzul! Ile tchu, ile animuszu w sobie znajduję...

PULASKI (jasno): No więc! Byłem się z kancelaryą sławetnego Hamiltona użerać nie potrzebowałem... Byłem

nocami nad rachunkami pocić się nie musiał!.. (bezbronię ręce wyciągając): Przecież jam Polak, na Boga! niech nie zapominają o tem!

BENYOWSKY (wesóło): Tak... tak... A Polakowi rachować, to jak Syzyfowi Herkulesowych prac dokonywać... Haha...

ZIELIŃSKI (przygotowuje sobie papier na stoliku): Tak... tak. Tedy bądź spokojny, Kazimierzu. Zrobi się wszystko expedite... Ostawcie mnie tylko nieco w samotności, panowie.

LAFAYETTE: Doskonale. Ja na tę godzinę mam spacerowanie po ogrodzie dysponowane. (wstaje): Skorzystam z tego, by wam, Pułaski, sprezentować uroki ewangelicznego ustronia.

PULASKI: Z miłą chęcią, z najmiłą! Odetchnę co nieco. Myśli rozproszę zaciemnione w słońcu, które dziwnie przejasko świeci nad osadką tego ludku Bożego... Chodźmy tedy... chodźmy.

— Kierują się wszyscy trzej ku wyjściu w głębi. —

BENYOWSKY: Idę i ja z wami...

PULASKI (podając ramię Lafayettowi): Oprzej się mocno, panie markizie... O tak... Byłem miał kilka godzin ku odpoczynkowi... Dziś jeszcze według umówionego terminu ma tu zjechać z Baltimore przezacny Sullivan. Wtedy znów mi sprawy wojenne czas wszystkich odbierają... Niechżeż kilka godzin ma człek...

Wyszli pierwsi do ogrodu.

BENYOWSKY (idąc za nimi oglądnał się jeszcze, do Zielińskiego): A waćpan koncypuj tu sobie... Koncypuj... Fortiter in re, diplomacice in modo... Haha!..

ZIELIŃSKI (oglądając się, kiwa głową): Będzie, będzie mości brygadyrze... Wnet wracajcie...

Benyowsky wyszedł za Pułaskim i Lafayettem.

Przechodzą właśnie koło okien.

Zieliński bierze pióro gęsie do ręki, ogląda je, zamyślił się, patrzy w przestrzeń, teraz pióro wziął na język, lekko poślinił, patrzy, zabiera się do pisania, pisze.

Drzwi z prawej powoli otwierają się. Staje w nich Brat Nataniel. Starzec wysoki, smukły, z siwiuteńką bardzo bujną czupryną, cerę twarzy wygolonej ma młodzieńczą, ruchy spokojne, ale moc znamionujące. Pod pachą dzwiga potężną księgę klamrami zamykaną. Wolnym krokiem zmierza do półki z książkami, w lewym rogu stojącej. Zieliński pisze. Z daleka znów dochodzą organy grające. Brat Nataniel wielką książkę wkłada na półkę w szereg, przeszukuje zaś inne, wreszcie ze środka wyciąga jedną i powolnie otwiera ją. Zieliński raz i drugi oglądnięt się za nim z pewnym podziwem, wreszcie odkłada pióro na bok, lekko odwraca się.

ZIELIŃSKI: Jedną księgę odkładacie, a inną bierzecie, bracie Natanielu. (westchnął): Szczęśliwy, szczęśliwy!

NATANIEL (nie podnosząc oczu z nad książki): Szczęście to dostępne każdemu, młodzieńcze, każdemu, któren chce...

ZIELIŃSKI: Nie każdego, bracie, może sobie pozwolić na rozkosze ducha, jakie idą z czytania tyłu dzieł mądrych.

NATANIEL (spokojnie, zamykając książkę): W miarę każdego. Większa część atoli przekłada samo życie nad naukę o życiu i nabywanie wiadomości o życiu. Żal mi takich serdecznie.

ZIELIŃSKI: Zapewne i żal takich. Życie w książkach ciekawsze niż na jawie, Natanielu. Ja naprzykład, kiedy pacholeciem dorastającym był, marzyłem tylko o tem, aby być uczonym, wszechwiedzącym, filozofem, mędrcom.

NATANIEL: Co was odwiodło od tych zamiarów, Zieliński?

ZIELIŃSKI: Co mnie odwiodło? Co mnie odwiodło. Wyznać wam szczerze? Oto utworzenie pewnej

książki, w której jest zawsze więcej tajemnic, niż we wszystkich innych.

NATANIEL (spokojnie, idąc ku niemu): A tytuł tej książki jaki?

ZIELIŃSKI: Tytuł tej książki? Wyznać wam szczerze? Otóż tytuł tej książki, która sprawiła, że wszystkie inne drukowane (znacząco) od razu, od razu zbladły mi niewymownie, jest... jest... kobieta... Tak... kobieta. Poznanie pierwszej kobiety sprawiło, że wnet zapomniałem o ostatniej książce... Od tego terminu to, co drukowane, dla mnie omal nie istnieje...

NATANIEL: Wy to mówicie poważnie, 'Zieliński'?

ZIELIŃSKI: Całkiem poważnie.. Zupełnie nie istnieje. Wyznaję szczerze... Gdyby mi dawano do elekcji, czy bardzo mądrą księgę, czy urodziwą dziewczynę, zawsze sięgnąłbym po to co żywe.

NATANIEL (wskazując książką delikatnie na nogę obandażowaną): Zawsze?... A więc i teraz? Tak?

ZIELIŃSKI (bawiąc się piórem). Szczerze mówiąc, nawet teraz... (weselej) o tak... nawet...

NATANIEL (kiwając głową, z podziwem): A to ciekawe... To ciekawe! No, ale to i bardzo, bardzo śmieszne! Znacząco by to li, że po pierwsze, chłopięcy wasz affekt dla wiedzy był jeno (wskazuje gestem) przelotnym obłoczkiem przez byle jaki wiatr rozwianym. Powtóre zaś, że wam się już leczyć godziło, Zieliński, zanim was dosięgnął postrzał w nogę od brytańskiej kuli... Leczyć mózg zachorzały...

ZIELIŃSKI: Może... może... Wam trudniej, bracie Natanielu, sąd mieć w tej materii, skoro wam wiek podeszły przypruszył już czuprynę szronem zimy.

NATANIEL (swobodnie): Zapewne, zapewne, młodzieńcze!.. Dzisiaj ja liczę już sobie lat osmdziesiąt... Ale przecież i ja byłem młody i rzeźki! Coprawda też

(z lekką ironią) teraz jeszcze przepływam wpływ Slave Lake. A w całych Trzynastu Stanach nie znaszędłbyś konia tak dzikiego, któryby starego Nataniela z Betlehem zrzucił z grzbietu... Haha... (zakładając nogę na nogę z fantazją): A i teraz, bracie rotmistrzu, kiedy bywa, że jechać muszę z płodami naszymi do Filadelfii, to kiedy wjeżdżam w ulicę główną, niejedna... niejedna kobieta urodziwa patrzy się we mnie i patrzy za mną jeszcze, kiedy ja już pod ratusz zajeżdżam na moim siwoszu...

ZIELIŃSKI: Wierzę, wierzę. I zgoła się nie dziwię...

NATANIEL (poważnie): Aleć chociaż niejedna patrzy się i ogląda za starym Natanielem, ja nie patrzę na nie, jak nie patrzałem nigdy od chwili, słyszycie Zieliński? od chwili gdy nabyłem przekonania niezbitego, że tak dla tego człeka, który zmierza wprost siebie do sławy... jak dla tego, co w głąb wiedzy dąży, nie ma momentu zdradliwszego nad ten, w którym (dobitnie) on się oglądnie po raz pierwszy za kobietą urodziwą... Czy się mylę może?..

ZIELIŃSKI: Nie, nie mylicie się, bracie Natanielu. A jednak.. czekajcież... a jednak jest except z reguły... jest. Czyż wszystkich czasów rycerze błędni nie dążyli do sławy, właśnie oglądając się za bogdankami swemi, właśnie zdobni we wstęgi uroczyste od nich, właśnie zakochani i kochliwi... Ha?..

NATANIEL (surowo, poważnie): Ja nie mówiłem o dążących do wielkiej... „sławy“, Zieliński! Mówiąc o sławie, skądżeż mogłem mieć na myśli znakomitych rycerzów, czy też morderców?

ZIELIŃSKI (jakby przypominając sobie, w czoło się plasnął): Aha prawda... Przecież wiem dobrze pamiętam... Według was, Bracia Czescy, niema żadnej dyferencji między wielkim wojownikiem a pospolitym mordercą... Hahaha... Prawda?..

NATANIEL (zdziwiony): Niema? Jaktó niema? Według nas? Kto was tak pouczał?..

ZIELIŃSKI (zakłopotany): No, przecież Gmina wasza potępia wojny wszelakie, odrzuca prawo miecza, nie pozwala nosić żadnych urzędów, a największego choćby batalistę stawia na równi ze zwykłym rzezimieszkiem, co człeka w lesie napada i morduje.

NATANIEL (zerwał się oburzony): Na równi? Kto wam tak kiedy mówił, bracie Zieliński! Skąd wam przyszło powtarzać podobny fałsz! Jakimże to sposobem my moglibyśmy porównać takich traktować! Człowiek, co w gniewie zabił człowieka, zawsze, omal zawsze zasługuje na winy przebaczenie, zawsze jeszcze zbawienia godzien. Zabił jednego! (grożąc dłonią wyciągniętą): Ale człowiek opętany przez ducha Kainowego, który nie w gniewie a w spokoju z innymi podobnymi sobie szaleńcami morduje setki i krocie... ten godzien jest tylko pogardy i niesławy! I niemasz takiego przekleństwa, któreby nie powinno spaść na jego głowę i na jego mózg zarazony obłędem!

ZIELIŃSKI: Zaczem wedle waszych kanonów niemasz hetmanów zasłużonych? i niemasz godziwej wojny? Tak? Nullo modo?

NATANIEL: Wojny godziwej? Godziwej wojny? Jakżeż to? A może być srebrne złoto? lodowata spiekota?.. może być płynny kamień? miękkie żelazo?.. Zieliński?.. A słodka gorycz? Trucizna uzdrawiająca?..

ZIELIŃSKI (z zadowoleniem): A właśnie że bywają. Ja sam teraz zażywam truciznę, która mi zdrowie ma przyprowadzić! Widzicie? A może właśnie wojny są takimi truciznami uzdrawiającymi. He? I widocznie są one konieczne w Bożym porządku świata, skoro są. A że są, to wiecie. I to ustawicznie są. Co jedna się kończy, druga zaczyna gdzieś na drugiej hemisferze. Pono nawet wedle pewnego mytu nie było na globie ziemskim

od stworzenia świata ani jednej, słyszycie Natanielu, ani jednej sekundy, bez wojny gdziekolwiek toczonej!

NATANIEL: Podobno! podobno... Antychrystus ze swemi pokusami panowania jednych nad wszystkimi innymi przenosi się jeno ze stolicy do stolicy, by omaniać mózgi... Tak mówi i ta książka na ten przykład. (kładzie na stole przed Zielińskim książkę, którą wziął z półki przed chwilą): Dziś jest w Rzymie Antychryst, jutro w Babilonie, to znowu w Madrycie Filipa króla, to w Paryżu Ludwikowym.

ZIELIŃSKI (klasnął w stół, z zadowoleniem): A właśnie, a właśnie! I dziś kiedy my to mówimy, anno 1779, jest Antychryst w Izbie lordów, tam! i w pałacu Złotym opasłego Jerzego! I przeciw temu Jerzemu, przeciw tym Antychrytom my prowadzimy wojnę! godziwą Chrystyańską wojnę... o przyrodzoną wolność! Takową wojnę Chrystyańską nawet wy, Bracia Czescy, wy lud wybrany, powinniście z potępiania wyłączyć... o...

NATANIEL: Wojnę? i Chrystyańską? Toć jest znów contradictio!.. Nigdy się to nie godzi z Nowym Testamentem! Nigdzie niema i słowa o godziwej wojnie w Piśmie Świętem, które alfą i omegą naszej komuny w Betlehem. A to coś, bracie Zieliński, tu powiedział o nas jako o ludzie wybranym, toć jest fałsz i toć żywe źródło wszelkiego złego! (z ogniem): Niema narodu ni ludu wybranego na ziemi! Wszystkie narody są równe, wszystkie powołane! Oto mianowicie gdzie wojny wszelkie czerpią swe moce piekielne! Co czas jakiś staje naród, który zaraziło mniemanie, że on jest narodem wybranym, „narodem jedynym!“ I oto gdzie duch się jawi Starego Testamentu! Jehowa Zebaoth, Bóg narodu wybranego, jest bogiem wojen wszelkich! Era wojen, to era w której On, stary Zebaoth wybranego Izraela, bierze znów w swe ręce rządy świata i rozpętuje złe potęgi! Era pokoju, to era powrotu Syna do władzy!.. Niema wojny

godziwej, młodzieńcze! Niema narodu wybranego! Niema Chrystusa nigdzie czasu wojen i morderstw! niema!

ZIELIŃSKI (od chwili wziął już książkę w rękę i z pewnem zdziwieniem przypatrywał się oprawie, teraz odłożył znów, słuchał): Dobrze więc. Jeśli tedy w czambuł tak potępiać wszelkie miecza użycie, bracie Natanielu, jakżebyście postąpili, gdyby rudoskórcy wypadli z gór na wasze Betlehem, by przemocy nad wami dokazać, niewiasty wam porwać! zniszczyć te cudne wirydażyki, pola orne spustoszyć! byłoby uwieść!

NATANIEL: Indyanie z najdzikszych szczepów wiankiem jakby otaczają naszą komunę! Bywają u nas często jako goście, by fajkę pokoju wypalić! Oglądają z admiracją nasz młyn, nasze tartaki, nasze zagony warzywne! Warsztaty nasze nazywają świątyniami „Ducha Białego.“ Nauczyli się sami już w pracy wytężonej znachodzić rozkosz niewypowiedzianą. Nauczyli się od nas karczować lasy, farbować wełnę, napój z soku klonowego wyznaczyć. Czyż możliwe żądać jeszcze czegoś więcej od tych dobrych rudoskórych górali?

ZIELIŃSKI (śmiejąc się, ironicznie): Dobrych rudoskórych? Hahaha... Dobrych rudoskórych Indyan, (z oburzeniem): Indyan, którzy trzy tygodnie temu sprawili piekielną rzeź w Wyoming! Dobrych Chipawayów i Chirokezów, którzy oskalpowali kilka setek niewiast i starców! (z gniewem): przeciw którym szykuje się ekspedycja wojenna pod Sullivanem, by ich zgładzić, zniszczyć doszczętnie, wytepić do cna za ich praktyki szatańskie..

NATANIEL (również z gniewem): Jeżeli się szykuje taka wyprawa ognia i miecza, to niech będą trzykroć przekłęci ci, co w niej partycypują. Bo wyście, wyście to sami rozbudzili w nich ducha wojennego! Wy, judząc ich wzajem! Wyście im dali muszkiety na plecy i gorzałkę w dłonie. (z ogniem): Myśmy ich uczyli pracy i wiary już od dwóch pokoleń! Słyszycie! pracy i wiary! nie mordu i chciwości.

ZIELIŃSKI: Bywało że i na was napadały te Tatarskie ćmy! bywało.

NATANIEL: Nigdy! Słyszycie, Zieliński, nigdy... Od tego mamy palisady mocne wokół... Od tego mamy nasze straże (prężąc ramiona) i naszą siłę... Bo siłę miecz trzeba, Zieliński, trzeba. Jenó używać jej należy tylko dla obrony, nie do napaści! Napaść nigdy nie jest godziwą. Wojny ostaną zawsze jeno chorobą i hańbą człowieczeństwa... zawsze czasami powrotu władztwa Jehowy Zebaoth!.. My potępiamy wojenne rzemiosło wszystką mocą naszych dusz, w każdym przykazaniu naszej wiary! każdym drgnieniem!

ZIELIŃSKI (nie wytrzymał, zerwał się): Ależ dobrze! już dobrze! Słyszałem tylokrotnie, bracie Natanielu. Jakoż się to atoli godzi, pytam, z tem co dzisiaj tu odbyć się ma... Jakoż się to godzi z ofiarowaniem wyszywanego w Betlehem sztandaru mistrzowi wojennego rzemiosła, Pułaskiemu... Jak to eksplikować?.. (oparł się o stolik).

NATANIEL (ręką uspokaja go, prosi aby usiadł): Siądźcie wprzód, Zieliński... Wiedziałem, że o to zapytacie! To sprawa inna znowu. (Zieliński przysiadł, Nataniel przystępuje bliżej): Sztandar przeznaczon jest obrońcy wolności i praw przyrodzonych! Nie dla commandanta wojsk napastniczych! Dla bohatera, co pomoc niesie uciśnionym... A w Ewangelii Mateusza 26, 53 czytamy, jako Chrystus Sam modlił się w Ogrójcu, aby mu Bóg Ojciec przysłał ku pomocy dwanaście Legii Anielskich... To jedno...

ZIELIŃSKI (uśmichając się): A więc! Tedy nawet o dwanaście Legii, bracie Natanielu! Widzicie więc.

NATANIEL (siadając obok): To jedno. A po drugie z tej przyczyny, Zieliński, że Pułaski jest Polakiem!..

ZIELIŃSKI: Temcibardziej! Wedle waszej wiary miesza się nie w swoje! wojuje i miecza dobywa ku obronie nie swoich!..

NATANIEL: Temcibardziej więcej, wedle naszej wiary. Pułaski wywodzi się z nacyi, względem której my, my tu (ręce szeroko rozpostarł) w Betlehem! my bracie kochany, zaciągnęliśmy dług niespłacony. Dziś jeno korzystamy z okazji szczęśliwie nadarzonej, by w osobie Polaka sławnego uczcić ojczynę jego. (wstał, rozprostował się uroczyście): Tak, bracie Zieliński! Wiemy to od dziadów naszych, a im przekazali dla pamięci ich dziadowie znowu, że ongiś, ongiś... lat temu dwieście już będzie, kiedy gmina nasza! gmina czyście Chrystyańska, znosiła srogie prześladowanie i udręki od Cessarczyków. Jedynym narodemu którego schronić znaszliśmy i wolność obrządku naszego sprawowania, byliście wy!

ZIELIŃSKI (wstał wzruszony, oburącz oparł się o stół, wpatrzony w Nataniela): Co? co ja słyszę?..

NATANIEL (wskazując mu na książkę na stole): Weź do ręki, Zieliński, choćby tę książkę... Przypatrywałeś się jej, bo już ci coś się znajomem w niej zdało... Tak... Oto księga w Polsce... u was drukowana!..

ZIELIŃSKI (wzruszony, książkę do ręki wziął, wpatruje się w oprawę): Tak... Tak... „Trąby“ Radziwiłłów... Co to? Co to znaczy?..

NATANIEL: To podobno godło, czy herb, jak to u was w Europie nazywają, tej familii, co się nami biednymi wygnańcami zajęła... Ale takich było więcej... (wskazuje na półkę z książkami na prawej stronie): Tam macie, Zieliński, jeszcze inne księgi takż u was w Polsce drukowane... (staje przy nim): Sami obaczcie. Wesprzyjcie się na mnie... o tak... Pokażę wam.

Zieliński oparty na Natanielu zmierza szybko ku półce z książkami z prawej. Wzruszenie nim owładnęło.

NATANIEL (wiodąc go): Mój dziad jeszcze, kiedyśmy w Herrnhucie byli, opowiadał mi całymi wieczorami o tem, co zasię jego pamięci przekazał jego dziad, starszy Zboru... Kiedy przed torturami i kaźniami pierwsza Gmina nasza opuściła pierwsze gniazda nasze... na Morawach, Lgotę, Litomyśl i jak tam jeszcze...

— Zieliński stanąwszy przy półce wyciąga pierwszą książkę z brzegu, ogląda, otwiera, słucha, potakuje. —

NATANIEL: U was, u was tylko w Polskim państwie znalazła schron, opiekę, wolność wyznawania swej wiary, czystej, ewangelicznej wiary...

ZIELIŃSKI (czyta napis w książce): Illustrissimi Domini Stanislao Ostorogi, castellani Posnaniensi dedicatum.

NATANIEL (wyciąga inną księgę): Oto na ten przykład Catechesis Racoviensis... To nie nasze... To anabaptystów Biblia... Także u was protektorów znaleźli... Spotykałeś się, bracie Zieliński, tu u nas w Stanach z takowymi, co się Baptystami zowią po miastach... Jest ich sporo wszędzie... To nie nasi, ale nieco nam bliscy!..

ZIELIŃSKI (potakując, jeszcze zdumiony): Znam kilku pułkowników tej konfesji! Nawet kongressmenów! Ale skądże...

NATANIEL: Ale skądżeż mogłeś przypuszczać, że ta konfesja, co teraz w Stanach ma tylu wyznawców, z twojej wojnami szarpanej ojczyzny się wywodzi? Tak?.. A jednak tak jest...

ZIELIŃSKI (inną książkę w rękę wziął, ogląda): Istotnie... A ta znowuz sumptem Leszczyńskich panów drukowana!.. Boże, Boże! Skądżeż człek prosty mógł supponować, że tu, tu... na hemisferze amerykańskiej znajdzie...

NATANIEL: A tak, tak... Te księgi wszędzie jechały, gdziekolwiek nami los okrutny często miotał. Habent sua fata libelli!.. (biorąc książkę do ręki): Obaczcie teraz, bracie miły... Czemżeż jest więc dziewczę, dziś

jeszcze najurodziwsze, a za rok już może garść prochu ziemskiego... wobec tego... wobec nieśmiertelności tej libelli!.. (zagląda do środka książki) u was w Lesznie, in Lissa drukowanej, z której konfessyę pobraną, wyznają dzisiaj tu w Ameryce krocie... krocie!..

ZIELIŃSKI: Zaprawdę, w głowie się maści... któżby się mógł był spodziewać... Przecież o tem wszystkim z nas Polaków ni jeden, ni jeden nie wie... do dziś dnia... do dziś dnia!..

NATANIEL: A widzisz, widzisz... A tak jest jednak... W niektórych nacyach świata pojęcie o nieskończoności może dawać głównie ogrom nieświadomości tego, co nacya ta nie wie o sobie samej!.. Tak jest może i u was... Może... Ale oto i wiesz teraz racyę, dla której sławnemu Pułaskiemu dzisiaj hołd tu złożyć zamierzamy...

ZIELIŃSKI (znów księgę biorąc): Tyle książek! Tyle! Takie skarby... Szkoda, że przeważnie po łacinie! szkoda...

NATANIEL: Jeszcze jest tych książek więcej... (wskazuje na prawo) I są jeszcze inne pamiątki z ojczyzny twojej... Wizerunek jednego polskiego lorda, zawieszony tam, gdzie kwateruje teraz Pułaski. Chodź, Zieliński! oglądniesz sobie... (otwiera drzwi z prawej) Oprzej się na mnie... mocno! Nawet nie wiemy kto on zacz... Może nam powiesz.

ZIELIŃSKI: Może... może... chodźmy, chodźmy Natanielu... Istotnie, dzieją się na Bożym świecie rzeczy, o których się żadnemu Polakowi ani śniło... ani...

— Głębią za oknami przechodzą szybko Benyowsky i Sullivan w płaszczu. Za nimi młody człowiek w odzieży Brata Czeskiego niesie niedużą skrzynkę. —

BENYOWSKY (za oknem): Uciesz się bardzo, żeście przyjechali, jenerale... Przed momentem była o was mowa...

— Zieliński i Nataniel wychodzą w prawo. —

SULLIVAN (stając na progu): Droga była uciążliwa... bardzo... „Błady Orzeł“ na wszystkie gościńce wysła swoich opryszków rudoskórych... Dwa razy musieliśmy się ostrzeliwać co się wlezie. (do braciszka w głębi): Dajcie bracie, to puzderko ot tu... tymczasem. A cóż Pułaski?

— Wchodzą Benyowsky, Sullivan. Braciszek, głową kiwnąwszy, stawia puzderko pod ścianą. Kłania się i odchodzi z powrotem. —

BENYOWSKY: Nie mogę ukrywać przed wami, jenerale, tego, że zgoryczonym jest do dna duszy... (wskazując na stolik): Właśnie preparuje się tu list do Excelencyi.

SULLIVAN (zrzucając płaszcz z ramion i kładąc go na poręcz krzesła): Nie dziwię się... wcale się nie dziwię... Dziwiłbym się raczej, gdyby cierpliwość jego jeszcze przeciągała się nad miarę... (idzie do puzderka, bierze je, poczem stawia na stoliku w głębi). Wszystkie te obstacły w kongresie i te dokuczliwości robią mu panowie federaliści... Hamilton, Mac-Moyler... Arnold... o...

BENYOWSKY (siadając okrakiem na krześle): Pułaski też domyśla się, że to Mac-Moylera machinacye... odkąd został dysgracyonowany... A jeszcze przedtem, odkąd go spodziewany awans minął.

SULLIVAN: (otwierając puzderko kluczem): Nie tylko o to, nie tylko o to, baronie Benyowsky. Mówmy całkiem szczerze... Stary kasztan zawziął się z innej jeszcze przyczyny.. Nie przepominajcie, brygadyerze, że Mac-Moylerowi młodą ukochaną żonę uwiódł szpetnie wasz compatriota...

BENYOWSKY: A tak... tak... Zapewne, że i w tem przyczyna mstliwości Mac-Moylera.

SULLIVAN (wyciągając plik papierów z puzderka): Nawet bardzo ważna... U nas w Ameryce na te rzeczy bierze się wzgląd wielki... całkiem inaczej, niżli w Wersalu

czy w Warszawie. (ogładnął się ku Benyowskyemu): Cudzołóstwo jest cudzołóstwem! Nie czem innym.

BENYOWSKY: Podobno... podobno... Mówiono mi o tem...

SULLIVAN (trzymając papiery w ręku): I tak jest bez wątpliwości... I te afery, jakie później z tego wynikły... ten cudowny omal ratunek cudzołożnej pary wonczas w nocy z płonącej gospody Hyphena.. i ten później duell męża rogacza z Zielińskim... i ta ucieczka pani Denizy tu do Betlehem... to wszystko ośmieszyło, zaczem rozsierdziło starego Szkota niewypowiedzianie...

BENYOWSKY: Juści! juści! Ale cóż temu winien jenerał Pułaski?.. Skądżeż na niego rankor innych panów kancelarzystów.

SULLIVAN (przechodząc z papierami do stolika z lewej, zatrzymał się i odwrócił na chwilę): Wielcy ludzie każdego narodu ponoszą odpowiedzialność za błędy i winy swych małych! całego mrowia swych compatriotów... Darmo, ale tak jest! Mac-Moyler podburza teraz wszędzie umysły przeciw cudzoziemcom... (kładzie papiery na stole): Biedny Pułaski cierpi szykany za burdy tego... tego co poległ... Chotkowski... i za koguci animusz kawalera Zieliński...

BENYOWSKY (już nieco urażony): Zapewne... może... ale ostatecznie animusz koguci nie przeszkadza naszemu Zielińskiemu chlubnie spełniać swój obowiązek, jenerale! Świadczy o tem choćby ten ciężki postrzał w nogę...

SULLIVAN (porządkiem układa papiery na stole): A tak, tak Zieliński jest officyerem bez przygany... kawalerzystą pierwszej klasy.

BENYOWSKY: A pozatem chciałbym, byście go widzieli, jenerale, z jakim zapałem i akuratessą pomaga obecnie, choć ciężko plajzerowany, w formowaniu Legii.

SULLIVAN (odwraca się, zaciekawiony): A jakże to idzie, jak wam idzie?.. Bardzo się na to ciekawią kongresmeni?!

BENYOWSKY: Mniejby się lepiej ciekawili a prędzej więcej monety przesyłali! Idzie wysnienicie. Już ja mogę o tem coś powiedzieć. Będzie sześć kompanii piechoty, dwa szwadrony jazdy, ale excellentnej... Troupiery co się zowie...

SULLIVAN (uradowany): Chwałaż Bogu! chwałaż Bogu! Chociam baptystoskiej confessyi, dam na mszę w katolickim zborze, jeżeli się Pułaskiemu ta Legia poszczęści.

BENYOWSKY: Musi się poszczęścić! On teraz dopiero pokaże co umie i jakim jest commandantem! Do tych czasów główna komenda ustawnie na przekór mu działała. Zawszeście mu rozbijali brygadę kawaleryjską i poszczególne szwadrony detaszowali do oddziałów piechoty. W takich cyrkumstancyach nic większego nie można było przedsiębrać.

SULLIVAN: Przyznaję, przyznaję... Dla tego też się dymisyonował... hrabia Kazimierz.

BENYOWSKY: Teraz wszystko pójdzie inaczej. Konnica składa się z dzikich pastuchów, ale junaków di primo kartello! Piechota z prawdziwych wolontaryuszów, gotowych na wszystko! A jak on to w kluby wziął... jak wziął...

SULLIVAN (radośnie): Powiedzcie, baronie! powiedzcie! Jest tak rzeczywiście?..

BENYOWSKY: Mówię wam prawdę najprawdziwszą. Tamtej kawalerii regularnej zreformować czart by sam nie zdołał. To była stajnia Augiasza, z taką hydrą niesubordynacyi i Herkules z maczugą byłby sobie nie poradził...

SULLIVAN: Prawda, prawda... Wiedziałem i ja to.

BENYOWSKY: To zasię w kluby pobrane było od samego początku!.. Kazimierz wie, co to niesubordynacya! Z naszych doświadczeń, z polskiej konfederacyi,

gdzie wszystko było jak groch z kapustą i żarło się jak pies z kotem. Niczego tedy tak nienawidzi pełnem sercem, każdą żyłą, całym swem przyrodzeniem, jak właśnie niesubordynacyi. Wy skorzystacie z jego doświadczenia i jego do nieładu nienawiści zapiekłej... Legia będzie jak korpus z Termopil... Trzy tysiące ludzi stanie jako jeden człowiek! jako instrument... Obaczycie...

SULLIVAN (siadając, radośnie): Ach, to mi ciężar spadł z serca! To się raduję ponad wszelkie słowa. Konieczny nam i nieodzowny jakiś korpus doborowy. Zle jest bowiem, baronie. Nieprzyjemną nowinę ze sobą przywożę... Musimy się wszyscy wziąć na pazury... wyteńczyć wszystkie moce... naprawić to, co...

BENYOWSKY (niespokojnie): Ale cóż takiego znowu?.. Co takiego?

SULLIVAN: Zle na południu, Benyowsky! Savannah padła! Majtland zajął Beaufort!

BENYOWSKY (przerażony): Savannah padła! Boże miłosierny! Ależ to fatalne! Teraz może być Charleston zagrożon!.. Och, jakżeż nas ciężko los doświadcza, Sullivan! Jakże to przewlekłą jest ta kampania o niepodległość!..

— Na progu stanęli wracający Pułaski i Lafayette. Pułaski z kapeluszem w lewej ręce, z gałązkami bzu w prawej, rozpogodzony, wesoly, jakiś szczęśliwy. —

SULLIVAN: Tak... Tak... Ja idę, wedle decyzji sztabu, poskramiać rozwściekloną dziczy indyjską. Wyszli tłumnie z nad Slawe-Lake podjudzeni przez naszych royalistów. „Błady Orzeł“ na ich czele. Ja idę na „Błatego Orła.“

BENYOWSKY (załamując ręce): Savannah wzięta! Nie może mi się to w głowie pomieścić. (ciszej) Savannah! Savannah! (stanął przy biurku z boku).

PULASKI (w progu, głosem rozradowanym): Co to? Cóż za siurpryza nadzwyczajna. Przeszyscy Sullivan już w Betlehem... Witajcie! (obaj zmierzają ku Sullivanowi.)

SULLIVAN (zerwał się, idzie naprzeciwko): Bóg z wami, kochani koledzy... Biedny nasz markiz! biedny. Witajcie Pułaski! (padają sobie w objęcia).

LAFAYETTE: Oczekiwaliśmy was na podwieczerek... najwcześniej.

SULLIVAN (w uścisku Pułaskiego): Trzeba było pędzić! Indyjanie na gościńcach wszędzie.

PULASKI (puszczając go z objęć): Siadajcie... Wypoczywajcie! Opowiadajcie.. Nowin! najwięcej nowin! (wesół): Ze wszystkich terenów, ze wszystkich miast! ze wszystkich frontów...

Benyowsky stoi z boku zgnębiony, zamyślony.

SULLIVAN (trzymając Pułaskiego za rękę): Zaiste, dziwne mi jakoś... (popatrzył znacząco ku Benyowskemu) Raduję się widzieć was, Pułaski, takim pogodnym, rozweselonym, ochoczym...

PULASKI (rzucając czako daleko na fotel): Ach, uczu-wam się tak dobrze w tem ustroniu rajskim... Odetchną-łem trochę tem powietrzem słonecznym i wonnem... (do Lafayetta sadowiąc go na fotelu): Spocznijcie już, luby markizie... O tak... Pełno mam w sobie zapachu majeranku... bzul hyacyntów.

Sullivan siadł na fotelu w głębi, przy Lafayecie.

PULASKI: Pełno w oczach słońca, słońca i pstrości tego kwiecia czarownego, którem tak obsiał swe miastowirydarz ten ludek Boży w Betlehem! (przysiadł swobodnie na skraju stołu między Lafayettem i Sullivanem): Nie uwierzycie, jak błogo jest czasem odetchnąć powietrzem ludzi pokój miłujących, prawdziwych Chrześcijan! prawdziwych! Gdy się tak jak ja teraz na podwórzach kasarn jeno tresowało i musztrowało brać żołnierską, narzędzie

śmierci, gdy się w nosie miało tylko wciąż swąd prochu i saletry, saletry i prochu i oliwy, którą się muszkiety czyści! jakże miło jest znowu wziąć w rękę taki ot kwiat prosty... taki cud Boży... i cieszyć się tem, że istnieją na świecie ludzie, którzy nie żyją z mordu... (przyciska do ust garść bzu) ...Jak błogo!..

LAFAYETTE (gorąco, wyciągając doń rękę): Prawda? Prawda? Spółczuję wam, Pułaski, całym sercem. I ja nie mogę się dość nacieszyć mojem najdroższem Betlehem. Tęskno mi już do działania, do czynu, do zgiełku, a jednak jak pomyślę, że nadchodzi dzień, w którym trzeba będzie opuszczać tę oazę cnoty, tę przystań ewangeliczną, i opuszczać może na zawsze... wiecie, kochani moi, że serce mi się zaciska na myśl samą...

SULLIVAN (oglądając się naokoło, z zadowoleniem): Istotnie... Istotnie! Tu jest tak czysto, tak spokojnie, jakby, wiecie, jakby tu codzień była niedziela... Prawdziwież to Betlehem...

PULASKI: Mnie bo jeszcze dziwniejszy jakowys sentyment ogarnia... Te pawie spacerujące wśród grządek! Ten drób tak dawno niewidziany... Te krzaki pełne agrestu i porzeczek... te malwy... (zamyślony brwi zmarszczył, wpatrzony w bzu gałązkę) ten bez turecki wonny... wszystko to nagle przypomniało mi coś bardzo, bardzo dalekiego, zapadłego... lata moje młodzieńcze... (rozmarzony, zadumany) ...sąd pewien przy dworze pańskim... (z niepokojem nagle popatrzył na Benyowskiego): Tak... Maurycy, ale czemuś taki osowiały?... czemu się odwracasz?... Co to znaczy?

BENYOWSKY (posepnie): Niech ci jenerał Sullivan opowie, Kazimierzu. (odchodzi znów do biurka, gdzie przystanął).

PULASKI (niecierpliwie do Sullivana): Żali są jakie nowiny nieprzyjemne? Mówcie już, Sullivan.

SULLIVAN (głowę opuszczając, twardo): Niema co ukrywać, Pułaski. Są. Savannah wzięte!

LAFAYETTE (zerwał się przybladły): Savannah? O Boże! (opadł znowu na fotel, sięga po szklankę).

PULASKI (zmarszczył się, głucho, groźnie): Savannah... Savannah?... Czy Cornwallis?..

SULLIVAN (głucho) Tak... Trzy tygodnie temu.

PULASKI (zeskoczył ze stołu): Trzy... Trzy tygodnie temu... Cornwallis! (znów pogodniejac): Więc Cornwallis?.. Zdobył... A Charlestown?

SULLIVAN: Charlestown pewne! Wzmocniono załogę. Mają nowy park artylerii... niema obawy. Wogóle atoli na Południu jest nie tego... nie dobrze.

PULASKI (pogodniejac): No tak... tak... Ale to przejściowe... To dzisiaj... Musi być lepiej... Co ja mówił będzie lepiej!.. Będzie lepiej... (energicznie): Jeno się nie poddawajmy zmiennym afektom... (z radością w głosie): Ja się nie poddam, Sullivan.. I ja już widzę cel życia mego teraz jasno. (szeroko ramiona prężac, głośno): Przyjaciele! Towarzysze... Legia Pułaskiego idzie z sukcesem staremu Lincolnowi! Oddawna już pisywał przeznaczy Lincoln, że mu brak kawalerii!..

Benyowsky i Sullivan podnieceni jego energią stanęli przy nim, wpatrzeni weń.

SULLIVAN (uderza ręką w poręcz fotelu, energicznie): Tak ci jest. Dwa tygodnie temu miałem i ja od Lincoln list w tej materii...

BENYOWSKY (ściskając rękę Pułaskiemu, wzruszony): Bóg z tobą! Bóg z tobą, Kaziu!

SULLIVAN (gorąco): Całkiem słusznie, Pułaski... Całkiem słusznie.

PULASKI (radośnie): Będzie miał tedy mój orędownik przeznaczony kawalerię. (Benyowskyego po ramieniu

trzepnął) ...jak nasze białe huzary konfederackie... Beniu... Co? Na Południe! Na Południe... gdzie plantatory, gdzie ryż, gdzie indygo, hahaha... gdzie mnie już nie dosięgną panowie biuraliści... Zaraz piszemy deklarację do Kongresu. (popatrzył ku biurku, nie dostrzega Zielińskiego). Gdzie to mój pan adyutant?.. schował się?.. (staje przy biurku, przerzuca papiery).

LAFAYETTE: Może mu się niedobrze zrobiło?.. Może pomdłał?

PULASKI (odnalazł ledwo zaczęty list, podnosi): Co to? Co to znaczy?.. (brwi zmarszczył surowo): List ledwo zaczęty?..

BENYOWSKY: Słusznie mówi markiz Lafayette! Może pomdłał?..

PULASKI: Pomdłał?.. Może. (wzrusza ramionami): Przedtem atoli winien był list przykazany napisać... (mnie z pasyą list zaczęty): Wystarczyłoby czasu na pomdlenie. (rzucił list zmięty w róg pokoju): Tedy tym razem ja znowu własnoręcznie epistołę wypiszę. (siada przy biurku, gorączkowo): Wiem przynajmniej, że teraz zwlekać z responsem nie będą! że wraz mi odpiszą ochotnie bym szedł... bym szedł... (pióro wziął do ręki, figlarnie): Stary kasztan szkocki będzie żywił nawet nadzieję, że mnie tam żółta febra uprzątne, hahaha... Co?

Już zabiera się do pisania. Sullivan i Benyowsky stanęli z obu boków przy stoliku; Sullivan uprzęta papiery swoje; Lafayette w głębi nalewa sobie do szklanki wodę z karafki. Teraz z za okien z ogrodu rozlegnie się głośno, przybliżający się zwolna chór głosów niewieścich i dziecięcych. Chór, snąc maszerując rażno miarowym krokiem, śpiewa na głosy tylko cztery słowa:

Gloria! Victoria! Hosanna! Alleluja!
Gloria! Victoria! Hosanna! Alleluja!

Wraz Benyowsky, Sullivan, Lafayette odwracają głowy w stronę ogrodu.

LAFAYETTE (szybko do Benyowskyego): Już idą.

PULASKI (zdmiony, przerywając pisanie): Co to? Co to za śpiewy?..

BENYOWSKY (nachylając się do Pułaskiego): To widzisz Kaziu! My zapomnieliśmy ci powiedzieć. Uważasz... Niewiasty tutejsze wyhaftowały ci... takowy sztandar... sztander honorowy... In gratiam twego przybycia do Betlehem chcą ci go ofiarować solennie...

LAFAYETTE (zaniepokojony kiwa głową ku Sullivanowi): Sullivan! Proszę was na chwilę.

Sullivan pospiesza ku Lafayettowi. Ten przyciąga go ku sobie, półgłosem do ucha szybko mu coś tłumaczy.

PULASKI (zdmiony): Mnie? Wojownikowi? Siostry Betlehemskie?

— Za oknami pokazują się poprzód dzieci idące parami z wiązkami kwiatów wiosennych. Śpiew rozlega się mocno. Za dziećmi wraz Siostry Czeskie. —

BENYOWSKY: A jednak tak jest... Obacz! Już idą...

Równocześnie drzwi z prawej otwierają się i staje w nich brat Nataniel i na ramieniu jego oparty Zieliński. Ten ostatni zgorączkowany, wzruszony pod pachą dźwiga książek kilka wielkich i małych. Za nimi sierżant Vanderwild niosący w ręku niewielki, w złotych ramach, wizerunek figurujący wielkiego pana polskiego, malowany jakoby przez Rembrandta.

PULASKI (wzruszając ramionami): To dziwne, dziwne. I dla czegoż mnie?

Chór śpiewa już głośnie: Gloria, Victoria, Hosanna! Alleluja! Przez próg wchodzi pierwsze dzieciaki i zacierają wprost do Pułaskiego.

PULASKI (szybko wstając i odwracając się): Czylim ja godzin?.. Dziwne doprawdy...

BENYOWSKY (szybko przechodzi ku Zielińskiemu): A jesteś, mości Zieliński...

ZIELIŃSKI (do Benyowskiego): Jestem! Zaraz się zabiorę do pisania... Zagadałem się...

BENYOWSKY (zatroskany, półgłosem): Nie o to chodzi. Ale teraz zobaczy ją po raz pierwszy!

ZIELIŃSKI (nie domyślając się): Kogo?..

BENYOWSKY: Jakto kogo? Siostrę Angelikę! Tak podobną Franciszce Krasieńskiej!

ZIELIŃSKI (lekką przestraszony): A prawda! Całkowicie mi to ze łba wyszło!.. Niestety... Ale cóż my na to poradzić możemy... Wcześniej czy później byłby ją zobaczył!

Pułaski rzeżko poprawił na sobie mundur i staje całkiem odwrócony, wesoło uśmiechając się do dzieci. Lafayette powstał i oparłszy się na ramieniu Sullivana podchodzi, by stanąć w pobliżu Pułaskiego.

Siostry śpiewając: Gloria, Victoria, Hosanna, zwolna zapełniły salę. Ostatnie idą Siostra Angelika i Deniza, niosąc sztandar... Sztandar jest niewielki, rozmiarów proporca raczej, z jedwabiu szkarłatnego, złotą frendzlą obramowany; po jednej stronie wyszyte wszechwiedzące Oko Opatrzności otoczone trzynastu gwiazdami, z napisem:

NON ALIUS REGIT

z drugiej litery złote U. S. A.

Stary Nataniel przyprowadza do porządku cisnące się dzieci i posuwa je, by utworzyły półkole. Za dziećmi stają Siostry w półkolu. Przed dziećmi wchodzi ze sztandarem Angelika i Deniza.

SULLIVAN (do Pułaskiego): Nic nie wiedziałem, że się tu szykuje taka ceremonia.

PULASKI (nachylony ku dzieciom): I tyle bzu, Sullivan! Tyle bzu! (pogłaskał chłopczynę z brzegu po głowie): Zupełnie mi się zdawa jakbym był u nas w Polsce, w ojczystej wsi lub też... (nagle podniósł głowę i oczy jego po raz pierwszy padły na stojącą przed nim tuż blisko siostrę Angelikę).

Pułaski pobladł śmiertelnie, na chwilę oczy zamknął, już je otworzył, popatrzył rozszerzonymi źrenicami na Angelikę, jeszcze bardziej pobladł, ręką szybko chwycił się stołu i oparł na nim mocno.

Lafayette, Benyowsky, Zieliński spojrzeli po sobie znacząco.

SIOSTRA ANGELIKA (występując jeszcze bliżej, śmiało, poważnie, nieco zdziwiona wzruszeniem Pułaskiego): Obywatelu Jenerale! (tonem uroczystym, jakby recytowała Litanie): Bracie Kazimierzu Pułaski!

— Nataniel ręką ucisza resztę Sióstr i dzieci. —

ANGELIKA: Iżeś przez Ocean przejechał do nas, by tu żywot swój narażać w obronie praw człowieka... Iżeś porzucił swoje, aby tu ofiarować się za niepodległość Skonfederowanych Stanów,

Iże pomoc nam dajesz w wypędzeniu z świątyni wolności tych handlarzy, co nam nałożyli podatek na herbatę,

oraz tych, którzy nie uszanowali umów i zdeptali nasze prawa przyrodzone.

Iże wojnę prowadzisz z nimi godziwym sposobem,

Iże ludzki obyczaj masz dla wroga, a twardym trybem trzymasz swe podwładne,

Iże oszczędzasz jedność naszą i społeczność betlehemska w werbunkach i rekwirunkach, (głośniej): Iże wywodzisz się z narodu, który pradziadom naszym uciskał i uciemionym jedyny schron dał,

Iżeś jest Polakiem! przeto,

Niech będzie rozśławione nieznane imię twoje.

Niech ci, przyjdzie w nagrodę zwycięstwo twej sprawy!

Niech ci przyjdzie oręż przekuć na pług.

Niech ci przyjdzie wrócić do wiary i pracy.

Niech w sercu twem zagości powrotnie wiara i miłość. Amen.

Wszystkie Siostry Czeskie i dzieci powtarzają: Amen.

ANGELIKA (odbierając od Denizy sztandar): A teraz przyjm ten przez Siostry Czeskie z Betlehem ofiarowany ci sztandar twej Legii. (przybliżyła się doń, wręcza mu sztandar w dłonie, obejmuje rękoma i pochylonego całuje w czoło).

Dzieci wszystkie powiewają uradowane kwiatami. Siostry zawtórowały: Gloria! Victoria! Hosanna! Alleluja!

Pułaski z pochyloną głową stoi blady, niezdolny przemówić ni słowa. Wszyscy patrzą po sobie nieco zdziwieni.

PULASKI (podnosząc głowę tak, żeby nie widzieć Angeliki): Bóg zapłać! Bóg zapłać wam... wam Siostry Czeskie! (trzymając oburącz sztandar),

ANGELIKA (mocno, innym głosem): A teraz posłuchaj jeszcze naszej supliki, bracie jenerale. Ponieważ z Ewangelii Mateusza wiadomem nam jest, iż kto życie swe stara zachować bezużytecznie, traci je! a kto je sprawie poświęca, dostaje życie nowe i żywe... VIII. 35., przeto i my siostry z Betlehem postanowiłyśmy za zgodą wszystkiej Jednoty naszej opuścić na termin pewien winnicę Pańską i jako Samarytanka owa, o której czytamy w Ewangelii Marka III. 7., iść z twem wojskiem i spełniać przy was posługi szpitalne.

Zdziwienie lekkie u Lafayette, Sullivana i Benyowskyego. Patrzą z niepokojem na Pułaskiego. Pułaski jakby teraz dopiero otrząsnął się, podniósł głowę mocno, odwrócił się za Benyowskim i Zielińskim, spojrział na nich przeciągle, przenikliwie, jakby pytał... Obaj kiwnęli mu głowami, serdecznie się uśmiechając.

SIOSTRY CZESKIE (z poza szeregu dzieci): Tak... tak, jenerale! Postanowiłyśmy! Jedziemy za wami.

ANGELIKA: I choćby wam przyszło iść na krańce Stanów, my ze szpitalem i z apteką chcemy iść za wami. Ten jest nasz zamiar niezłomny. Od ciebie, bracie jenerale, zależy przyzwolić nam i radością napęłnić wdzięczne serca nasze.

SIOSTRY CZESKIE (z zapalem, serdecznie): Tak... Tak!.. Nas dziesięć! Nas, które się znamy na lecnictwie! Prosimy!

NATANIEL: Ze zezwolenstwem całej Gminy naszej, jenerale Pułaski.

ANGELIKA: Tak. Za sankcją całej Gminy! Oczywiście...

PULASKI (po raz pierwszy popatrzył już śmieiej w twarz Siostry Angeliki, mocno, choć drżącym głosem): Za sztandar dopiero co otrzymany, dziękuję wam, Siostry bogobojne, z całego serca. (odkłada sztandar na stolik): Towarzyszyć mi od dziś dnia będzie gdziekolwiek się znajdziem, choćby nam przyszło iść na skraje lasów, gdzie ludożercy siedziby swe mają... (wpatrzony w Angelikę poblady, głowę opuścił, by znów ją z wysiłkiem podnieść). Decyzję atoli w materji tego, coście tu powiedzieli, siostrzo, rezolwuję sobie na później... (znów oddechu z trudnością zaczerpnął, opanował wzruszenie).

Benyowsky wzruszony ściska mocno za rękę Zielińskiego. Lafayette nachylony szepcze coś dalej do ucha Sullivana. Wszyscy mają oczy utkwione w Pułaskiego.

PULASKI: Wszakóż skoro rozważę, że mojej Legii wypadnie teraz może iść aż do Stanu Georgii ku Savannah, gdzie klima jest gorące i zabójcze, a wam Siostry, całkiem i niezwyczajne, z góry mi mus będzie oświadczyć wam, że przyzwolić na to... jeszcze mocno zawaham się... (spojrzał mocno na Angelikę, oczy przymknął, silnie): ...raczej... odmówię...

— Rozczarowanie lekkie wśród Sióstr, ale cisza i potakiwanie. Zieliński, Lafayette, Benyowsky, Sullivan patrzają nań z satysfakcją, —

PULASKI (z głową opuszczoną, stanowczo): W każdym atoli przypadku, serdeczne Bóg wam zapłać za samarytańską ofertę. Zapomnieć tego nie zapomnę... (wyciąga rękę ku Siostrze Angelice).

Nataniel daje znak ręką Siostróm.

CHOR SIOSTR: Gloria, Victoria, Hosanna, Alleluja!

Dzieci składają kwiaty na stole.

Siostra Angelika wyciąga rękę ku Pułaskiemu.

Kurtyna wolno spada.

AKT IV.

Wzgórze płaskie z laskiem oliwkowym opadające ku przodowi w łagodnym spadku. Wzdłuż frontu gościniec piaszczysty zginający się pod kątem z prawej ku głębi i idący w dal. Z prawej i z lewej bujna roślinność trop., drzewa magnolinowe, eucalipty, dzikie cytryny. W zgięciu gościńca, w głębi, w zwale kamieni utkwiony drogowskaz z dwoma tablicami; tablica poprzeczna wzdłuż gościńca nosi wyraźny napis z namalowaną prymitywnie ręką ku stronie lewej: Beaufort-Charlestown (State Carolina); tablica niższa, wskazująca kierunek gościńca w dal, nieco mniej widzialna, nosi napis: Savannah (State Georgia). — Gościniec z lewej, tuż z skraju zamknięty długą poprzeczną belą, na sposób rogatkowego. Na płaskowzgórzu w głębi, na tle drzewek i roślinności rozpięty wigwam, namiot indyjski, dziwacznie pstrokato malowany, rozwarto ku przodowi, pełen gratów i broni. Bliżej z ukosa postawiona po lewej ręce prycza drewniana, prostacka.

Z prawej już na gościńcu, ale tuż przy trawniku, duży kosz zamknięty, z ciemnego sitowia a wokół tego kosza (zastępującego widocznie stół) pięć zydelków. W głębi między jednym drzewkiem a drugim rozpięty sznur i susząca się bielizna męska.

Noc gorąca, tropikalna, księżycowa z 8-go na 9-go Października roku 1779.

Na pryczy z lewej leży głową ku laskowi pod lamparcią skórą chory baron Benyowsky; raz po raz sięga ręką ku stojącemu w gęstej trawie dzbanuszkowi i popija chciwie wodę. Wzdłuż beli rogatkowej chodzi tam i z powrotem wartujący z muszkietem w rękach żołnierz. Z przodu z lewej siedzi w kucki lub leży rzędem kilku żołnierzy ordynansowych bez kubraków, w koszulach, twarzami do wzgórza, oczekujących na dyspozycje.

Na koszu z prawej rozłożona wielka mapa z powbijanemi chorągiewkami na szpilkach. Na mapie ogarek świecy zapalonej, utkwionej w butli. Przy koszu na zydelkach zasiedli również w samych koszulach i szarawarach Pułaski, stary Lincoln i admirał francuski hrabia d'Estaing. — Ten ostatni w średnim

wieku, gaskończyk, z wielkim pudrowanym harbajtlem z kokardką, o ruchach gorączkowych, prędkich, niecierpliwych.

Księżyc oblewa wszystko seledynowem światłem, ale od czasu do czasu zanurza się w chmurach i wtedy mającej tylko postacie jenerałów przy koszu, reszta tonie w zmroku. Przez rozwarte poły namiotu zaledwie widać krzątającego się w namiocie Vanderwilda. Kubraki mundurowe Lincolna i admirała porzucone na gałęzi wielkiej tuż za koszem, w pobliżu słupa drogowskazowego.

Lincoln i Admirał zapatrzeni w plan, przesuwają chorągiewki, odmierzają wielkim cyrklem, pracują.

PUŁASKI (stając, stanowczo): A jednak... Mimo wszystko... mimo wszystko cośmy uradzili i mimo wszystkie preparacye do ранego szturmu...

Lincoln i d'Estaing zdziwieni podnieśli głowy i patrzą weń.

PUŁASKI (śmiało): Ja... ja ośmielam się jeszcze prosić o trzydniową zwłokę...

LINCOLN (szybko): Co?

ADMIRAŁ (szybko, oburzony): Co? Co ja słyszę? Hrabia zaiste żartuje? Teraz? Po trzechgodzinnym conseilu! Teraz kiedy wszystko przygotowane?! (uderza pięścią w mapę) Nie! Coś podobnego przytrafia mi się po raz pierwszy!

LINCOLN: Jeśli mam być szczery, Pułaski, to i ja uważam to za jakiś koncept niewczesny...

PUŁASKI: Nie! To nie jest koncept! I jeśli ja mam być szczery, a nieszczerym być mi trudno, to ja w sukces dzisiejszego przedsiębrania nie wierzę. Ja szturm nasz śmiem uważać raczej za przedwczesny...

ADMIRAŁ (kpiąco): Nie! To nadzwyczajne! Nadzwyczajne... Od czterech dni przeznaczylismy dzień jutrzejszy na szturm ostateczny, a hrabia teraz... (wyciąga z kieszeni spodni chronometrzyk i patrzy) teraz dwadzieścia minut po północy nagle stawiasz swoje veto, czynisz jakieś zastrzeżenia! (wstaje oburzony): Toć wprost niedopuszczalne! Ja na to nie mam słów...

LINCOLN (do admirała): Pozwólcie, mości admirale... pomówmy spokojnie... Zastanówcie się, Pułaski. Zgodziliśmy się już na wszystko. Jenerałowie Hunger i Livingstone odjechali stąd przed chwilą na swoje pozycje. Za pół godziny piechota cała wyrusza cicho w cieniu nocy! A was, Pułaski, teraz nachodzi ochota do opozycji... (wzrusza ramionami): Zaprawdę, to już zakrawa na kaprys... (wstaje również).

ADMIRAŁ (machnąwszy ręką): Poproście nieprzystojnie tracić choć słówko jedno napróżno. (wskazuje palcem na czekających z lewej ordynansów): O! czekają już ordynansi. (ręką pisał na stertę listów na mapie): Trzeba im porozdawać instrukcje i basta.

PUŁASKI (zagryzając wargi, pobladł): Wiem to wszystko. A jednak ja upraszam, ja bardzo upraszam, aby mnie jeszcze chwilę tutaj wysłuchano... (twardo): Ja muszę powiedzieć co mam za skrupuły... Ja muszę... Siadajcie panowie chwilę... chwileczkę...

D'Estaing i Lincoln mimowoli przysiedli znowu, zniecierpliwieni, niechętni.

PUŁASKI: I posłuchajcież jeszcze cokolwiek... Wicie przecież, Lincoln, jak mnie wszelkie debaty wojenne nienawistnymi są... Ale ja muszę uspokoić swe sumienie... ja muszę wszelkie wątpliwości precz usunąć...

ADMIRAŁ (niecierpliwie): Więc mówcież hrabio, raz...

PUŁASKI (uderzając dłonią o mapę): Nie wszystko jest gruntownie przygotowane! Nie zdołacie wmówić we mnie że wszystko! widoczne mi luki w całym planie... Wasze słowa tych luk nie zapełnią! A skoro się decydujemy na takowe ryzyko, wszystko być powinno najgruntowniej przemyślonem, zamysły i dyrekcyjne przewidywania w detalach...

LINCOLN: Wy egzagerujecie, Pułaski, w tej gruntownej robocie. Zbytnią egzageracją... Rzemiesło wojenne toć nie tabliczka mnożenia... Trzeba coś ryzykować...

ADMIRAŁ (z wybuchem, szyderczo): Zaiste tak! Pan Pułaski przejął się za nadto duchem komersantów z Filadelfii... Oględność swoją egzageruje... Chce mieć wszelkie szanse wygranych zarobków w rękę, inaczej nie ryzykuje... Haha...

PUŁASKI (twardo do admirała): Tak, panie hrabio... Omal wszelkie szanse wygranej!.. Tak jest, przyznaję... (głos podnosząc): W tym toli przypadku nie mam wszelkich szans! Nie mamy! Gdyby milicya Wirginijska z Charlestown już tu była, mielibyśmy! Gdybym posiadał pewność niewstrząśniętą, że Majtland istotnie nie przyszedł z odsieczą do Savannah, miałbym, mielibyśmy!.. Gdybyśmy posiadali pięć jeszcze armat dwunastofuntowych, tak jak mamy tylko ośm trzechfuntowych w całym parku oblężniczym... nie czyniłbym ja obstrukcji żadnych... Ale tego nie mamy! nie mamy! I z tej przyczyny ja stawiam partykularnie moje veto.

LINCOLN: Spóźnione!..

ADMIRAŁ: Tak... Spóźnione, ale i przedwczesne... (ironicznie): Szczęśliwym trafunkiem nie jesteśmy w Sarmacyi, gdzie pono partykularne veto zrywało nawet seymowe debaty! Nad waszem veto, hrabio Pułaski, przechodzimy do ordynku dziennego... Za pół godziny zaczną walić nasze okrętowe działa w zabawkę, która się nazywa niezdobytą redutą Springhill! A nad wieczorem mury Savannah zarysują się jak mury Jerycha!.. I basta!

LINCOLN (chwyając za ramię admirała): Spokojnie, panie hrabio... Starajmyż się argumentami przekonać biednego Pułaskiego, że jest w błędzie...

— Z prawej szybko podbiega ku generałom kuryer ordynansowy, staje przed admirałem d'Estaing z kartką, saltuje i wręcza mu papierek zmięty, zapisany ołówkiem... Admirał odbiera. —

LINCOLN (przysuwając się do Pułaskiego, serdecznie): Posłuchajże starego rutyniera, kochany przyjacielu... Robotą gruntowna! robotą gruntowna! Ja to rozumiem...

Przypomnijżeż sobie, Pułaski, jak się tu nasze sapery popisały... Nasze flesze, wysokie na 20 stóp, górują wszędzie nad wałami cytadeli... wszędzie... Tam gdzie baterye, wszystko umocnione kłodami... Blockhauzy w Savannah staromodne...

ADMIRAŁ (czytał szybko z kartki przy świecy, teraz wybuch radośnie): Mina numer 14 wybuchnęła świetnie... (wprost do Pułaskiego): Wysadziła zasieki od strony rzeki na przestrzeni dwudziestu metrów. (rzuci kartkę przed Pułaskiego, lekceważąco): Czytaj, hrabio Kunktatorze... (daje znak ordynansowi ręką, ordynans odbiega): Oto nasza niegruntowna robota! Jedna beczuleczka w lochu! I już jest luka! (zacierając ręce, z zadowoleniem): Ale nie u nas! nie! Tylko luka w szajcach Savannah!..

LINCOLN (do Pułaskiego, serdecznie, kładąc mu rękę na kolanie): Widzicie tedy, panie Kazimierzu! To jakby dobra wróżba jakaś ta mina. I tak ze wszystkim. A Majtland... Majtland leży w ciężkiej gorączce w Beaufort... ot tak jak nasz Benyowsky. (wskazuje ręką ku przycy) Mieliliśmy z Beaufort doskonałych szpiegów... Ni Chip-pawajów, ani Mohiganów ani śladu... Ergo żadnej konnicy do dyspozycji nie mają...

PUŁASKI (z uporem): A nuż okaże się wbrew, że Majtland jest... Ze z nim są oddziały lekkiej konnicy indyjskiej? To co? To co wonczas?

ADMIRAŁ (zaperzony): To przeciw tej konnicy jest przecież kawalerya waszej Legii, Pułaski! Przecież o niej opowiadało się istne cuda... Przecież zobowiązaliście się wysztyftować dla Konfederacji Amerykańskiej kawaleryę, jakiej globus ziemski nie widział... Czyżbyście właśnie dziś, gdy przyszło zdawać jej egzamin, nie ufali... Własnym ludziom nie dowierzali?... Ciekawe...

PUŁASKI: W konnicę mej Legii wierzę. Pochlebiam sobie, że z materiału jaki mogłem otrzymać, zrobiłem co w ludzkiej mocy... Gdy was mi się nie uda

jeszcze do zwłoki nakłonić, pójdę z trzecią kolumną tak jak mi rozkażecie, mości komendancie. Ale skoro jest nadzieja, że nam Charleston przysłała zasilki, czemuż nie czekać jeszcze trzy dni, skorośmy już omal tydzień czekali?

ADMIRAŁ (porywczo): Temu nie czekać! temu nie czekać, że nie mamy żadnych gwarancyi względem nadejścia milicyi Charlestońskiej.

PULASKI: Mamy gwarancję, skoro obiecali, że przysła. Nie wolno nam nie wierzyć skoro jest czarno na białem, skoro umowa między gentlemanami!

ADMIRAŁ: Tak się to mówi, hrabio Pułaski. Nie można nigdy ręczyć za innych. Gentlemanie mogą się spóźnić o cały tydzień. Nadto gentlemanie z Charleston nie są znowu trupierami pierwszej klasy! Synkowie plantatorów, bawelnarzy! tytoniarzy! gatunek co nawyżej do partyzantki! A tu nie żadna guerilla, kochany Pułaski! tylko oblężenie co się zowie, regularne. Przy takowem tylko atakowanie pełnym szturmem decyduje... tylko... od razu... Niema nigdy na co czekać, mawiał mój mistrz marszałek Soubise! Gdybym był jeszcze dzień zwlekał pod Byron, na pewno nie udałoby mi się zwyciężyć floty brytańskiej i ostatecznie okryć się światową sławą... Napewno!..

PULASKI: Toć na wodzie, nie na lądzie działo się pod Byron, panie admirale.

ADMIRAŁ: Wszystko jedno! wszystko jedno! (chępliwie): Postaram się hrabiego przekonać, że ci sami zwyciężają i tu i tam... Byle jeno mieć silne postanowienie: zwyciężyć lub zginąć.

PULASKI: Według mojej opinii takiej alternatywy stawiać się nie godzi. Idąc w batalię, powinno się mówić tylko: zwyciężę i nie zginę... Kto mówi zwyciężę lub zginę, rzadko zwycięża!

ADMIRAŁ (zimno): Pozostawiam wam, hrabio Pułaski, wolność elekcyi w maxymach, jakiemi się kierować zamierzacie... (bierze plik listów z mapy): Teraz atoli jako dowódzca naczelny sił zbrojnych nie mogę sobie pozwolić na dłuższe dyszkury z wami w tej materyi, gdyż ordynansi już się niecierpliwią. (podniósł rękę, aby dać znać w stronę leżących żołnierzy z lewej): Bywajcie... wy tam...

PULASKI (chwytając go za rękę mocno i powstrzymuje): Wybaczcie, panie admirale... Jeszcze tedy ostatnia suplika! Parol kawalerski, że ostatnia.

ADMIRAŁ (zmarszczywszy brwi, ostro): Kawalerze Pułaski... uprzedzam was, że i francuska cierpliwość ma swoje granice.

LINCOLN (do Pułaskiego): Jenerale! Opamiętajcie wy się! (niespokojnie): Czy to aby nie gorączka tutejsza was się ima?..

PULASKI (spokojnie): Nie! nie gorączka. Bądźcie pewni!.. Jest to tylko głos roztropności, który mi przykazuje perswadować wam rezerwę, gdzie jeno czysty hazard widzę... (do admirała): Ostatnia tedy suplika, hrabio d'Estaing. Już nie o trzy dni, a o trzy momenty! trzy minuty krótkie...

ADMIRAŁ (patrzy znów na chronometrzyk): Jest dwadzieścia sześć minut po północy. Słucham.

PULASKI (łagodnie): Suplikuję tedy o zwłokę, aż póki wrócą z lustracyi posterunków Wilkenson i Zieliński. Wyjechali dwie godziny temu. Konie mają najlepsze. Rychło ich tylko patrzeć... Niech oni nam uczynią raport z tego co widzieli, (wzruszonym głosem) a wonczas, zaprzysięgam wam, nie pisnę już ni słówka... zgodzę się na wszystko!

ADMIRAŁ (z wybuchem pasyi): Ale ja się na to nie godzę, Pułaski! Ja mam tego wszystkiego już dosyć. Ja nie chcę słyszeć już ani jednego słowa od was!

(oddycha ciężko): Ja pierwszy raz przy boku mam podobnego ducha opozycji! We mnie wszystko wre i kipi, panowie! Ja się duszę wprost z hamowania gniewu! (zrywa z głowy harbajtel i bije nim o mapę): Teraz ja widzę jakową to rację miał nasz wielki Rulhiere, opisując was Polaków jako niewyleczalnie anarchiczną nację! Teraz ja wierzę w to wszystko co mi o was opowiadali Dumouriez, Choiseul, Viomenil i tylu innych, co w Polsce bawili. Oponujecie przez samą rozkosz oponowania. Kontrujecie dla samego kontrowania! Szatan niesubordynacji was nie odstępuje ani chwili!.. o!.. Ale dość tego Dieu de Dieu. (własnym harbajtlem dał znak żołnierzom z prawej): Ordynansi!.. Gotowe... Wsiadać na konie.

— Żołnierze zerwali się na równe nogi i podbiegają w stronę generałów, gdzie zaraz stają w szeregu, w wojskowym ordynku—

Pułaski opadł zgnębiony na zydelek. Lincoln z gałęzi zdejmuje swój mundur i nawdziewa.

ŻOŁNIERZ (wartujący przy belce przestał chodzić i staje w pozycji, w stronę generałów, głośno): Melduję pokornie. Kapitan Wilkenson i porucznik Zieliński już jadą... (wskazuje ręką w głąb w lewo): Ot...

LINCOLN (uradowany): Ach, to wyśmienicie!

PUŁASKI (zerwał się również ucieszony): Jadą?..

ŻOŁNIERZ (salutując): Tak... Już nadjeżdżają..

ADMIRAŁ (równocześnie rozdając koperty ordynansom): Jenerał Hunger! (wręcza żołnierzowi, który salutując, zaraz odbiega w prawo): Pułkownik Kovacz! pułkownik Armstrong! pułkownik Montfort! Kapitan Bentalou! kapitan hrabia d'Armand, kapitan Karpiński... pułkownik..

— Ordynansi wybiegają, jedni w prawo, inni w lewo, jedni w głąb, jeden w górę za namiot. —

ADMIRAŁ (zadowolony): Już!.. gotowe... Vanderwild... (w głąb) mój mundur! szpadę... laskę admirałską... Tak...

— Vanderwild szybko wynosi rzeczy z namiotu i pomaga ubierać się admirałowi. Równocześnie z prawej z za beli rogat-

kowej wbiega Wilkenson z dużą lunetą pod pachą, belę przesadza w skoku Zieliński. Są mocno zmęczeni, zziębnięci, ale dobrze usposobieni, szpicrutami strzepują szybko kurz z rajtuzów.

LINCOLN (ucieszony): Chwała Bogu! Są Wilkenson i Zieliński. Nie potrzeba było nawet trzech minut czekać. (krzyczy do nich): Prędzej! prędzej!..

ADMIRAŁ (ubierając się równocześnie z pomocą Vanderwilda, wpatruje się w przybyłych): Zaiste po minach już widzę, że nie jest tak źle jak tu nam kraczą wrony... (spojrzał wymownie ku Pułaskiemu).

Wilkenson i Zieliński szybko zbliżają się ku nim, salutują.

ZIELIŃSKI (salutując, rozpromieniony): Nie tylko nie jest źle Excellencyo, ale mamy honor zameldować, że wszystko zapowiada się świetnie!.. (załapał powietrze): Objechaliśmy wszystkie awanposty...

WILKENSON (również radośnie): Konstantujem co pryncypalne! Brytanie cofają swoje forpoczty ku miastu! (wymachując lunetą): Mój perspektyw świetny i w księżycową noc widzi.

ADMIRAŁ (lekko, szyderczo): Panie Pułaski!

ZIELIŃSKI: Tak... Tak... Prawie wszystkie forpoczty cofnęły ku miastu. Nasze rekonanse, które już gdzieś miały kontakt z ich pikietami, meldują, że już pikiet nigdzie niemasz.

LINCOLN (zacierając ręce): Wszystko świetnie! wszystko świetnie!

WILKENSON: Tymsamem reduta Springhill formalnie odosobniona! (śmiejąc się): To będzie właśnie pięta Achillesa komendanta Savanny.

ADMIRAŁ (wesół): O ile jego pięta Achillesa "nie jest jego głowa...

— Śmiech u wszystkich. —

ZIELIŃSKI (szybko): Nasze nowe transeje są już o sto sążni od miasta. Wszystkie nienaruszone, w dos-

konaliśmy staniel! Bateria z wału numer trzy, skierowana cacanie na dzielnicę willi... tam gdzie to się zaczynają pola ryżowe.

WILKENSON: Bateria numer 8 także tam. Ogień krzyżowy nieunikniony... Zrobiwszy tam porządek możemy wchodzić pierwszą kolumną piechoty jak przez bramę tryumfalną...

ADMIRAŁ (w stronę Pułaskiego): Hrabio Pułaski... Słyszycie?..

ZIELIŃSKI (szybko): Skontrolowaliśmy wszędzie przygotowane haki... te haki na linach co są do ściągania worów z piaskiem, co to w blokhauzach...

LINCOLN, ADMIRAŁ: Wiemy! Wiemy... No?..

ZIELIŃSKI: Jest ich pięćdziesiąt. Porozdzielane doskonale... co tyśiąc kroków.

PUŁASKI (posępnie, z uporem): Powinno być najmniej dwieście.

WILKENSON (zdumiony): Ależ poco, poco jenerale? Wystarczy 50! Aż nadto. (do d'Estainga): A co do moich szaserów... są tam (wskazuje w głąb na lewo) ...już blisko rzeki, kryci małym laskiem oliwnym... Tylko dostanę dyspozycję żeby awansować... zaraz lasek obchodzę i pojawię się na tyłach tuż pod Springhill... (zacierając ręce): jak Deux ex machina... Hahaha...

ADMIRAŁ (przekornie): Jak Deux ex machina, hrabio Pułaski!

WILKENSON: Zaraz do nich wracam... I stąd czekamy na sygnum! (wesół): Sumując cały raport z lustracyi panowie! wszystkie kondycje szturmowe są ponad wszelkie pomyslenie świetne!

ZIELIŃSKI: Jutroby mógł już Majtland przybywać z odsieczą, co by dzisiejsze okoliczności szturmowe srodze pogorszyło! Dwudziesty dziewiąty października to termin ostateczny!

ADMIRAŁ (wyciągając doń rękę kordyalnie): I ja tak myślę... (ściska mu dłoń): I ja tak myślę panie (z naciskiem) kapitanie Zieliński... (drugą rękę do Wilkensa): Tymczasem serdecznie wam dziękuję za wasze relacje. Bóg da, że porazimy Brytanów, jak Gideon Amalekitów, sacre nom de Dieu! Bis dat qui cito dat, jak mawiał wielki Cezar... (do Lincolna): Jenerale Lincoln, wy odjeżdżacie już na swoje stanowisko. (ściska mu rękę).

LINCOLN (salutując): Według rozkazu komendancie. (ściska mu dłoń): Servus Pułaski... A bądźcie dobrej myśli. (ściska dłoń Pułaskiego, do oficerów): panowie!..

— Oficerowie salutują. Żołnierz przy beli prezentuje broń. —

WILKENSON (do Pułaskiego, wyciągając rękę): Jenerale, czekam na wasz rozkaz... (salutuje).

PUŁASKI (ściskając mu dłoń): Zrobione, Wilkenson.

WILKENSON: Servus Zieliński.

ZIELIŃSKI: Bóg z wami Wilkenson.

— Wilkenson salutuje i odbiega w lewo za belę. —

ADMIRAŁ (wyciągając serdecznie dłoń do Pułaskiego, udobruchany): A co z nami Pułaski? He? Przecież nie rozstaniemy się w takiej chwili z urazą w sercach.

— Słychać dalekie przygłuszone trąbki i miarowe bębnienia bębna. —

PUŁASKI (spokojnie, wyciągając doń rękę): Żadnej urazy do was nie żywię hrabio d'Estaing.

ADMIRAŁ: Wyśmienicie! ale nie tylko w słowach! I w sercu...

PUŁASKI: I w sercu także żadnej! Jako wam subordynowany zawsze byłbym się waszej determinacyi poddał. (westchnął mimowoli): Tylko...

Zieliński stanął teraz przy Benyowskim, pochylił się, podniósł mu głowę, oparł na swoim ramieniu i drugą ręką podtrzymuje dzbanek, z którego leżący chciwie wypija wodę.

ADMIRAŁ (trzymając silnie dłoń jego): Co tylko? Co tylko? Jeżeli jest jakowe tylko, to wybaczone mi z głębi waszego rycerskiego serca, Pułaski... Uniosłem się, gdyż mnie pali gorączka czynu, głód sławy, nadzieja laurów... Wam to chyba najłatwiej zrozumieć przyjdzie!..

PUŁASKI (smętnie): Tak... Rozumiem was d'Estaing, rozumiem, wybaczone wam wszystko coście despektownego tu powiedzieli do mnie... Boleje mnie tylko jedno, jedno...

ADMIRAŁ (drugą ręką w pół go obejmując): Powiedzcież tedy to jedno! Niech wszelkie chmury rozejdą się z pośrodku nas w dniu tym dla nas obojga tak uroczystym!..

PUŁASKI (osuwając się lekko): Boleje mnie tylko to jedno coście do mnie, o moim narodzie, wypowiedzieć tu zdecydowali się! (zapalając się, pośpnie, twardo): Uraza mnie do głębi duszy samej, żeście tu przypomnieli... pana Rulhiere, słowa Viomenila! Dumoriez! (z wybuchem): Nie można mnie było trafniej w samo serce ugodzić, jak to mi wypominając! Nie można było lepszego ciosu we mnie wymierzyć, jak rzucając mi w twarz słowa: egzageracya, bezład! niesubordynacya! Jeżeli istnieją same słowa, które można nienawidzić z całej duszy, całym jestestwem, każdą cząstką jestestwa, to są dla mnie właśnie te trzy słowa, które wam niebacznie z ust się potoczyły! (oczy przymknął aż ze wzruszenia): Tak! nienawidzić przepastnie!! odrazę żywić do nich nieposkromioną... (ręce splótł z bólu, oddycha ciężko): I to właśnie kiedyś ja... kiedyś ja imaginował sobie, że z tego co owe terminy przeklęte oznaczają, we mnie już nic nie ma, nic nie ma! że z tego co te słowa oznaczają, każdy z nas Sarmatów jednak przy nadludzkim wysiłku zbędzie się, otrząść z siebie! wypruć! może!.. wy mnie dufnemu w moją metamorfozę! dufnemu, że można być Polakiem nie takim, jakim go wam Rulhiere i Dumoriez opisali... wy mnie... mnie...

ADMIRAŁ (wzruszony słuchał, zaprzeczając wciąż rękami): Dość już! Na Boga dość, kochany Pułaski! Nie pastw się nademną, krając mi serce przyjacielskie!.. Sami możeli nie uwierzycie jak mi dolega, że wyrwały się z ust słowa, które radbym aby nigdy powiedziane nie były... (wyciągnął doń obie ręce): Nie potrzebuję chyba dodawać, jak żadno z nich was się nie tyczy. Niema chyba w całej Ameryce człowieka, któryby nie przyświadczył, jak wy to właśnie Pułaski, tu właśnie i w amerykańskiej nacyi walczyście z tem co owe terminy oznaczają...

PUŁASKI (smętnie): Wyznać trzeba ze znikomym iście sukcesem.

ADMIRAŁ: O tak, tak! Nie inaczej... miałem już i ja okazywać przekonanie się o tem... (ściskając mu dłoń): Pokończmy więc nasze kontrowersye!.. Niech te słowa przepadają w niepamięci... Przebaczone mi je Pułaski, jak chcecie aby inni inne wam przebaczyli... Pomówimy jeszcze o tem niedługo, gdy znajdzie się pora... Ale teraz obowiązek nas obu przywołuje do opamiętania. Więc zgoda...

PUŁASKI (otrząsając się ze smutku): Tak... Tak... Obowiązek. Zgoda więc, mości admirałe. Zapomnijmy o wszystkim. Trzeba już działać...

ADMIRAŁ (biorąc go w objęcia): O tak... Tak to pięknie... (ściska go i całuje): Wybaczone, zapomnijcie i ufajcie! (energicznie): Jenerale Pułaski, wierzcie, że nam Bóg dzisiaj poszczęści! (z gaskońska): Wschodzące słońce musi promieniami swymi paść na nasze skronie! na skronie zwycięzców!.. (puścił go z objęć i kieruje się w stronę prawą, „ Zegnajcie!..

PUŁASKI: Dałby Bóg! Dałby Bóg!

ADMIRAŁ (ogłędając się w stronę Benyowskyego i Zielińskiego): Zegnajcie panowie Sarmaci! Za chwilę zaczynamy!

BENYOWSKY (zrywa się z pryczy, gorąco macha ręką):
Zegnajcie hrabio d'Estaing. Tryumfu zyczym. Tryumfu!

Zieliński stanął w pozycji i saltuje.

Pułaski odprowadza go aż za drzewa.

Żołnierz przy beli rogatekowej prezentuje broń.

Teraz słyhać trąbkę już cokolwiek z pobliza. Wraz potem inną z oddali i znów inną. Benyowsky wsparł się i siadł na pryczy, Zieliński przy nim. Vanderwild gasi ogarek świecy, składa mapę, porządkuje na koszu.

Jeszcze noc księżycowa, ale już jakby i początki przedświt.

Żołnierz chodzi tam i z powrotem przy szlagbanie.

ZIELIŃSKI (do Benyowskyego): Chwałaż Bogu, że zgoda między nimi nastąpiła. Poswarzyli się o coś setnie.

BENYOWSKY (półgłosem): Kazio nie pochopny do dzisiejszego szturm. Obstrukcyę im czynił, przekładał, argumentował.

ZIELIŃSKI; Nie wiedziałem, nie wiedziałem... Ależ z jakiej przyczyny?..

BENYOWSKY: Z przyczyn wiele. Supponuje, że nie pod dobrymi auspicjami. Ze nie gruntowne preparacye zdziałano. Cokolwiek i nie ufa jeszcze w sprawność swej konnicy. Indyanów się obawia!

ZIELIŃSKI: Fraszka! fraszka wszystko! A co do Indyanów urojenia czyste! (z westchnieniem ulgi): Ale jednak ustąpił... I dobrze zrobił...

BENYOWSKY: Ustąpił, ale czy dobrze zrobił, to się pokaże dopiero. W każdym przypadku podziwiać przychodzi jaki ustępliwy teraz!.. To jakby nie ten sam co pod Dumoriezem był.. pamiętasz, i ciągle mu okoniem stawał i na przekorę Dumoriezowi szedł.. co?..

ZIELIŃSKI: O tak... Całkiem inny, całkiem inny! Jakby się ze starej skóry wylenił... utemperowany! nierogaty!.. Pryncypia subordynacyi leżą mu przedewszystkiem na sercu.

BENYOWSKY: Tak... tak... Ale cicho teraz... wraca... (prostuje się siedząc na pryczy).

— Pułaski wraca poważny i skupiony. Mocnym krokiem zmierza do namiotu. Vanderwild stoi przed namiotem oczekując rozkazów. —

BENYOWSKY: Podaj mi cytrynowej wody Jasiu, jeśliś łaskaw... Gorąco...

— Zieliński szybko bierze dzbanek, nalewa wody do kubka i podaje. —

PUŁASKI (do Benyowskyego, zbliżając się): Jak tam Morysiu? Jakoż się czujesz?

BENYOWSKY: Gorąco, gorąco strasznie Kaziu... Ale tak to lepiej, lepiej... (bierze za kubek).

PUŁASKI: Noc jest, a skwar okrutny nie ustępuje.

ZIELIŃSKI: Trzydzieści pięć gradusów w cieniu... Klimat iście baczyserajski...

PUŁASKI (stając przy nich, do Vanderwilda): Vanderwild, dawaj kubrak konfederacki...

BENYOWSKY (pogodnie): Konfederacki bierzesz?

PUŁASKI: A tak. Na rozprawy ważniejsze konfederacki. Zawszem go woził ze sobą niby relikwię jakowąś... (wesolo): Toteż sterany już i łatany jak u częstochowskich dziadów.

ZIELIŃSKI: Nasłużył się on, nasłużył... I tak dziw że go masz.

PUŁASKI: Jedyne co mi zostało.. I szkaplerzyk. Szkaplerzyk pod koszulą turecką! fularową... Mam takich cztery jeszcze... Dostaniecie po mnie w spadku!.. Każdy dwie. (wdziewa mundur trzymany przez Vanderwilda): O tak... Zawsze się w nich najlepiej czuję... jak zimno to grzeją, jak gorąco to chłodzą. (do Vanderwilda). A teraz przynieś tu tę kasetkę Vanderwild... tę czarną, wiesz którą?..

VANDERWILD (kiwa głową): Wiem... (idzie do namiotu).

PULASKI (przypasując pałasz, do Zielińskiego): Szkoda że mój pan adyutant też nie ma barskiej maści na sobie! Piękniebyśmy obaj wyglądali.

ZIELIŃSKI: A tak... trudno. Ja tuszę że dzisiaj krótko potrwa wszystko. Przed południem będziem na barszczu w którejś sawańskiej austeryi.. Brytańczyków zaskoczymy jeszcze śpiących. I zmasakrujemy w pień, gdy będą w objęciach Morfeusza.

BENYOWSKY: Tak.. Tak... Z pewnością śpiących! To naród wygodny. Tak było z mieszkańcami Sybaris... w Grecyi...

PULASKI: Ja tam nie wiem jak było w Sybaris... Ale to wiem, że ze śpiącymi nie walczę... Na śpiących bym się napaść nie ważył. Toż okrucieństwo.

ZIELIŃSKI (wesóło): Na wojnie jak i w miłości wszystkie praktyki dozwolone Kaziu, byle do wiktoryi wiodły...

BENYOWSKY: Są nawet utrzymujący, że im wojna okrutniejszą tem ci bardziej odznaczona filantropią, bo się prędzej konkluduje.

Vanderwild przynosi kasetkę i lunetę — staje z ubocza.

PULASKI: Może... może... Taką się maksymą sterował huncwot Drehwitz... I tu ją raz słyszałem od barona Steubena. Tym trybem i Herod i Neron mogliby się na Sądzie Ostatecznym obronić na czysto i do paradisu wejść... Ja nią gardzę, wyznawszy prawdę... (poprawia sobie szkaplerzyk pod koszulą): Musiałbym ten szkaplerzyk w namiocie ostawiać, gdybym miał iść dobijać i wyrzynać śpiących... Nie?..

BENYOWSKY: Tak... Tak, to jest maksyma pogańska. Niema co taić. Sofistów maksyma.

PULASKI (obciągając mundur i sięgając ręką do kasetki, do Zielińskiego): Bezsportnie Jasiu. I to jest taktyka feldmarszałka Kaina, gdy szedł mordować Abła.

ZIELIŃSKI (powstydzony): To też ja supponuję, że do tych praktyk nam się uciec nie przyjdzie... Pobudzimy ich w Springhill hukiem naszych moździerzey przedewszystkiem! I podkurzymy łatwo, w mig...

PULASKI: Tak sądzisz Jasiu? Takiś pewien?..

BENYOWSKY: O i ja także Kaziu! I ja także! Można było coprawda jeszcze odwlec, ale skoro już klamka zapadła, wiktorya przy nas! plac wygracie... Gdy ciebie tylko porwie gorący wichur uniesienia wojennego, gdy ogień animuszu cię ogarnie, to i Springhill legnie w gruzach... i...

PULASKI (machnąwszy ręką): Tak... Tak... Wiem już, wiem... Ale nie całkiem temu wierzę! Ogień animuszu? Ogień animuszu. Na gruncie animuszu zakładać wiarę w zwycięstwo, to rzecz nieco zawodna! Ogień animuszu często wrychle z dymem ulata! Zwycięzców ni bohaterów nie tworzy jeno chwila szału Maurycy! Nie wierz tym co ci tak prawili! A wichur uniesień? Wichrem uniesień nie wielebyś też zdziałał... Ty sam to wiesz najlepiej coś na Słazku wojował, w siedmioletniej kampanii partycypował. Ile to pracy poziomej, ile mozołu, ile drillowania ustawicznego, ile miesięcy i lat trzeba, aby dopiero wichur uniesień przydał się ku czemu!.. Tak... tak... No, mniejsza z tem! Niema o czem mówić... (podnosząc kasetkę): Inne są sprawy na głowie. Wiedzicie tą kasetkę?

ZIELIŃSKI, BENYOWSKY: Naturalnie. Widzimy. "

PULASKI: Listy z Charlestonu do północy nie przyszły? prawda?

ZIELIŃSKI: Nie! nie przyszła poczta ni wczoraj, ni przedwczoraj. A z Filadelfii od dwóch tygodni.

PULASKI: A z Filadelfii od dwóch tygodni. (rozżalony): Jesteście świadkami. Od generalissimusa Washingtona czwarty tydzień jak czekam responsu na moje pisanie. Jesteście świadkami!

BENYOWSKY: Tak, tak, czwarty tydzień. Jesteśmy.

ZIELIŃSKI: Bez mała. (machnął ręką).

PULASKI: Bez mała, tak... Daj ich katu! Otóż pamiętajcie, cokolwiek by się stało. W tej oto kasetce zebranymi są wszystkie rachunki naszej Legii, wszelakie rejestra, bilanse, tabele w ordynku jak się patrzy... W konfesji każdy człek mylić się może, w liczbach nigdy!.. Dlatego to wszystko tu zbierał odkąd z tymi liczykrupami z Kongresu w dyferencyem popadł, odkąd mi z Wydziału Wojny despekty i przykrości poczęli robić! Na całe 186.000 dolarów kwity tu są... Byście tego pilnowali jak skarbu! jak skarbu zaklętego! pamiętajcie. Tobie oddaję Maurycy! Chowaj sobie pod wezgłowiem. Skoro okaże się potrzeba, kongresmenom odwieziesz.

BENYOWSKY (odbierając kasetkę i chowając ją pod poduszkę skórzaną): Dobrze Kaziu... dobrze... O tak... już pod poduszką. Dziwi mnie coprawda, że dzisiaj takie z tem ceremonie wyprawiasz... Zawsze sobie leżała w namiocie i dobrze było... Ale jak chcesz, tak będzie najbezpieczniej. Skoro jeno wrócisz, oddam wraz...

PULASKI: Tak... Tak... Odwieziesz kongresmenom!.. Vanderwild! (wskazuje ręką w prawo): Ty weź szczotę teraz i idź mi prędko natrzej bułanka... Żeby się świecił i łyszczał jak z jedwabiu... Jak ty to umiesz!

Vanderwild kiwnął głową, szybko odbiega w prawo.

PULASKI (wyciągając z kieszeni hajdawerów zegareczek gruby, srebrny): A tobie Jasiu, naści mój chronometrzyk z Filadelfii! Kształt ma obrzydły, ale klepsydrę wskazuje niezawodnie... (oddaje mu zegarek): Masz tu zostać

i czekać kamieniem, nie ruszając się z miejsca, aż skazówka ci pokaże punctum pierwsza na cyferblacie... Wtedy wsiadasz na koń samopas i jedziesz tam, (wskazuje na lewo) gdzie dąbrowa oliwnych drzewek, gdzie szasery Wilkenson... Oni pójda w swojej dyrekcyi, a ty w galop do mnie na tę szosę, co to między bagnami... Jeno bacz, żebyś się nie spóźnił Jasiu!

ZIELIŃSKI (kiwał głową cały czas): Rozumiem... rozumiem, dobrze... Bądź spokojny Kaziu...

BENYOWSKY: Już i ja tam będę nań dawał baczenie Kaziu! Bądź spokojny!

PULASKI: (zdejmując czako i żegnając się): W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. (znów czako nakłada, munduru poprawia): No, a teraz bywajcie zdrowe, rodaki kochane... (staje przy Benyowskim, nachyla się, obejmują się w pół): Bądź zdrow Beniu! postaraj się zasnąć. na godzinę. (całują się serdecznie): Całą noc przeszkadzaliśmy ci biedaczyno moja... (rozprostował się, energicznie): A oba sobie zapamiętajcie co wam mówię teraz... (uroczyście): Jako żem nie dla żądzy sławy tu walczył... nie dla profitów, nie dla honorów...

BENYOWSKY (niespokojnie): Ale pocóż to teraz! Potem nam to wszystko opowiesz.

PULASKI (jakby nie słyszał): Jeno by im tu wolności przychylić... o... I by się wypraktykować w komendzie... i by... by dla postępów moich tu za oceanem, tam... tam... (głos mu się nieco załamał, powietrza szybko zaczerpnął) tam... tam... w lubej ojczyźnie Seymowy dekret banicyi był na mnie zniesiony, infamia zmyta...

BENYOWSKY (wzruszony, zerwał się): Ależ Kaziu! Skądże teraz ci przychodzi o tem rozpowiadać?

PULASKI: I jeszcze zapamiętajcie to sobie! Nigdy! Nigdy jako żywo w spisku godzącym na Jego Mość Króla nie partycypował... A jeżeli coś niegodnego

kiedy o naszym najmądrzejszym monarsze mówił, tego żałuję i żałować będę do tchu ostatniego! Słyszeliście?.. A teraz bywajcie! Pora na mnie!.. (ręką śle pozdrowienia, zstępuje szybko z pagórka i odbiega ku prawej).

Zieliński wzruszony i zdumiony biegnie za nim. Benyowsky zdumiony bez słów z oczyma wlepionymi w głąb w prawo, patrzy za nimi, wyciągnął chusteczkę, macha nią.

— Żołnierz na warcie z lewej sprezentował broń. —

Jest chwila ciszy. — Trąbka daleko zagrała.

Przedświt już cokolwiek jaśniejszy.

BENYOWSKY (patrzył chwilę jeszcze, poczem pokiwał głową smętnie i zamyślony utkwiał wzrok w prawo w gąszcz krzaków eukaliptu. Nagle przestaje patrzeć bez celu, zmarszczył brwi, pochylił się, patrzy w tę samą stronę przenikliwie, śledczo, jakby nie wierzył wzrokowi swemu, ręką daszek nad oczyma uczynił, znów patrzy, wreszcie zrywa się z pościeli na równe nogi): Vanderwild! Zieliński!!

Żołnierz na warcie przerażony drgnął cały, biegnie ku niemu. Z lewej wbiegają z powrotem Zieliński i Vanderwild.

ZIELIŃSKI (zdumiony): Co się stało! Baronie! Już odjechał... odjechał...

Vanderwild podbiega ku pryczy.

BENYOWSKY (przerażony, rękę wyprężoną wyciągnął wprzód siebie ku drzwiom): Tam!.. Tam...

VANDERWILD: Gdzie? Co?

ZIELIŃSKI: Co tam?.. (porozumiewawczo do Vanderwilda): Będzie znów atak febryczny!.. Majaczy...

BENYOWSKY (z krzykiem): Tam, patrzcie! Chwytajcie, bo ucieknie wam z rąk... (do żołnierza): Strzelaj...

Zieliński i Vanderwild dobiegają do niego.

ZIELIŃSKI: Ale co tam? Do kogo mają strzelać? Kładźże się!

BENYOWSKY: Indyanin... Moheganin!.. Widzę go... Zaczajony siedzi... (odpycha ich): Przekonajcie się... (do żołnierza): Strzelaj..

VANDERWILD (biegnie do krzaków): Gdzie? Tu..

BENYOWSKY: Zieliński pomagaj!.. Chwytajcie go...

VANDERWILD (z krzykiem): A jest! jest, widzę...

ZIELIŃSKI (biegnąc za nim spostrzega również, do żołnierza, który już celował): Nie strzelać! To szpieg! Zastaw mu drogę!.. (do Vanderwilda): Z tamtej strony!

Z pośród zarośli wychyliła się głowa Indyanina w bojowym stroju. Indyanin już susa zrobił w stronę prawą i chce uciekać, wpada w objęcia Zielińskiego, wrywa się, podnosi tomahawk. Vanderwild świsnął przeraźliwie na piszczałce. W tej chwili dopada go żołnierz, który rzucił muszkiet i wrywa mu tomahawk. We trzech obalają go na ziemię i wrywającemu im się z nadludzką siłą przygniatają piersi. W tej chwili wbiega dwóch żołnierzy z prawej i z lewej.

BENYOWSKY: Widzicie tedy! Nie gorączka to była! Szpieg! wierutny szpieg! (do Zielińskiego, który porwał się z kolan i wstaje): Toć są czerwonoskórcy Zieliński, pod Savannah... Przybyli Brytanom na pomoc.

ZIELIŃSKI (wstając): Niestety... Widocznie!

VANDERWILD (do żołnierzy, klęcząc na piersiach Indyanina): A to bestya mocna! Wiążcie mu nogi i ręce!.. Knebel w pysk!..

Żołnierz wyciąga z kieszeni chustkę. Inni krępują Indyanina.

Żołnierz z warty wraca na swoje miejsce.

BENYOWSKY (siadając na pryczy, z wyrzutem): A niestety, niestety! Czemuż tedy zapewnialiście z Wilkenso-nem, że niema w całym Stanie Georgii... Jakże niema, kiedy są... Widzisz go waćpan... Choć febrę mam, alem go pierwszy dopatrył, niżli wy zdrowi.

ZIELIŃSKI: Może ich być nie wiele! To nic nie znaczy! Na przespīgi zawsze biorą niewolników. Przy każdej dywizyi są rudoskórcy!

BENYOWSKY (posepnie): Tedy i Majtland być może już w Savannah.

ZIELIŃSKI: To jeszcze nie dowód... Zaraz się zresztą prawdy dowiemy... czekajcie! (odwraca się do Vanderwilda): Vanderwild! bierzcie nieproszonego gościa stąd, za namiot... tam... (wskazuje) i na męki... Tylko nie bawcie się próżno! Chodaki mu zdjąć i odrazu stopy przypiekać na żywym ogniu...

Żołnierze chwytają skrępowanego i niosą w górę po trawie koło pryczy za namiot, przechodząc koło Benyowskyego.

ZIELIŃSKI: Aż wyśpiewa wszystko! Najważniejsze: ilu ich? I czy Majtland w Savannah?.. Jakby skąpo mówił to... (ręką pokazuje na obcięcie uszu i na palce): Zar-tom nie pora... A potem zakuć....

BENYOWSKY (patrzac na przechodzących do Zielińskiego): Pamiętasz Zieliński:

„Drehwitza ujęto
W kajdany opięto“

ZIELIŃSKI (oparłszy się na szabli, swobodnie): „Oj poczekaj panie Drehwitz! Nie twoje to święto...“ Tak... Tak... Niema się co smęcić gości Benyowsky! Nawet cały szwadron tych kozaków rudoskórych nic nam nie zaszkodzi! Hańba tylko panom royalistom w Savannah, że znów fraternizują z ludożercami!.. Tfy... (splunął w bok z obrzydzeniem): Wstyd że tak korygują fortunę swą przepotężni Torysi!

Żołnierz przy beli odwrócony w głąb w prawo podniósł muszkiet, macha nim w górze.

— Od chwil, słyhać było z prawej dzwonki jakby nadjeżdżających sani. —

BENYOWSKY (do żołnierza): A co tam będzie?..

ŻOŁNIERZ (odwracając się): Jadą jakieś wozy traktem z Charlestonu. Przodkiem dylizans pocztowy.

ZIELIŃSKI: Jeżeli poczta, to tu ją przynieś. Wozy zatrzymać.

ŻOŁNIERZ: Prócz poczty widzę przy latarniach Siostry Samarytanki... Puścić?..

ZIELIŃSKI: A to puścić. Wozy zatrzymać! Przepatrzeć!

ŻOŁNIERZ: Idę dać im znać. (niknie z prawej).

ZIELIŃSKI (do Benyowskyego): To Siostry z Betlehem. Są teraz w lazarecie w Charleston na służbie.

Vanderwild wychodzi z za namiotu i staje przed Zielińskim w wojskowej postawie.

ZIELIŃSKI: A co tam Vanderwild?.. Wyśpiewał trochę?

VANDERWILD (posepnie): Nawet więcej niż trochę. Wszystko, niestety wszystko! Rudoskórcy są z plemienia Mohiganów i Huronów. Będzie ich z pół tysiąca. Przydzieleni do dywizji...

ZIELIŃSKI (niespokojnie) Majtlanda?..

VANDERWILD: Tak... Majtlanda. Majtland od wczorajszego ranka jest w Savannah. Dlatego tylko z kapitulacją przeciągali z dnia na dzień! Spodziewali się!

BENYOWSKY (zgnębiony): Więc jest Majtland? Jest Majtland! Miał dobry węch Kazimierz! Co?.. A do kroć sto...

ZIELIŃSKI (do Vanderwilda): Możesz odejść Vanderwild. Wyszukaj mi w namiocie moją manierkę... (do Benyowskyego): Próżno i darmo. Głowy znowuż tracić nie godzi się. Któż mógł przewidzieć!

Z prawej, z za beli wbiegają szybko Siostra Angelika i Deniza. Są w płaszczach szarych z kapturami na głowie narzuconymi; Angelika ma przewieszoną przez plecy torbę skórzaną na rzemieniach.

Vanderwild wszedł do wigwamu.

BENYOWSKY: Zapewne... zapewne, aleć...

ZIELIŃSKI: Zawsze jeszcze my ich w siłach przewyższamy! (spozrzegl Siostry, uradowany kask zdjął i wywija): Witajcie Siostry! Ach jest i Deniza! Co za siurpryzal..

BENYOWSKY: (patrzac w prawo, podnoszac się): A tak! Witajcie Siostry!

ANGELIKA (pospiesznie): Bóg z wami bracia Polacy...

DENIZA: Bóg z wami Zieliński.

Zieliński zeskoczył do nich i całuje je w ręce kolejno.

ZIELIŃSKI (do Denizy, serdecznie): Wielką siurpryzę nam sprawiacie Siostry, że właśnie teraz przybywacie. To dobry omen...

ANGELIKA: Jedziemy bez popasów czternaście godzin. Dwa razy tylko konie nam zmieniano. Wprost z Charlestonu. (do Benyowskyego): Bóg z wami Benyowsky...

DENIZA: Nie myślałyśmy że was już na nogach zastaniemy przed świtem. Byłyśmy pewne, że cały obóz będzie spał. A wy już?..

ZIELIŃSKI: Jakto już? Całą nockę się czuwało. Za pół godziny najdalej zaczyna się turniej.

ANGELIKA (rozglądając się): Wskażcie nam bracia tylko gdzie namiot Pułaskiego. Musimy go zaraz budzić. Są ważne nowiny i listy. (wskazując na torbę): Jest list od Washingtona.

BENYOWSKY (z uśmiechem): Obudzić? Pułaskiego? Pocóż budzić człowieka, który czuwa za nas wszystkich...

ZIELIŃSKI (uradowany): Więc jest list od Washingtona. Och! jakże się ucieszy mój kuzyn. Żółć mu już serce zalewała, że tak długo musiał nań czekać.

DENIZA: Wskażcież więc nam zaraz, bracia, namiot generała.

ZIELIŃSKI (wskazując na wigwam): Oto ten. Wigwam zdobyty na „Bładym Orle.“ Ale naszego orła w nim

Siostry nie znajdziecie. Pułaski już na swej pozycji. Za chwilę zacznie się jeneralny szturm.

Deniza i Angelika przerażone aż cofnęły się o krok.

Vanderwild wychodzi z namiotu niosąc manierkę, którą właśnie zakorkowuje.

ANGELIKA (pobladła): Dzisiaj?.. Teraz?.. Jeneralny szturm?

DENIZA: Ależ wy chyba żartujecie Zieliński? Co to znaczy?

BENYOWSKY: Bogać tam żart! Szykuje się szturm walny. Ja leżę jeno, bo mną malarya trzęsie.

ZIELIŃSKI: Tak, tak, siostrzo Angeliko. (patrzac na chronometryk): Równno za trzydzieści minut.

ANGELIKA (szarpiąc go za ramię): Na Boga! przecież mieliście czekać na posiłki! Przecież my właśnie z tem przybywamy.

Benyowsky zerwał się na pryczy, słucha zaniepokojony.

ANGELIKA: Gdzież powód tej skwapliwości niewczesnej? Przecież inaczej było uradzone! Przecież Charlestown przysłała wam dwie dywizye milicyi wirginijskiej! Najwyborowszy kontygent... Teraz właśnie...

DENIZA (szybko): Równocześnie z naszym wyjazdem wymaszerowali oni... Całe miasto odprowadzało ich za rogatki! Dziś przed wieczorem należy ich oczekiwać tutaj!

ANGELIKA: Mówcie Zieliński! Toć są jeno żarty? prawda?.. Prowadźcie nas do Pułaskiego! bez zwłoki... natychmiast...

BENYOWSKY (do Zielińskiego z wyrzutem): Słyszysz waść? Słyszysz...

ZIELIŃSKI (niecierpliwie): Słyszę... Niestety siostrzo.. Cóż ja wam na to zaradzić mogę. To nie są żarty powtarzam. O północy wymaszerowała pierwsza kolumna.

Wszystko jest na swoich pozycjach. Teraz zapóźno. Reduta Springhill już otoczona. Za chwilę zaczną grać armaty.

BENYOWSKY (do Angeliki): Pułaski uległ jako subaltern. Przeto musiał się poddać dyspozycji tego admirała, co poniterując w faraona zawsze wygrywał w Paryżu. Przeto i teraz przekonany, że wygra.

ZIELIŃSKI (mocno): Wszyscy jesteście przekonani Benyowsky, że wygramy! I wygrać musimy!.. I poradzimy sobie bez milicyi wirginijskiej. Synkowie plantatorów przyjdą już do gotowego!.. Po nasze laury!

ANGELIKA: Milczcie Zieliński! Nie pora teraz na popisy słowami brzmiącymi. Ja zaraz muszę się widzieć ze sztabem. Zanim zaczną. Ja mam do nich listy od gubernatora.

BENYOWSKY (opadając na poduszkę): Niestety! Zapóźno! Zapóźno!

ZIELIŃSKI: Jeżeli koniecznie chcecie Siostrzo, możecie się widzieć. Dlaczego nie? Ja stąd oddalać się nie mogę, ale Vanderwild wam pokaże kędy. (do Vanderwilda, odbierając odeń manierkę): Vanderwild, wsiądziesz z Siostrami do dyliżansu i pojedziecie na przelaj przez dąbrowę aż do drogi gdzie się szykuje druga kolumna.

VANDERWILD: Rozumiem.

ANGELIKA: Siostra Deniza tu zostanie! Niech wypocznie. Zdrożona jest tą czyścową spiekotą... Ja jadę zaraz... Żegnajcie... (przypomniała sobie jeszcze): Aha, a parol dzisiejszy?..

ZIELIŃSKI: Virginia Victoria, (do żołnierza przy beli) Przepuszczaj!

— Żołnierz odstąpił od beli, przepuszcza Angelikę i Vanderwilda. —

DENIZA: Żegnaj Angeliko. Ja tu czekam.

ANGELIKA (powtarza na pamięć): Virginia Victoria... (do Denizy): Czekaj na mnie.. Virginia Victoria. (wybiega).

DENIZA (z wyrzutem, do Zielińskiego): Mogliście jeszcze zwłóczyć o jeden dzień... Mogliście odradzać...

ZIELIŃSKI (zakładając sobie manierkę, zbliżył się do niej): Hrabia d'Estaing parł do batalji gorączkowo! Stary Lincoln także! Już się nie dało... (przypatrując się jej dokładnie): Ależ jak wam to licuje to zdrożenie pani Denizo... Zawszeście piękna! zawsze urodziwa!..

DENIZA (jakby nie słyszała): Powiadali w Charlestown ludzie, że Savannah omal tak dobrze ufortyfikowaną jest jak West-Point!.. Nie łatwo wam przyjdzie.

ZIELIŃSKI: Jak West-Point? Skądże znowu? Ani się umywa! Skąd Savannah do West-Pointu?

DENIZA: A zapewne. Zapewne. Ja też myślę. Tu nie mieli takiego jak Kostjusi! Wiecie, że on nawet w rzece, w Hudsonie poumieszczał ciężkie łańcuchy z oków żelaznych! Nie do zdobycia...

ZIELIŃSKI: Nie do zdobycia zresztą i z tej przyczyny, że ma takiego komendanta jak Arnold... A co Arnold to nie Prevost kaleka!

DENIZA (zdumiona): Arnold? Jaki Arnold?.. Jakto, to wy nic nie wiecie o Arnoldzie? Arnold zdrajca! Zdradził! korespondował z Clintonem...

ZIELIŃSKI (zdumiony, z krzykiem): Arnold? Zdrajca? Mości Benyowsky słyszycie nowinę! Jenerał Arnold zdrajca!

BENYOWSKY (zrywając się): Co?.. Arnold?.. Nasz wróg? Adwersarz Pułaskiego?..

DENIZA: Tak, zdradził. Był w korespondencji z Clintonem. Okazało się, że był royalistą zaciekłym. Obiecywał Brytańczykom wydać West-Point... Listy wyłapano...

ZIELIŃSKI: Powiesili łotra?

DENIZA: Nie! Zdołał zbiedz. Poszedł do Brytańczyków. Walczy teraz przeciw nam. A jam zawsze ostrzegąła mego męża przed konszachtami z Arnoldem.

BENYOWSKY: Zawsze mu źle z oczu patrzyło. Prawda Zieliński? Dziwnie mi przypominał waszego Ponińskiego. (opadł na poduszkę zmęczony).

DENIZA: Tak... Tak.. Arnold zdradził i przeszedł na stronę wrogów! Mój były mąż zato nad wszelkie spodziewanie postąpił w szczytach i został..

ZIELIŃSKI (kładąc palec na ustach i wskazując na Benyowskyego): Mówcie ciszej, jeśli łaska! (trzymając ją za rękę, usuwa się na ubocze).

DENIZA (nieco zdziwiona): Został naczelnym dowódcą konnicy Stanów Skonfederowanych.

ZIELIŃSKI (machając ręką): Doszły już o tem i do nas wieści, ale staramy się jeszcze zatajać przed Pułaskim. Wziąłby to sobie zbyt do serca, uznał za despekt rozmyślnie mu uczyniony. A i tak jest rozżalony na perukarzy z Kongresu. Zólc mu się ulewa, gdy o nich mówi.

DENIZA: Współczuję mu z całego serca. (przysiadła na zydelku): Istotnie zrozumieć trudno, jak mogli kongresmeni awansem tak wielkim wyróżnić takowego niedołęgę jak... Ale mniejsza z tem! Powiedzcie Zieliński, gdzie ja teraz mogę się umyć z podróży i odpoczynku zażyć... (wskazuje na wigwam w głębi): W tym namiocie można?..

ZIELIŃSKI (już umizgliwie): Można, można. Gdzieby wam nie można było słodka Denizo... Przypatruję się wam i wyznaję, że pobyt w Betlehem posłużył wam jeszcze. (bierze ją za rękę): Powaby twoje jeszcze przybrały blasku Denizo... i jakiegoś nieziemskiego!.. angelicznego...

DENIZA: Nie bluźnijcie Zieliński wspomnianiem aniołów, gdy do grzesznej niewiasty mówicie. I nie za-

przątajcie sobie moją przytomnością tutaj głowy. Ot, lepiej byście mi opowiedzieli w jakich humorach ducha pan Kazimierz... W jakiej ducha prepozycyi? (zmartwiona): I poco? poco to przyspieszenie?..

ZIELIŃSKI (porywczo): Już znowuż mam opowiadać tylko o Kazimierzu i Kazimierzu... Możebyście Denizo i o mojego ducha prepozycyi wywiedzieć się coś chcieli...

DENIZA: Obawiam się conieco, iż mało się zmieniła od czasów, gdyśmy się ostatni raz w Betlehem widzieli... (zalognie): Nie chcę znów wilka z lasu wywołać...

ZIELIŃSKI (rozogniony): O, w tym przypadku przypuszczenia twoje trafiają w sedno. Nic a nic się nie zmieniła dyspozycya serca mego ku tobie Denizo.

DENIZA (karcąco): Siostró Denizo, Zieliński.

ZIELIŃSKI (niecierpliwie): Ach! Siostró, czyli nie Siostró, tego oczy moje nie odróżniają. (gorąco): A widzę tylko tą lubą kreaturę przyrody, którą zawrzeć w swych ramionach byłoby szczytem doczesnego szczęścia, co mówię, więcej!.. ubodło by mnie to jak ostrogą, pobudziłoby do dzikiego męstwa, uczyniłoby ze mnie bohatera! famę by mi dało!

DENIZA (wskazując na Benyowskyego): Ciszej, jeśli łaska! Obudzicie jenerała co się może na chwilę zdrzemnął... (drażniąc się): Elokwent jesteście jakiście byli. Nawet gorętszy.

ZIELIŃSKI (nachylając się ku niej, upornie): Tu nie o elokwencyę rozchodzi się Denizo. Ja z elokwency egzaminu nie zdaję... Co mówię, mówię z serca wrzącego ordyńansu. Trzeci rok idzie już jak mój mózg obciążony miłością ku wam! Trzeci rok jak czekam przychylniej rezolucyi... Moment niniejszy mnie przekonał, że zar mój nieugaszonym, ogień niestrawionym, że... (już drugą ręką ją objął i chce pocałować) że...

DENIZA (odepchnąwszy go urażona): Warta patrzy Zieliński! Są świadkowie! Widzę nieszczęsna, że wasze zmysły nadal pomieszane! że wam piąta klepka wyleciała z kretesem. (ramionami wstrząsnęła): W takim momencie do umizgów się brać, (wstała) amory deklarować na nowo! Pozwólcie mi odejść...

ZIELIŃSKI (chwytnąjąc ją za rękę): Denizo! Denizo!

DENIZA (obrażona): Siostrzo Denizo powtarzam. Przypuszczam teraz że i was gorączka tutejsza ogarnęła i rozbiera... jeszcze srozsza niżli Benyowskyego... Opa miętajcie się. Nie bądźcie jako dudek na gałęzi zabawny... (wesoło): Ach, jaki zabawny...

ZIELIŃSKI: Niech będzie i dudek i zabawny! Każdą obelgę od was połknę jak ślinę... byłem przy tobie mógł być, byłem na ciebie patrzył, ciebie oglądał, nieskończenie słodka Denizo!

DENIZA (wyrывая się): Puśćcie mnie! puśćcie! Was bracie obłąd chwytą jakowyś! Wyście chorzy do cna! Wam się cyrulikowi oddać, by krwi dyabelskiej opuścić... pijawkami was obstawili...

ZIELIŃSKI: I cyrulik by nie zaradził... Żaden na świecie cyrulik.. Zaradzić tylko ty jedna możesz Denizo jedyna, poniechawszy tej nielitościwej obstrukcyi i skłaniając się ku mnie wreszcie. (półgłosem, nieco ochrypnięty, wskazując na wigwam w głębi): Posłuchaj Denizo.. Tam w wigwamie nikogo niema, mroczno, zacisznie... Ten zasnął.. Zanim kur zapieje pierwszy raz, my możemy zaznać w oku mgnienia szczęścia bez dna i bez granic! (wyrываяcą raz po raz, przyciska mocno ku piersi): Utul, upieść!..

DENIZA: Puść mnie! Puść mnie szaleńcze! Słyszysz?..

ZIELIŃSKI: Noc pierzcha Denizo. Wysłuchaj mnie. Od wyroku twego zależy wszystko! Gdy wyjdę z tego

namiotu rzeźki i uszczęśliwion, rzucę się w bój z wdzięcznym o tobie suwenirem jako lew, jak tygrys! Odznaczę się! Pokonam wszystko i wszystkich. Laur ci rzucę zwycięzki pod stopy! Jeno bądź moją Denizą... bądź moją...

DENIZA (wprost przestraszona): Puść mnie! Zieliński! Puśćcie! Poczną krzyżeć! Słyszysz?

ZIELIŃSKI: W przeciwnym przypadku przysięgam cił nie wrócę żyw! nie wrócę żyw!.. Toć ostatnia moja suplika.. Usłyszę werdykt zły, wondrous pozostaje mi tylko jedno, to jest rzucić się gdzie wrogowie kupą i ledz przeszyty gradem kul...

DENIZA: Puść mnie! puść!.. słyszysz? (wyrwała się, odskoczyła, oddycha ciężko, poprawia zmiętej sukni): Ach...

ZIELIŃSKI: Tedy tylko śmierć jedna! śmierć!..

DENIZA (z odrazą i w pasyi): Tylko śmierć! cóż z tego że śmierć?.. Czemuż tak mi nią grozicie? Cóż mnie ona?.. Nie trzeba grozić śmiercią, skoro się niema chęci dotrzymania! Zresztą tylko śmierć jedna zmyje hańbę, jaką ściągnęliście na swą rycerską reputację, nastawając na mnie jak zwierz w kniei, jak szaleniec, jak chory szaleniec!.. Tfy...

ZIELIŃSKI (opadł na zydelek... zgarbił się, pochylił, twarz ukrył w dłoniach jęcząc): O ja nieszczęsny! nieszczęsny!

DENIZA (gniewnie): A nieszczęsny! nieszczęsny! pewnie, że nieszczęsny! Każden człek co w sobie zwierzęcia spętać nie potrafi po trzykroć nieszczęsny! Wstydzicie się teraz! wstydzicie! Chyba wam ta spiekota nocna i te zapachy kwiatów magnoliowych rozum omotały! Chyba dawno już w modlitwie nie szukaliście ukojenia, Zieliński, skoro tak łatwo szatan cielesnej żądzy zmysły wam maści... Wstręt mam do was, słyszycie! nie taję tego, wstręt! ol.. odrazę do wojownika, co za moment ma ludzi w bój o wolność prowadzić! o świętą wolność! a sam jest nie-

wolnikiem swych chuci dyabelskich... (wstępuje w górę, kierując się ku namiotowi): Tfy...

ZIELIŃSKI (zrywając się powstydzony, z emfazą): Postaram was przekonać Denizo, że umiem się bić, gdy o wolność idzie! Zobaczycie! Zapłaczą nad trupem moim piękna pani!

DENIZA (odwracając się): To wasze marzenie Zieliński! I bodaj że niespełnione! (surowo): A śmiercią waszą wy się do mnie nie umizgajcie! Bo i to trud próżny i nie potrzebny. (poważnie): Jeżeli na śmierć narażać się będziecie, by mnie tylko nastraszyć lub mi się przypodobać, to i śmierć nawet pamięci po was nie upiękni, nie uzłoci... (surowo): Zresztą co śmierć, co śmierć sama znaczy! My w Betlehem bracie w żadną śmierć nie wierzymy. Nasza konfesja poucza, że tylko marne dusze zamierają i przepadają... przepadają w piekle zapomnienia, nieistnienia bez śladu!.. Dusze piękne i mocne przechodzą jeno do państwa wolności, równości i braterstwa. (stała już blisko namiotu): Zapamiętaj to sobie... A państwo to jest za cieniutką, wątłą ścianą naszego żywota... Rozumiesz?... I jeśliś w życiu nie zdołał wyzbyć z siebie zwierzęcia, jeśliś niczem szlachetnem się nie odznaczył, śmierć ci nieśmiertelności nie przychyli!.. nawet na pobojowisku... Przepadniesz marnie, gdyś żył lichy Zieliński... Wiedz to sobie. (odsunęła połą namiotu i staje w głębi): Nawet na pobojowisku.

BENYOWSKY (jakby budząc się, cicho): Wody! Vanderwild wody!..

ZIELIŃSKI (zrywając się): Zaraz jenerale. Vanderwilda niema... (biegnie do dzbanka, staje przy Benyowskim).

BENYOWSKY: A to waćpan? Wybacz...

— Świtanie mocne. —

BENYOWSKY (nagle przysiadł, zaniepokojony): Przebóg, czy to aby nie pora na was? Która godzina?..

ZIELIŃSKI (podaje mu dzbanek, wyciąga chronometrzyk z hajdawerów): Nie! Jeszcze mam kwadrans czasu.

BENYOWSKY (wypił z dzbanka): Przestraszyłem się. Trzeba baczną dozór dawać, by nie prześlepic.

ZIELIŃSKI (ciągle zadumany): Skądże znowu? Ja daję baczenie... Spaliście nieco?..

BENYOWSKY: Króciutko. Jeszcze słyszałem co opowiadała jejmość Moyler. Potem mnie sparło. (ironicznie, kiwając głową): Ergo jej pan małżonek generalissimumem kawaleryi? Horrendum! Horrendum!

ZIELIŃSKI (obojętnie): A tak... Tak. Słyszeliście? Jeno Kaziowi nie mówcie...

BENYOWSKY: Chyba że nie powiem! Słuchaneż to rzeczy taka kapuściana głowa! zaczajony royalista... i to po Kaziu! A Arnold bohater zdrajcą! Tfy... Życie się mierzi...

ZIELIŃSKI (siadając obok pryczy na trawie, smętnie): Oj mierzi się! przeczęsto mierzi!..

BENYOWSKY: Sądziłem ja kiedyś, że to tylko u was w Sarmacyi we wszystkim taki rozgardyasz, bezład i zamęt... Teraz baczę tu jeszcze haniebniejszy... co?..

ZIELIŃSKI: A tak... Może... może... (wyciągnął manierkę, przykładła do ust, popija mocno).

BENYOWSKY: Na godności postępują ludzie niecnili Zasużonych się despektuje! Galimatias! Swary! Prywata! Zdrajcy się lęgną wszędzie... Oj, Zieliński!.. Zieliński...

ZIELIŃSKI: Tak... To prawda! Podobnie jak u nas, niema co mówić, podobnie! (położył się na trawie, ramiona pod głową skrzyżował).

BENYOWSKY: Ale co to podobnie! bliźniaczol bliźniaczol. Ja teraz z przyczyny tego choróbska mam termina wolne na kontemplacye Zieliński! To sobie

rozważam tak i kalkuluję. Tout comme chez nous, jak mówią w Paryżu! Tout comme chez nous dalibóg...

Z daleka dają się słyszeć pierwsze strzały karabinowe, tępe, głuche; odtąd co czas jakiś powtarzają się.

ZIELIŃSKI: Może... może... (nadsluchując): O, już się zaczęło... Pierwsza fuzyllada...

BENYOWSKY (siadając na pryczy): Aha... Ale sroga odrazu! Jest tak atoli, wierz mi bracie! Jeno trafunkiem szczęśliwi są Amerykanowie, bo ich morze, morze oblewa i broni dokoła... By nie ta dokoła woda słona, dysmembracya by ich też nie minęła, czy niewola... Ja to widzę... Szóstyż rok się ta kampania wlecze i wlecze... a Amerykanowie co? Sejmikują i sejmikują całkiem jak u was! Batalje prowadzą lichy! Hetmanami mianują z pod pierzyny starców! Na wojsko regularne Stany Skonfederowane skąpią... I potem dziwić się, jak się nie wiedzie... jak po grudzie idzie...

ZIELIŃSKI: Dla naszej Legji dziś już rumu nie było. Wszystkie inne gatunki broni po porcyi rumu dostały. Dla Legji Pułaskiego zabrakło.

BENYOWSKY: Co waść mówisz? Nawet o tem nie wiedziałem. Więc widzisz. Jak to nierówną miarką mierzą! A do szturmów się najniepotrzebniej kwapili... I swoim dla animuszu rum dali. I tak ze wszystkim, we wszystkim. Nieporządek, nieład, podstawianie nóg i szykany tych co godni... A te potępieńcze swary federalistów z demokratami, plantatorów z negocyantami, kłótnie wszystkich ze wszystkim, co? nie jestże to si parwalicet componere magnis wizerunek Sarmackiej republiki, co?..

— Strzelanina oddalona z drugiej strony. —

ZIELIŃSKI: Bezsprzecznie! Bezsprzecznie! Och, mnie też często do pamięci przywodzą się konfederackie dzieje, mości Benyowsky. (usiadł, oparł się o pryczę): Jak Bóg miły, tak tout comme chez nous...

BENYOWSKY: Prawda? Więc widzisz waść, że to samo nam do głowy wpada. I właśnie Konfederacya! Często gdy na nich tu patrzę przypominają mi się jak żywe, nasze dudki zabawne z Baru! nasze elokwenty a głupce! koguty kłótniwe, chore szaleńce z wybrakowanymi klepkami! Pamiętasz ich waćpan?..

ZIELIŃSKI: Ehe... Ehe! Jakoż miałbym ich nie pamiętać, którym pięć lat w Barzanach strawił.

BENYOWSKY (smętnie): Dziś mi się to wszystko dziwnie do pamięci przyplątało, w chwili gdy Kazimierz o bezecnym zamachu i porwaniu króla waszego przypomniał. Jako żywi stanęli mi przed oczyma żrący się z sobą ustawnie i przypadający do się z pięściami Krasieński ze starym Pułaskim, Kochanowski stary hulaka! Ogiński strateg od siedmiu boleści... I ta cała jeneralność! I te kufy tokaju spijane bez liku. I ten cały żywot nasz lichy w niewoli wszystkich chuci zwierzęcych, które krył się i stroił pod reputacyą rycerską, a ojczyźnie krajanej miał dawny splendor przywrócić! stracone odzyskać... podległym niepodległość zdobyć! (westchnął): „Sunt, sunt lacrimae rerum“ Zieliński...

Chwila milczenia. Świegot ptasi się wszczyną. Dnieje.

ZIELIŃSKI (westchnął): Tak... Tak... „Sunt lacrimae rerum“... A wszakże sami mówiliście jenerale jak tu także w Ameryce jakimś trybem sarmackim sprawy publiczne się toczą.

BENYOWSKY: Albowiem jest tak. Obserwujemyż to przy każdym publicznym postępku i przypadku. I z tej przyczyny, mój Zieliński, czasami mnie też zwątpienie ogarnia czy Amerykanowie zdolni będą istnieć sposobem niepodległym! czy też miłość wolności jest ich przeważną cnotą, czy dusze mocne i piękne zdołają objąć ster nad niewolnikami chuci prywatnych, nad mózgamy obciążonymi ciemnotą, nad takimi co żyją jak bydłęta z kniei. U was w Konfederacyi właśnie nie zdołały.

ZIELIŃSKI (posepnie, wstydliwie): Mało ich było tych dusz pięknych i mocnych...

BENYOWSKY: Ale byli! bądź co bądź byli.

ZIELIŃSKI: Ja znam tylko jedną... (ręką daleko wskazał): Jego! Kazimierza!

BENYOWSKY: A przeor z Annopola? Można mu wiele było z przeszłości zarzucić, aleć z czasem stał się człkiem jakby z „Żywotów Pańskich“, jakimś polskim świętym! Nie?

ZIELIŃSKI (zdumiony, zerwał się aż na nogi): Kto? Gdzie? Jandołowicz? (parsknął śmiechem): Polskim świętym ma zostać? Jenerale! Chybaście z księżycą spadli na ziemię, że mu żywot świętego importujecie! A toście trafili jak kulą w płot z takim exemplum... Hahaha...

BENYOWSKY (urażony): Przestańże waść się śmiać. Będzie już lat chyba z dziewięć, z osiem, kiedym z Polski wyjechał. Skąd ja mogłem popasając w Japonii czy na Madagaskarze wiedzieć co za los przypadł konfederackiej braci. Pierwszy raz o tem z kimś mówię. Księża Marka ostatnim raz widział jak kazanie w lesie miał. Konfederackiej konfesyji był całą duszą, całym sercem. Gmin żołnierski go admirał. Mówżeż waść! Co z nim teraz?..

ZIELIŃSKI: Wyparł się nas, wyparł szpetnie całą konfederacyję! potrzykroć! Nuncyuszowi Garampiemu napisał długą solenną deklaracyję tacto pectore, jako z nami nic nigdzie nie miał pospólnego... Z jurgeltnikami petersburskimi w komitywach żyje. W Berezówce Cieleckich na rezydenckim chlebie otyły stał się, win kone-ser, faraona apostoł! Co to ukrywać prawdę. Do Kijowa, gdzie ongiś w turmie siedział, teraz na jarmarki z królikami pojeżdża. Dykteryjkami przy libacyach jenerałów Imperatorowej rekreuje... Ot ksiądz Marek...

BENYOWSKY (uszu zatulając): Dosyć! dosyć na Boga, przestańże waść! Jeżeli połowa z tego choć z prawdą się godzi, zgroza pomyśleć z jakiego to człeczyny opowieść gminna u was zrobiła męczennika. Przecież są, co go za proroka obwieszczali.

ZIELIŃSKI (siadł na pryczy u nóg Benyowskyego): A tak, są w zapadłych kątach Sarmacyi jeszcze i tacy. Ale my tam wiemy co zacy była pijaczyna... (deklamując): „Młódek bez doświadczenia i lękliwych sterek, uwodziciel w stolicy, uwija się Marek, przed niedołączoną tłuszcza prorokiem się mieni, oko ma w niebie, rękę w bliźniego kieszeni...“ Oto wierszyk, którym nagrodzono w Warszawie przeniewierstwo kapelana!

Strzelanie cokolwiek bliższe, mocniejsze, raz po raz.

BENYOWSKY (ze smutkiem): Tak... Tak... „Sunt lacrimae rerum“ Zieliński, „sunt lacrimael..“ Mało w nim było ducha Bożego, w Marku, zawsze bardzo mało! Strach pomyśleć, że takiego filuta może gmin ślepy zrobić narodową glorią! (machnąwszy ręką z grymasem niechęci): Ech i w całej Iliadzie Barskiej wieleż to bywało, co się nie rymowało!.. Świętą się niby nominowała i wiary bronić miała, a z półksiężycem komitywy! Jeneralność Ukrainę i Podole sułtanowi odstąpić gwarantowała! Setki i tysiące chłopstwa poganom w jassy sprzedawali! Chrześcijańskiego chłopstwa! Tak! tak...

ZIELIŃSKI (zdziwiony, z oburzeniem): Toć znowu prawdą nie jest! Fałszywe pogłoski!..

BENYOWSKY: Niestety i nie fałszywe! Stwierdzone. Istnieją dokumenty. Do Paryża je przysłano ze Stambułu! I starego Pułaskiego też mszcząc się nad nim wydali wielkiemu wezyrowi, niby jako wroga Islamu! W więzieniu go eunuchy udusiły jedwabnymi wstążkami... starego pana marszałka... ojca Barskiej insurekcji!

ZIELIŃSKI (w smutku pogrążony, głowę wsparł na rękach): Tak... tak... „sunt lacrimae rerum...“ (z otuchą): Toć sami

atoli powiadaliście, jenerale, że gdzieindziej nie tak znów lepiej. I jakto nasza Konfederacya do tej tutaj podobna!.. obie łodzie bez sterów, a grzeszników pełne... A jednakoż im się tu fortuni i wiedzie... A nam... tam w Ojczyźnie...

Nagle daje się słyszeć dość blizki grzmot działa i echo jego dwukrotnie powtórzone, potem z kolei zaraz dalsze głuche salwy armatnie. I wraz jakiś przybliżony rozgwar i szcęk broni, hałasy, okrzyki.

BENYOWSKY (zerwał się na pryczy, przerażony): Prze-bóg, co to?..

ZIELIŃSKI (stanął na równe nogi, wyprężył się, słucha, kurczowo wyciąga chronometrzyk): Co to znowu? Tak blizko? (popatrzył na godzinę, zbladł jak ściana, z krzykiem): Jezus, Marya, Józef!.. Przegadaliśmy znowuż... (zbiega, leci w lewo): Przegadaliśmy!

ŻOŁNIERZ (przy szlagbanie, salutując): Koń czeka porucznika oddawna.

BENYOWSKY (zbladły, żegna się dwukrotnie): Przegadaliśmy... Boże ratuj... (z krzykiem za Zielińskim): Pędź jak strzała! Będziesz jeszcze w porę... Jezus Marya!.. (opada na poduszkę)

Żołnierz przy szlagbanie przestał chodzić, patrzy przenikliwymi oczyma w prawo, w głąb...

Znów blizki grzmot działa i echa jego powtórzone, poczem szcęk broni bliższy.

OKRZYKI (z prawej): Do namiotu! Do namiotu!..

BENYOWSKY (z wysiłkiem zerwał się znowu, do żołnierza): Człowieku na Boga! Co to? Może widzisz?.. Mów...

ŻOŁNIERZ (salutując): Rejterada, melduję pokornie...

BENYOWSKY (wpatrzony w zarośla przenikliwie): Kogoś tu... jakieś nosze?.. (z krzykiem): Ty!..

ŻOŁNIERZ: Tak jenerale... Ktoś ranny. Aha...

— Vanderwild wbiega z prawej, blady, bez kaska. —

BENYOWSKY (odrzucił derkę, staje na trawie): Vanderwild... Czy?..

VANDERWILD (potakując głową): Tak... tak... Prosimy o ustąpienie miejsca... Przemyje się zaraz rany...

Benyowsky szybko poprawia hajdawerów, narzucił szal na siebie, idzie naprzeciw wchodzących.

DENIZA (z włosiem rozpuszczonym, przecierając oczy zaspane stanęła w otwarciu wigwamu, przestraszona, popatrzyła w prawo w głąb, z krzykiem): Pan Kazimierz ranny! (już chce biedz naprzeciw).

VANDERWILD (wskazując na pryczę): Poprawcie Siostrzo zasłania. Ja idę po świeżą wodę do przemycia... (bierze dzbanek, biegnie za namiot).

Siostra Deniza rzuciła się ku pryczy, poprawia posłania. Z prawej wchodzą żołnierze, dźwigający na noszach jenerała Pułaskiego. Jest ranny w nogę i piersi, przewiązany krwawiącymi szmatami. Przy noszach tuż obok Siostra Angelika, trzymająca rannego mocno za rękę.

BENYOWSKY: Kazimierzu! biedny Kazimierzu!

ANGELIKA (do Benyowskyego): Tylko cicho!.. Spokój... spokój... (do żołnierzy): Teraz ostrożnie... spadziść!.. O tak...

DENIZA (do Angeliki, przycisznie): W wigwamie są szarpie... Zaraz podam!..

Benyowsky pomaga żołnierzom wnosić nosze ostrożnie na wzgórze.

ANGELIKA (do Denizy): Nie! ja mam nasze w torbie... Nie trzeba.

Żołnierze stają z noszami przy pryczy.

PULASKI (siny z bladeści, szepnął): Vanderwild!..

BENYOWSKY (nachylając się): Zaraz będzie Kazimierzu. Poszedł po czystą kryniczną wodę... O już jest!..

Vanderwild zadyszany staje z dzbankiem.

VANDERWILD (postawił dzbanek, drży ze wzruszenia, stanął przy noszach): Jenerale. .

PUŁASKI (rękę na głowie Vanderwilda położył, gładzi go): Pędź pod Dąbrowę... gdzie szasery Wilkensa... (podniósł się nieco) ...bierz konia, czy wóz... Niech już... niech już...

ANGELIKA (otwarła torbę podróżną, wyciąga z niej nożyczki, szarpie daje Denizie): Jenerale! Nie wolno mówić...

PUŁASKI: Zaraz Siostrze... dwa słówka... (do Vanderwilda): Niech już nie maszerują na Springhill... za późno... (wskazuje ręką) Tu... Tu... prędko... (ręką w głąb, ku prawej, z wysiłkiem): By nam nie przecieli drogi do rzeki... rejterady... (opadł na poduszkę).

VANDERWILD (zrywając się): Biegnę jenerale... Już...

ANGELIKA (do żołnierzy): Teraz przesuniemy ranego na pryczę.. tylko spokojnie bracie, spokojnie... My wam pomożem...

Vanderwild zbiega ku lewej, skąd już słychać świstki gwizdawk i tupot nadbiegających ludzi.

BENYOWSKY (uspokajająco, do Pułaskiego): Nawet już zbyt szybkie, Kazimierzu! Lecą tu gościncem. Widzę ich choć kurz nieco zasłania.

PUŁASKI (z ulgą): Chwała Bogu! chwała Bogu! Mogło być źle...

Żołnierze, Deniza, Benyowsky podnieśli go i ostrożnie powoli przesuwają na posłanie.

ANGELIKA (rozwijając bandaż, pogodnie, z uśmiechem): O, tak będzie lepiej, bracie Kazimierzu... wygodniej... Teraz się przemyje ranę...

BENYOWSKY (tępo): Biedny .. biedny Kazimierz! (nagle z wybuchem pasy, pięść zacisnął, pogroził ku prawej): Och, te łajdaki, te!..

— Deniza poprawiła przy wezłowi. —

— Angelika przyklekła przy łożu z jednej strony. Deniza z drugiej, odpinając koszulę, odrzucając szmaty krwawe, biorąc się do przemywania rany. —

PUŁASKI (do Angeliki): O lepiej... lepiej, Siostrze... (wyciąga do niej rękę i ściska) ...dziękuję... (do żołnierzy): A... chłopcy wracać do roboty...

JEDEN Z ŻOŁNIERZY (machając kapeluszem): Zdrowia, jenerale!

INNI ZA NIM (przycisznie): Zdrowia jenerale! (i odbiegają ku prawej).

PUŁASKI (kiwnąwszy serdecznie głową): Dziękuję... Zrobi się... (do Benyowskiego, rzeźko): Nic to Beni! Bądź spokojny... Serce nie drażnięte... (z uśmiechem): Przegraliśmy dzisiaj, wygrać musimy jutro! (nagle przymknął oczy, przez zaciśnięte zęby syknął z bólu): ...Ooo... do kroć sto tysięcy dyabłów... Zapiękło...

ANGELIKA (przemycając ranę): Ależ, bo na Boga! nie mówcie nic jenerale! Jak można... (do Denisy): Przyciskaj mocno, niech wyjdzie... o tak. . tak dobrze...

Z prawej gruchnęła teraz głucha salwa karabinowa. Z lewej hałas mocny. Słychać wyraźnie już nadbiegających żołnierzy i gwizdanie melodyi Yankee Doodle.

BENYOWSKY (do Pułaskiego): Jam też nie groził tamtym, Kaziu!.. (z pasją): Ale na tego bydlaka admirała to!.. Teremtete!

PUŁASKI (z wysiłkiem): Nie trzeba! Nie trzeba... Admirał ciężko ranny! Ale bił się jak Francuz każdy! jak lew!.. Milicya Virginijska zawiodła..

DENIZA (zatułując mu usta ręką): Nie wolno jenerale! Ani słowa... Jak nie pomogą prośby, to...

ANGELIKA (uspokajająco do Pułaskiego, wskazuje na prawo): Ooo... biegną już szasery Wilkensa...

PUŁASKI (popatrzył, podniósł się nieco, ręką na belkę wskazał): Belka! na Boga, rogatkowa belka!.. Ludzie!

BENYOWSKY (spozrzegł dopiero): A prawda... (do żołnierza z prawej): Bełę usunąć! Ty!..

Żołnierz rzucił pospiesznie muszkiet na ziemię, popchnął z dołu bełę, która idzie do góry.

W tej chwili wpadają z lewej z wysuniętymi do ataku bajonetami szaserzy Wilkensa. Są rozrzućeni, nie w szeregu. Pierwszy leci mały chłopczyna z bębniem. Za nim Wilkenson z wyciągniętą szablą. Wszyscy gwizdzą wesoło Yankee doodle. Przebiegają mimo z animuszem.

Pułaski podniósł się nieco, oparty na ramieniu Denizy. Angelika, Benyowsky odwróceni ku żołnierzom i patrzą.

WILKENSON (z krzykiem): Forward! Forward!..

W tej chwili zabłąkana kula z prawej bije w prawe ramię bębniącego chłopczyny. Ten główkę w tył odrzucił, jakby cofnął się, ręka bębniąca mu zwisa. Ale wraz opamiętał się i biegnie naprzód z krzykiem.

WILKENSON: Forward!.. Forward!..

Odbiegają. Rozwidniło się już zupełnie. Ptaszka jakby podniecone zgiełkiem bitwy świegocą jeszcze głośnie.

Wilkenson skoczył biegnąc na kupę kamieni przy słupie drogowskazowym i stąd dyryguje przebiegającym oddziałem.

Teraz nadbiega drugi oddział, również rozrzucony, bez śpiewu, ze sztandarem amerykańskim.

Przodkiem z wyciągniętą szablą rozgorzały Zieliński.

ŻOŁNIERZE (biegnąc z nastawionymi bagnietami): Hurra! Hurra!..

ZIELIŃSKI (zdyszany): Avancez! Avancez!

PULASKI (podnosząc się jeszcze wyżej, ku Zielińskiemu, z lekkim wyrzutem): Spóźniłeś się Jasiu! Ale Bóg z tobą! powiewa mu chustką): Bóg z tobą!

ZIELIŃSKI (w przebiegu, z odwróconą twarzą): Bóg z tobą Kaziu! (ochryple): Wybaczaj! (przebiega naprzód z oddziałem): Avancez...

Żołnierze za nim. Wilkenson wyciągnął teraz lunetę i patrzy w prawo niespokojnie. Pułaski również wpatrzony w przód.

WILKENSON (do oddziału Zielińskiego): Forward!..

BENYOWSKY (do Wilkensa, z troską): Jak tam, Wilkenson?

WILKENSON (patrzac przez lunetę): Może się jeszcze uratuje... Nastają tutaj wielką siłą... Dywizya Majtlanda... I Hescy Hohenberga...

PULASKI: Czerwone mundury?

WILKENSON (patrzac dalej): Tak... Czerwone. Sam Majtland dyryguje... Ale może moje zuchy powstrzymają. (do przebiegających, ostatnich): Dalej dzieciaki!.. Pardonu nie dawać! Sztuchem!..

Przebiegający żołnierze: Hurra! Good bye Wilkenson!

ANGELIKA (do Pułaskiego): No, jenerale, już dosyć... Zabraniam dłużej patrzeć... Kłaść się... Was to nic teraz nie obchodzi... nie wolno... Jesteście bladzi jak płótno... Proszę kłaść się!.. Denizo...

Ostatni żołnierze przebiegają gościńcem ku prawej. Deniza wysunęła rękę, pomaga ułożyć głowę Pułaskiego na poduszce.

PULASKI (do Angeliki): Już się kładę. Już jestem posłuszny... Tylko jeszcze pozwólcie Sostro...

ANGELIKA (mocno): Nic nie pozwalam... Jenó leżeć proszę spokojnie i czekać. Lekarze zaraz będą.. I bez was muszą sobie tam dać rady... Stary Lincoln objął komendę...

Benyowsky dał znak Denizie, aby zeszła na gościńiec. Jest mocno zaniepokojony, raz po raz z troską patrzy na Pułaskiego. Schodzą oboje na ubocze.

ANGELIKA (klęcząc przy rannym): Wasza ranka jest maleńka... Wygoji się w tydzień... Tylko trzeba spokojul I o niczem nie myśleć... Ale to o niczem!..

Wilkenson patrzy nadal przez lunetę z wznoszącym niepokojem. Zgiełk i szcęk wojenny oddalił się nieco, ale raz po raz słycać oddaloną strzelaninę.

BENYOWSKY (chwytając za rękę kurczowo Denizę, wskazuje na Pułaskiego): Co to będzie?.. Coś lekkiego Siostró... Tylko postrzał?

DENIZA (zaprzeczając): Nie! Kula pod sercem, głęboko. Jenó że człek silnej kompleksy...

BENYOWSKY (ręce załamując): Głęboko! Jezus Marya!.. Ale... ale przecież...

DENIZA: Byle nie było upływu krwi zbytniego... I spokój... I byle można... To kartacz... (szepcząc mu resztę do ucha): A przy kartaczu...

ANGELIKA (głośno, swobodnie): A jeżeli już musicie myśleć o czemś, to o czemś miłym... przyjemnym... Przeczytam wam Pułaski, listy co do was przyszły... (do Denizy): Denizo, podaj mi torbę z pocztą.

DENIZA (odbiegając od Benyowskyego): Zaraz Angelikol

VANDERWILD (stojąc bliżej, podaje Angelice): O jest już...

ANGELIKA: A jest... (szuka w torbie).

PULASKI (zmęczonym głosem, uśmiechając się): Tak? Są listy?.. To dobrze! Może z Filadelfii?..

ANGELIKA (łagodnie, jak do dziecka): A są i z Filadelfii... Są... Tylko proszę się nie egzagerować, to przeczytam... Od znajomych... od przyjacieli, od kongresmenów, tak... O, słyszycie jak ptaszęta śpiewają na dzień dobry na gałęziach?.. Jakby nigdy nic. Jakby żadnej niegodziwej wojny nie było... Nic ich to nie obchodzi...

Wschodzące słońce obrzuca mocnym światłem pagórek, wigram i chorego. Szczebiot ptaszęcy istotnie wzmógł się. Nagle powietrzem wstrząsnął oddalony grzmot działa, powtórzony w echem po dąbrowie. Wszyscy mimowoli wzdrygnęli się. Pułaski przykniął oczy, leży bez ruchu. Szczęk broni dochodzi.

ANGELIKA (ujmując Pułaskiego za rękę): Spokojnie! spokojnie... Co nas to obchodzi, bracie Pułaski... Czekajcież. Jeden list z Filadelfii jest od samego...

PULASKI (radośnie, oczy otworzył): Washingtona? Czytajcie... czytajcie...

Wilkenson obserwujący przez lunetę, na chwilę przerwał sobie i zapala hubką fajeczkę.

ANGELIKA (otwierając list): Jak pozwalacie... Pewnie będą jakieś miłe nowiny... Czytam więc...

— Benyowsky, Deniza, Vanderwild stanęli blisko. —

Wilkenson starał się stanąć jeszcze wyżej. Znów patrzy przez lunetę niecierpliwie i z irytacją. Raz po raz coś przy niej poprawia. Jest chwila ciszy.

ANGELIKA (czytając): „Drogi Panie! Miałem przyjemność otrzymać list Pański, doręczony mi przez kapitana Le Bruna. Niewielki zapas amunicji żądanej wysłany został wraz z parkiem artylerii właśnie wczoraj... (do Pułaskiego, objaśniająco): List ma datum 29 Września, to znaczy z przed miesiąca równo...

PULASKI (cichutko): Z przed miesiąca... Aha...

ANGELIKA (czytając): „Dałem również rozkaz jeneralnemu intendantowi na sto koszul dla waszej Legii. Wszystkie kołdry jakie mieliśmy pod ręką zostały już rozdane... Wydział Wojny przedsiębrał atoli środki, aby nabyć nowy zapas, z którego Wy, drogi Panie Kazimierzu, otrzymacie wedle Waszej propozycji, część. Zły stan dróg...

Z prawej gruchnęła teraz z oddali głucha salwa karabinowa. Równocześnie słychać trąbkę na rejteradę.

ANGELIKA (czytając): Zły stan dróg... (popatrzyła na Pułaskiego, zrywa się, rzuca list): Pomdlał! Wody!..

— Wszyscy zrywają się, Deniza chwyta za dzbanek. — "

Benyowsky podnosi mu głowę. Teraz pierwsi żołnierze uciekający pojawiają się z prawej.

WILKENSON (nagle odrywa lunetę od oczu, ku prawej): Tutaj! Tutaj Confederaci! Cofać się!

BENYOWSKY: Co to? Jeszcze rejterada?

WILKENSON (twardo): A tak! Stracone! Nastają tutaj. (do nadbiegających z prawej żołnierzy, złym głosem): Związać obóz bestye! Pakować graty na wozy z gościńca!.. Rejterujemy się ku rzece!

Popłoch przy namiocie. Żołnierze jedni rzucają się do wigramu i zrzucają go na ziemię. Inni chwytają wielki kosz czarny.

Benyowsky i Wilkenson chwytają za pryczę z pomdłałym. Siostra Deniza wpadła w rozdzierający płacz.

VANDERWILD (do Wilkensa): I stąd, pułkowniku?..

WILKENSON (z pasją): Bez rozmów... (do żołnierzy): Rannych i chorych na okręty! na rzece!.. Żwawo, hultajel!.. Tył nam zabierają... A okręty zaraz do Charlestonu... (chowa lunetę za pas, pykając z fajki, do Benyowskyego, spokojnie): Przegrana, drogi Benyowsky... Tak... Inna rzecz, że jeszcze jedna taka wiktorya Albionu, a Ameryka będzie wolną!.. (do uwijających się żołnierzy, twardo): Prędejj!...

Kurtyna spada.

AKT V.

EPILOG.

Na pokładzie wojennej fregaty „Wasp“.

Tyłna część okrętu wojennego t. z. „kampanie“ i tej części t. z. „steward bord“. Z lewej bliżej olbrzymi fokmaszt z rozpiętym na krzyżownicach i rozdętym ku lewej wielkich rozmiarów płótniskiem żagłowem. Wzdłuż sceny w głębi idzie wysoka na wzrost człowieka burta zginająca się w bliskości prawej strony i łagodnym łukiem idąca wzdłuż prawej, aż do samego przodu. Po burcie tej poznać, że tył okrętu nie kończy się dziobem, ale jest mocno, omal prostokątnie przecięty. Burta drewniana jest smołą zalana, a z wierzchu blachą miedzianą obita. Ze szczytu i z pewnej wysokości fokmasztu, z lewej idzie tak ku pokładowi, jak i ku burcie szczególniej moc lin grubych; końce tych lin u haków związane. Tak blisko zgięcia burty w głębi, jak tuż blisko z prawej znajdują się w burcie wycięte wielkie luki dla harmat okrętowych, na misternie rzezanych drewnianych lawetach opartych; harmata w głębi w luce widocznej stoi tedy tyłem, harmata z prawej blisko, stoi bokiem. Na środku pokładu, bliżej lewej strony w pokładzie wycięte zejście ze schodkami w głąb nawy, zejście z odwaloną klapą na zawiasach, dokoła balasami z trzech stron obwiedzione. Nad burtą w głębi, bliżej z lewej widać na olbrzymich żelaznych kranach zwisającą szalupę. Tu i owdzie paki i baryły, buchty lin ciężkich w ślimaki pozwijanych, z samego przodu mała kufa ze smołą. Przy burcie z prawej strony w głębi, już blisko harmaty stoi długi stół prostokątny, wążki brezentem kryty.

Fregata „Wasp“ płynie na tle spochmurniałego nieba ku Charlestonowi.

Na pokładzie w głębi uwija się trzech marynarzy: T o m m y, B o b, J a c k. Zakasane mają rękawy, na bosych nogach łapciaste chodaki, zamorusani smołą, sadzami. W rękach mają duże igły z grubymi niciami. Na stole leży wzdłuż ciało ludzkie obwinięte kilkakroć całe żagłowem płótnem. Marynarze kończą zaszywać ciało w płótno. Siwy ogorzały Tommy i młody, piegowaty Bob u głowy... Pogodni i swobodni gwizdzą na trzy głosy „Yankee doodle“.

Jack stoi przy otworze w pokładzie, w postawie służbistej, wpatrzony stale w górę w lewo. Przy uchu trzyma trąbkę. Bliżej z lewej, czterech Indian z plemienia Mohiganów kończą szorować podłogę pokładu. Indianie mają nogi skute małymi, nieszczękającymi łańcuszkami. Są w stroju bojowym, jeden nawet z całym skrzydłem pancernym z piór, wzdłuż pleców i głowy. Twarze dumne i pańskie, nosy krogulcze i orle, ruchy ociężałe, ale szlachetne. Jeden rozlewa jeszcze wodę z kubła na pokład. Inni trzej szorują mocnymi szczotkami kawałek pokładu z widocznym obrzydzeniem do tej roboty.

Z lewej, z góry słyhać teraz przeciągłe dwa świsty piszczałki i wraz potem z innej strony okrętu takie same, jakby w odpowiedzi. Poczem głos z góry, z lewej, rozkazodawczy, krótki, szorstki: Lewa. Cztery!

JACK (patrzac w lewo wysoko, w górę, do gwizdzących): Lewa? Cztery? (nachyla się ku otworowi w pokładzie): Cztery!

BOB (pochyliwszy się, patrząc przez lukę armatnią): A bo z prawej lezie jakaś landara...

TOMMY (nie przerywając pracy, pochylony): Wojenna?

BOB: A jakżebyś chciał.. Wojenna. Poznaję po pysku. Wiezie jeszcze wojsko pod Savannę. (odwraca się do roboty)

JACK: Chwała Bogu, dyabłu cześć. Przydadzą się...

Z góry, z lewej znów mocne dwa tony piszczałki i wraz dwie z różnych stron odpowiedzi.

GŁOS (z góry, z lewej): Lewa! pięć, sześć, trzy!

JACK (pochylając się przez balaski, krzyczy w dół): Pięć, sześć, trzy!.. Lewa...

Znów dwa tony piszczałki.

JACK (odwracając się do rudoskórych, gburowato): Hej tam! Wy! Rudoskórce! Będzie już raz próżniaki przekłętę! Dwie godziny ten pokład chlapią i chlapią.

GŁOS (z lewej, z góry): Jack, daj mu w gębę, to będzie w mig...

JACK (zadzierając głowę w górę, ku lewej, krzycząc): A co tam?.. (przy uchu trzyma słuchawkę).

GŁOS (z lewej, z góry): Daj w gębę „Blademu Orłu! Będzie prędzej...

JACK (przerywając robotę, dwa kroki ku indyanom postąpił): Dobrze! Posłucham... (do Indyanina): Słyszycie co mówił lord z bocieńca... Zeby wam gęby wykuksować, to będzie prędzej! (przybliży się jeszcze do nich, z pasją): Prędzej zatracone nasienie Belzebuba! Jazda, kończyć raz te niedźwiedzie tańce! Za kwadrans pogrzeb, a rycerze z dyabelskiej puszczy jeszcze nie gotowe! (wziął się pod boki, krzykliwie): Prędzej, mówię, do kroćset tysięcy fur par beczek dyabłów!

Mohiganie robią swoje nie zwracając najmniejszej uwagi. Od czasu do czasu spojrzą nań pogardliwie i z grymasem. „Błady Orzeł“, który rozlewał wodę z kubła i teraz stoi bezczynnie, patrząc z obrzydzeniem tylko z góry. Twarz mu ani drgnie.

TOMMY: A dajże im spokój Jack! Przecież już kończą.

JACK (z uporem, kłótliwie): Co im mam dać spokój. W zęby im dam, nie spokój... O... (grożąc pięścią ku „Blademu Orłu“): Pamiętaj Wyoming-Valley Tommy! Pamiętaj rzeź w Wyoming!.. A oni nam nie dają spokój, te opętane muły! Jakby mogli, toby nas tu wszystkich cacanie oskalpowali... (do „Błatego Orła“, pokazując łańcuszki): Tylko, że breloczki mają u kostek... Ale niechby im tylko... (z pasją): Ty co tak na mnie patrzysz z piętra. He?.. Ty capie z kogucią grzywą... Ty!.. (wygraża mu pod nosem pięścią).

BOB: On jest dumny, bo on jest Sachem. Ty wiesz Jack, co „Sachem“! To książę! On jest hetmanem całego szczepu! To on z Brytanami sojusz zawarł! Wiesz?..

JACK: Taak?.. To to on?.. (do Indyanina): To, to tyś ptaszku, aż pod Savannah zaszedł... Z Hesami

Hohenberga i Mindorfa? Z nad waszych Pięciu Stawów? Tak? (świszczącym z pasy głosem): Ja nie wiedziałem, że to ten czubaty dyabeł... (do Indyanina): Widzisz! widzisz, na co ci to zeszło ty... ty rudoskóry wojewodo... (koło nosa mu igrając): Jedziesz teraz w dybach! pojmany! do turmy! w Charleston! (wesóło): Będziesz tam gnął na dnie... wiesz... dożywotnio... (wskazując na innych Indyan): Albo cała societa pójdzie pod mur i trzask, (pokazuje celowanie ze strzelby) trrrach! fuzylada...

TOMMY (szyjąc ciągle, łagodnie): A nie dręczcież go już, Jack! A cóż się tak uwziął nad nimi...

JACK (zaperzony): Jakto com się uwziął? Cóż się tu dziwisz jeszcze... Chcesz się za nim wstawiać stary śledziu holenderski, co? Wolno mi... Ty wiesz co to za jedni... Tyś stąd? Wirginijczyk, to nie wiesz, co to za piekielnicy są... A ja wiem .. (wywijając pięścią) ...ja wiem... Oni mi braciszka małego raz porwali i po szyję w ziemi zakopali! Potem go trzeba było wykupić... (odwraca się ku marynarzom) ...trupka wykupić, by pogrześć!

Z lewej, z góry świstawka z odmiennymi dwoma tonami. Jej odpowiadają dwie inne.

GŁOS (z góry, z lewej): Prawa! Siedem!

JACK (szybko stanął przy balaskach, krzyczy w dół): Prawa! Siedem! (wraca): Ja ich znam! (z wściekłością): To drażniejszy gatunek jest. Tylko teraz siły nie mają... Nic im tylko wojować i wojować. Jak niema białoskórych blisko, to sami ze sobą... Albo się wynajmują, wiesz? raz tym, raz owym... jak Hesi! Dawniej Francuzom z Kanady przeciw nam... Potem znów Torysom szli na pomoc, kiedy ci zwyciężali... Wszystko im jedno komu!..

BOB: Tak... Tak... To prawda... Byle nie siedzieć na miejscu. Byle nie pracować...

JACK: Oj to, to... W sednoś utrafił Bob! Byle nie pracować... Ty Tommy, nie masz pojęcia, jakie to próżniackie plemię! Za nich wszystko ich baby robią...

Wszystko! Gospodarza, fermera dobrego u nich nie uświadczysz! Płotu ci w swych fermach prostego nie postawią! o...

BOB (potakuje wciąż): Tak... Tak... prawdę mówi...

JACK: Rzemiosłem wszelkim gardzą! Za ladą by żaden nie stanął... Tylko wojować i wojować... A potem o tem pieśni śpiewają takie.. albo znowu tańczą... albo znowu sejmy wciąż robią sobie... wokół obsiada... łulki w zęby i nuż łąć na wyścigi, co to który dokazał...

TOMMY (z podziwem): Ech, bo też są dzielni, co to gadać! rough-riderzy, jak mało... Jaka to kawalerya do podjazdów! do szarżerunku! Hoho...

JACK: Owszem! Kawalerya, ale nic więcej! Na koniach się rodzą, to nie dziwota. Ale więcej nic, nic... Mądrego, uczonego między nimi bracie nie widział nikt... Przynajmniej tak u Mohiganów i Chippawajów... Fajką się ulula i prorokuje... (spluwa): Tfy! zatracone nasienie! Wyginie wnet marnie, wiadoma rzecz...

TOMMY: Pewnie! Jak ich tak będziemy tępić! Bo doprawdy poluje się na nich jak na bizuny...

JACK (z pasją): To ty ich oszczędzaj, stary flaku cielęcy. Oszczędzaj! Jak ci córeczkę porwą, śliczną Dorrit! Jak ci ją oskalpują, to będziesz inaczej śpiewał o nich... Zobaczmy!..

Indyanie skończyli szorować pokład, odstawili kubły i szczotki i siadają z boku, za barylką okrągłą z lewej w kucki, naprzeciw siebie. Jeden zapala fajeczkę, pali chwilę i podaje drugiemu, ten trzeciemu i tak kolejno, od czasu do czasu coś pomruczą do siebie, zresztą patrzą na siebie dumni a apatyczni.

W zejściu w pokładzie pojawia się głowa Vanderwilda, wchodzącego po schodkach. Stary sierżant jest posepny, na ramieniu ma szeroką czarną, krepową przepaskę.

BOB: To prawda... prawda... O idzie Vanderwild... Spytamy się jego o rudoskórców... Ty Tommy mary-

narz od dziecka, nie wiesz nic o nich. Na Atlantyku Mohiganów niema...

TOMMY: Co ja mam się Vanderwilda o to pytać... Ja go się chcę spytać, kto zacz był właściwie ten (wskazuje na prawo) ...umrzykl.. Rozumiesz?.. Niech wiem choć kogom obszywał do ostatniej kąpieli... Nie tam o głupich rudoskórców...

VANDERWILD (smętny, zbliżając się, kiwnął im głową): Jak tam praca chłopcy?.. (westchnął ciężko).

JACK: Całkiem dobrze, sierzancie... Już skończone. Teraz się tylko smołą szwy wszystkie pobejcuje.

TOMMY (skrobiąc się w głowę): Chcielibyśmy właściwie tylko wiedzieć coś dokładniej, sierzancie, o... nim... (wskazuje na prawo): O tym... Tyle nam wiadomo, że to wielki jenerał był... Ze jechała biedaczyna do Charlestonu na leczenie z ran, a tymczasem Bóg go na Swój Sąd powołał...

Vanderwild oczy aż z żalu przymknał, głowa mu się pochyliła od żalości. Nie mówi nic.

Marynarze spoglądają na siebie znacząco. Zamilkli. — Jest chwila ciszy. — Słyszać jakby poszum fal uderzających o statek i wiatr świszczący w odęte żagle.

TOMMY (przerywając milczenie): Tak... Tak... to jest na tym świecie. (gwizdże Yankee doodle).

BOB (delikatnie): Powiedzcież sierzancie choć cokolwiek... z łaski...

VANDERWILD (odsunął się o krok, chusteczką po oczach przesunął): Co ja wam powiem szczury wodne?.. Co ja wam powiem... Jenerał był sławny... Commandeur! Cudzoziemiec... (głos mu uwiązał w krtani) Polak... Polak...

BOB: To nie Sakson?..

Vanderwild przeczy głową.

TOMMY: Aha! To Francuz?.. Tak?..

JACK (niecierpliwie): Ależ nie Francuz cielęcy flaku! Słyszałeś przecież... Polak... To co innego, rozumiesz?.. To taki, jak ten szpakowaty, co jedzie z nami! Ten co był królem Madagaskaru, głowo nieoświecona. Też Polak... (do Vanderwilda): Prawda, sierzancie?

VANDERWILD (oparł się o burtę, głucho): Prawda, chłopcze...

TOMMY: Szkoda go... Zawsze szkoda. Młody był. Nie wiem czy dojechał trzydziestki... Wcześniej mu się urwało...

BOB: Gorączka nim rzucała straszecznie.. Trzeba go było trzymać, tak nim ciskała... Zakaziła się krew temu jenerałowi polskiemu.

JACK: Z nami jedzie trzech takich, co są nieboszczyka rodaczeni... Bardzo smutni są!.. Nie mówią do siebie ni słówka ci Polacy z żalości!

BOB (do Vanderwilda, wskazując na stół): Ale takiemu to musieli dużo płacić? Co?.. że mu się opłaciło przez wielką bajorę aż tu jechać do Skonfederowanych Stanów. Baryły dolarów chyba, co?..

Vanderwild gorzko się uśmiecha, przeczy głową.

BOB: Nie?.. Nie tak dużo?.. (nie ufając): Ech, jakby nie dużo, toby przecież nie jechał bić się nie za swoich!

TOMMY: Głupis Bob! Nie za dolary się tylko ludzie biją, ale dla sławy! rozumiesz? By sławę mieć!

BOB (kpiąco): Za sławę? A co za sławę dostaniesz stary?.. Kupowałeś co za sławę? haha... Bić się nie za swoich ale za obcych, to wedle mego zrozumienia, „całkiem głupio...

TOMMY (wzgardliwie): Co ty dudku piegowaty wyplatasz? Co się na tem rozumie taki...

JACK: A tak. Byś sobie wiedział stary grzybie! Ja tak samo myślę... Co sława! Co jest sława!.. Gdzie

jest sława? Sława, to jest dzień! Rozumiesz? Za dużo jest już sławnych na świecie, żeby sława coś wartała... O... żeby było dziesięciu sławnych, nooo, dwudziestu... a choćby do kroćset dyabłów, stu... Ale tak?..

BOB (kpiąco): Jasna rzecz! Oczywiście! Sława! A ty pamiętasz stary choć wszystkich generałów co się teraz od pięciu lat wstawili... He? pamiętasz?.. (wskazuje na Vanderwilda): Nawet pan sierżant pewno nie pamięta... Nie wyliczyłby... (wskazuje na Indyanina w przodku): A ten nie jest może sławny? „Blady Orzeł.“ Cała Ameryka, cały Nowy Świat o nim wczoraj jeszcze ze zgrozą gadał, z uszanowaniem...

JACK: A teraz jedzie w dybach na szubienicę... Haha... Sławny Sachem... Haha... Hetman rudoskórych.

BOB: A ja wam powtarzam com mówił! To zbrodnia względem swoich, zbrodnia dla innych wojować. Jednej siły dla swoich mniej! Rozumiesz Tommy? Jakby się tak wszyscy u nas rozeszli ze Stanów... po świecie... dla sławy. Co?.. Toby Brytanie dopiero tu rządili! To byś dopiero, stary czopie, za herbatę płacił.. Hohol (spluwa w bok): Zbrodnia!.. i kwita! Słyszeliście kiedy by się jaki Saxon nie za swoich bijał?.. Co?.. powiedzcie! (do Vanderwilda): Panie sierżancie! Bił się kiedyś jakiś człek, co po brytańsku mówi nie za swoich? nie za matczyzną i ojczyzną tylko?..

VANDERWILD (wzrusza ramionami, przeczy głową, cicho): Nie...

BOB (radośnie, do Tommy): A widzisz? Nie!

TOMMY: (miętko bez przekonania): Za obcych można się bić, żeby na ich wdzięczność zarobić. Wdzięczność dla siebie i dla swoich... To także zysk.

JACK: Aha! Wdzięczność. (kpiąco): A tyś wdzięczność stary widział kiedy? He?.. Jak ją zobaczysz, to przyjdź mi powiedz i pokaż... Pójdziemy potem na czarne piwo... z pianką... Hahaha... z dziewczynkami... Haha...

Jack, Bob, roześmieli się w głos. Nawet Tommy skrzywił się weselej — Sierżant Vanderwild posępnie stoi niewzruszony.

BOB (do Vanderwilda po chwili, spozierając nań ze współczuciem): A co wy sierżant, tacy smutni i smutni... Musieliście bardzo lubić nieboszczyka... Tak?

Jack, Bob, Tommy znów spojrzeli na Vanderwilda.

TOMMY: (do Jacka): Jack, przynos smolę... (wskazuje na beczkę): Trza zalewać...

JACK: Idę... idę... (biegnie w stronę beczki ze smołą): Czas, już czas. Ja sam wiem.

TOMMY (do Boba, wskazując na prawo): Trzeba obrócić Bob i na deseczkę...

BOB (pogodnie): Na ostatnią ławeczkę... Co?..

Jack małą beczkę przydźwiguje na prawo. Przechodząc koło Indyan siedzących na pokładzie i pykających z fajki, pokazuje im język.

TOMMY (równocześnie do Vanderwilda): Jeżeliście sierżancie bardzo lubili waszego generała, to powinniście się właśnie radować, że tak się stało a nie inaczej... Tak widziecie będzie sobie leżał czysto... pięknie na dnie Oceanu... o! ...a nie przytłoczony waszą ohydną gliną... (z odrazą) Co?..

Jack idzie na prawo ze smołą.

TOMMY (odwracając się doń): Pomyślcie ino! Jakaż to różnica! jaki to szczęśliwy los... Ja, bywa nocami czasem, budzę się spocony ze strachu, bo mi się śni, że mnie w łędzie grzebią brudnym, a nie w czystej słonej wodzie... Pomyślcie jeno sierżancie Vanderwild... Z jakim to paskudztwem ma się do czynienia na ziemi...! A jak z człowiekiem... (wskazuje za parapet) ładnie to się dzieje... (młasnął językiem) He?..

JACK (śmiejąc się): Ej pleć stary wilku, pleć... (do sierżanta): Tommy myśli, że wszystkim się tak mać w głowie, gdy po ziemi twardej chodzą... Stary, wie pan

sierzant dostaje mdłości, gdy tylko niechwiejny grunt czuje pod nogami.

TOMMY: Gadaj zdrow, śpiczaku, gadaj... Ot lepiejbyś smoły pilnował twojej... (do Vanderwilda, z zadowoleniem): Na dnie morskiem daleko, daleko zacniej sierzanciel honorowiej... Jak tam leżycie tydzień, dwa, to się was na początku boją żyjątko morskie, boją... Potem się z wami oswajają, zapoznają i zaczynają sobie różne takie na cadaver siadać...

BOB (wesolo): Kwatery zakładać... Haha...

TOMMY: Tak. Tak... kwatery zakładać... Najpierw jedno... potem drugie... trzecie... cały ogródek... Takie piękne, różowe grzyby cię porosną, taka jasno fioletowa...

JACK (rubasznie): Trzęsionka z galarety... Haha...

TOMMY: Tak... Taka piękna, przezroczysta, fioletowa powłóczka cię otoczy... potem takie różowe rozgwiazdy się przypną... i znów takie, takie pęczuszki żółte, włochate...

JACK (naśladując zachwyty Tommy): Potem takie skorupiaczki mocne się przyssa... Co?... Ośmiornice!..

TOMMY: A także... a także... Cóż strasznego? Może nie śliczne? A potem takie algi cię oplącają! wodorosty takie długie, długie, zielone, szmaragdowe... Ach, ludzie, ludzie! nie macie pojęcia, jakie to piękne!..

BOB: Ehe.. Widziałeś że piękne, stary?..

TOMMY (zirytowany nagle): A żebyś sobie wiedział, zem widział głąbie jeden! żebyś sobie wiedział!.. Raz było wyciągnęły nurki takiego umrzyka, co już roczek było, jak na dnie morza leżał... (z zachwytem): Ludzie! ludzie! Toż to było na co patrzeć... do wanny takiego wrzucili, żeby oglądać... Toż ludzie odchodzić nie chcieli, tylko patrzyli i patrzyli wybałuszonymi ślepiami. Tak... Tak... Stary Tommy też patrzył. A jakże... Byłem... byłem... widziałem... Cudne!!!

JACK (do Boba, twardo): Licha smoła? co?..

Między Indyanami od chwili już zawrzał spór; teraz jeden zerwał się i chce drugiego kopnąć nogą spętana łańcuszkiem, wobec czego i drugi zaperzony zerwał się na równe nogi.

BOB (do Jacka): A licha... Taka jakąś przyniośł... ale trzyma.

TOMMY (do Vanderwilda): No panie sierzant! Rozpogódźcie wasz front!.. Niema się co gryźć. Tak lepiej... Zazdroście mu raczej, że tak przypadło.

BOB i JACK (swobodnie): Pewnie, pewnie! Wszystkich nas to czeka... Wcześniej, czy później...

JACK: Przed Brytanami możesz uciec każdy, przed śmiercią nigdy... Tak, tak...

VANDERWILD (otrząsając się ze smutku, energiczniej): Tak, tak... Może prawdę mówicie... A jakże tam?... Można już będzie na pogrzeb prosić?

BOB (opuszczając rękawy): Gotowe! Gotowe!.. Teraz my się pójdziemy przemyć i oporzędzić. Możecie sierzancie iść zameldować.

W głębi z za fok-masztu pojawiają się Siostry Betlehemskie: Angelika i Deniza. Blade i zapłakane tulą się do siebie, nie odważają się kroku naprzód uczynić. Jeny patrzą na prawo.

TOMMY: Ja tam jeszcze zostaję... bo ja muszę pętle sznurów obwinać koło tego szczęśliwca... Wy sobie idźcie... Ino mi wraz wracać. (zabiera się znów do roboty).

JACK (rękawy koszuli opuszczając, do Vanderwilda): Ostrożnie sierzancie Vanderwild, bo się zawalacie smołą.

BOB (już przy schodach): Idziemy Jack... idziemy... "

Vanderwild westchnął i szybko zmierza ku schodkom.

Mohiganie stoją teraz naprzeciwko siebie, zaperzeni, dyszący, groźni i już mają się rzucić ku sobie z pięściami. — Vanderwild przeszedł koło Boba i schodzi schodkami w dół statku. — Siostra Angelika i Deniza spłoszone patrzą z za fokmasztu.

JACK: Idę, już idę, Bob... Czekaj... (nagle spostrzeżga rozsierdzonych Indian, stojących jakby w bojowej pozycji, z radością): Hola! A co to znowu? Co tam będzie? (przystępując bliżej, krzykliwie): Co to z wami zatracone plemię? Widział kto coś podobnego!.. W łańcuchach skute, a łańcuchami kopać się chcą... (uradowany, do Tommy): Patrzcieżże się moi mili... (odepchnął brutalnie jednego od drugiego, tak, że „Sokole Oko“ potknąwszy się upada na ziemię): Patrzcie... ol.. w kajdanach są... niewolniki, więźnie, galerniki! skazańce, a jeszcze się sobacze juchy żrą ze sobą...

TOMMY (machnął ręką wzgardliwie): A niech się załby wodzą... Co tobie do tego! Daj im spokój!..

JACK (zaciekle, rękawy kurtki zakasuje): Spokój im mam dać, spokój! (do Boba, wesoło): Ja im dam smołą po zębach, to będzie spokój... Bob! dawaj tu barylę ze smołą. Chyżo! Ja im gęby wytatuję cokolwiek... Czekajcie!..

BOB (podskoczył do beczki rażno): Zaraz Jack. Bardzo słusznie! Niech te pawiany powąchają raz tego miodu, w którym ich dyabły w piekle smażyć będą... (dźwiga beczułkę bliżej),

TOMMY: Ej, chłopaki, chłopaki... miasto iść się myć, to wy się tu gzie!

JACK: Zaraz idziemy! Tylko z tym księciem porządek zrobimy! Czekaj stary chwileczkę...

Bob postawił już beczułkę obok na ziemi. Tommy odchodzi na chwilę na prawo.

JACK (do Boba wesoło, wskazując na Indianina): Potrzymaj no mu łapki z tyłu i skrępuj... o tak...

Bob rzucił się ku Indianinowi i złapał mu ręce z tyłu. Siostra Deniza i Angelika patrzyły od chwili z oburzeniem na marynarzy. Teraz powoli zbliżają się ku nim. — Indianin szamocze się i wrywa. — Bob żelaznym łańcuszkiem spiął mu ręce w tyle. — Jack zamaczał pędzel w beczułce smoły i już wyciąga pędzel ociekający mazią.

BOB (sapiąc z wysiłku): A co to?.. Będiesz się wrywał ty.. Będiesz tu ceregiele wyprawiał?..

JACK (szybko): Trzymaj mu łapki... Tak... Czekaj... Teraz przejadę po ząbkach ludożercę... (podniósł rękę z pędzlem i już zamachnął nią): Czekajże ty...

W tym momencie szybko zbliżają się Siostra Angelika i Deniza.

ANGELIKA (sęką zagroziła, z krzykiem): Ni się waź bracie! Ani go tknij!.. (chwyciła za podniesioną rękę Jacka i mocno trzymając zniża mu rękę ku ziemi, z wyrzutem): Jak śmiałeś zamierzać nawet coś podobnego!

DENIZA (z oburzeniem): Tak się pastwić nad człowiekiem w kajdanach... (do Boba): I ty go puść zaraz!

JACK (wrzucając pędzel w barylę, posępnie, z uporem): Kajdany ludzi nie poprawiają... Niech Siostra nie spodziewa się, że takie drapieżne zwierzę w niewoli skruszało. Tylko się odwrócić odeń, a z tyłu tomahawk w kark białemu wrazi... Niema kogo bronić, nie...

ANGELIKA (z gniewem): Milcz! Milcz i wstydź się... Musisz sam mieć duszę bardzo niewolniczą, jeżeli z niewolnika naigrywasz się, bracie!..

BOB (hardo): Nikt się z nich nie naigrywa. Niech się nauczą pracować, to im damy spokój święty!.. Ale póki nic innego nie umieją, tylko czupryny białoskórych odrzynać i z Brytanami się łączyć, będziemy ich tępić, tępić...

JACK (pół kpiąco): I jakoś to nawet dziwnie jest, żeby siostry, co z Betlehem są, stawały w obronie wojowników drapieżnych! Toć oni ze zbójectwa ino żyją i z najazdów.

BOB (mruczając): A tak... tak... Pewnie, że dziwnie...

ANGELIKA: Nawet drapieżnik, gdy już w niewoli jest i skuty, godzien litości. Nadto kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. A biada jeno takiemu, co nad bezbronnym pastwi się!..

TOMMY (ukazuje się z zakasanymi rękawami, rozgłosnie, z zadowoleniem): Całkiem słusznie, siostró. Dobrze im tak! Trzeba natrzeć uszu tym prostakom. (ostro, rozkazodawczo): Umyć się drapichrusty, skurczybyki, źrebce głupiaście! głąby surowe! chwasty oblaźle... A nie tu ośmieszać się w dyszkury wdawać... (daje znak Bobowi, żeby mu pomagał).

Jack szybko pomyka z głową opuszczoną ku schodkom. — Indyanie usunęli się całkiem na bok.

TOMMY (z galanterią): Niech Siostry czcigodne wybaczą głupie mowy tych szczurów wodnych. Co to taka marnota ma wiedzieć, co są maniery światowe! Niech Siostry nawet o tem zapomną, co oni tu... Ot, lepiej dla rozrywki popatrzą sobie panie na nieboszczyka... Miło popatrzeć, jak obszyty zgrabnie... Proszę... (wskazuje na prawo): Proszę śmiało... Proszę... (pokazuje stół, na którym leży obszyty i obłany smołą trup Pułaskiego).

Siostry smutne, przerażone, przytulone do siebie, idą na prawo zwolna i nieśmiało. — Jack i Bob znikają z głębi pokładu.

GŁOS (z góry, z lewej): Lewa! Cztery!

TOMMY: (głośno, w górę, przykładając rękę do ust): Która?.. Lewa?..

GŁOS (z góry, z lewej): Lewa. Cztery.

TOMMY (stając przy balustradzie, krzyczy w dół): Lewa! Cztery!.. (do Sióstr): Zostawiam Siostry chwilę z nieboszczykiem... Pójdę sam zameldować, że wreszcie ceremonia może się zacząć. (zbiega schodkami na dół).

Siostry Angelika i Deniza zwolna zbliżają się do stołu. — Siostra Deniza chusteczkę do oczu przycisnęła... przyklękła przy stole. Angelika przeżegnała się szybko i stanęła przy wezglowiu.

DENIZA (z płaczem): Opowiedz mu... opowiedz...

ANGELIKA: Powiem mu wszystko. powiem... (Nachylając się, półgłębko, jakby szeptem): Jenerale Pułaski, przychodzimy ci powiedzieć ostatnie wiadomości... Ty słyszysz? Prawda, że słyszysz?.. Tylko ścianka cię oddziela

od naszego życia? Prawda?.. Otoż dziś rano, kiedy ty już zniknęłaś z pośród żyjących, przejeżdżał koło nas statek pocztowy i przysłał nam szalupę z naszą pocztą... Muszę wam opowiedzieć nowiny, Pułaski...

DENIZA (podpowiada): Wszystkie pomysły.

ANGELIKA: Tak... Wszystkie pomysły. Cornwallis kapitulował... Słyszysz? Idą teraz na York, na Nowy-York. Admirał Rochambeau wylądował w New-Porcie... Clintown odwołany z Georgii idzie na Rochambeau! Słyszysz?

DENIZA (podpowiadając): Franklin...

ANGELIKA: A tak, tak... Zaraz... Liberali biorą górę nad Tamizą!.. Wiesz?.. A stary Ben Franklin jedzie do Paryża... na negocjacje pokojowe... na negocjacje pokojowe... Słyszysz?.. Więc wszystko idzie dobrze... A my codzień z Siostrą Denizą będziemy wam Pułaski składać relacje, co nam tylko opowiedzą... Bądź spokojny...

W tym momencie rozbrzmiewa sygnaturka okrętowa i wraz z otworze pokładu pojawiają się: najprzód dwaj marynarze: Jack i Bob, poczem kapitan okrętu z krucyfiksem w ręce, potem admirał d'Estaing ciężko ranny, z głową obandażowaną, w galowym mundurze oparty na Wilkensonie, potem Benyowsky w jaskrawym kontuszu i czapie z kitą czapłą. Z nim dwóch szaraczkowych konfederatów wychudzonych i biednych, niosących sztandar szkarłatny z Betlehem. Poczem bardzo zatroskany i posępny stary Lincoln. Z nimi kilku żołnierzy i kilku marynarzy. Nawet kucharz okrętowy Murzyn biało ubrany.

DENIZA (szybko zerwała się z klęczek i stanęła u końca stołu): Angeliko!

Siostra Angelika podniosła głowę, wyprostowała się. Stała teraz również z boku. — Przybywający, po kolei stając przy stole, żegnają się wszyscy, poczem ustawiają się pod parapetem w półkolu, w głębi. Kapitan okrętu stawia krucyfiks u wezglowia. Stary Tommy staje obok wezglowia. Jack u nóg. Każdy z nich bierze linę w ręce. Przy nich stanęli ku pomocy inni marynarze. Konfederaci kładą na ciało sztandar szkarłatny.

KAPITAN OKRĘTU (gdy już wszyscy stanęli, głosem uroczystym): Jego Królewskiej Mości Ludwika commodore, hrabia Amadeusz d'Estaing może mówić!

D'ESTAING (blady, oparłszy się ciężko na Wilkensonie, w stronę kapitana): Dziękuję... (rozglądając się po wszystkich i popatrzywszy żalostnie na leżącego, wyciąga szybko z zanadru karteczkę i od czasu do czasu patrzy w nią i czyta): Panowie i towarzysze! Marynarze i żołnierze! (już z aplombem i krzykliwie): Moim skromnym głosem, Królewska potężna Francja żegna bohatera wiekopomnego ze łzami w oczach, rzucając na jego powłokę cielesną gałąź nieśmiertelnego lauru! (rozglądając się dokoła, poczem z patosem): W osobie zmarłego jenerała traci wszechświat, traci człowieczeństwo zbolełe jednego z największych batalistów, jednego z tych błędnych Bayardów wolności, godnego stanąć obok Sulli i Milcyadesa, obok marszałka Soubise!

Sygnaturka okrętowa przestała dzwonić. — Cisza u wszystkich wielka, głowy pospuszczane. Tylko marynarze amerykańscy z pewnym zdziwieniem przypatrują się upozowanemu admirałowi.

D'ESTAING (rozpłomieniacząc się, czyta z kartki): Jeżeli sława Scypiona przetrwała wieki, to niema też, niema jednego serca, w którym ległoby się zwątpienie, że sława jego bezgranicznego męstwa i sława jego bezprzykładnych sukcesów zapełni echem stugłośnem, jak mówi w Cynnie nasz wielki Racine:

„wszak wszystkie lądy, wszystkie Oceany
rozniosą echa i fal morskich piany...”

(spojrzał po wszystkich z zadowoleniem i znowu czyta z kartki): Choć nas opuścił ów bohater godny jak „Rolando Furioso” dramatu jakiegoś nowego Tassa, to uczynki jego, jak słupy ogniste będą nam przyświecały. Imię jego starcy dzieciom, dzieci wnukom powtarzać będą z niewysłowionem uwielbieniem, jak powtarzają do dziś z drżeniem imiona wielkiego Hanibala! wielkiego de Broglie, znamienitego księcia de la Tour d'Auvergne i innych, powtarzać będą po wieki. (z pamięci, patrząc dokoła): Dla-

tego żegnaj nam teraz, żegnaj drogi Kazimierzu... (zaciął się, zaczerwienił nieco) żegnaj Kazimierzu...

WILKENSON (podpowiadając): Pułaski...

D'ESTAING (zadowolony): Tak, tak, Pułaski... Żegnaj! (czyta z kartki): ...żegnaj Argonauto Polski i bądź przekonany, że wielka Francja aliantka i przyjaciółka twojej Ojczyzny, zachwycająco pięknej Sarmacyi imię twoje wyrzeje w złocie na marmurowych tablicach mężów wielkodusznych, obok księcia Sobieskiego, obok tego, co Wiedeń przed nawałą Madarów i Tatarów uratował... (zadowolony, rozglądając się po wszystkich): Tak... Skończyłem... (do kapitana): Dziękuję...

KAPITAN (kiwnął głową sztywnie, do Lincoln): Dowódzca armii południowej, brygadyer Lincoln może mówić.

LINCOLN (staje przy stole, rękę oparł ciężko na stole, prosto i szczerze, hamując wzruszenie): Dziś nad ranem przestało bić serce naszego pana Kazimierza... Kiedy wieść o tem przyjdzie do Kongresu Kontynentalnego, pochyla się w smutku czoła kongressmenów... Kiedy stary Franklin dowie się o tem, łza mu się potoczy po twarzy. Bo on go tu do nas przysłał. Odetchnie zato gruby Cornwallis i zatrą ręce z zadowolenia faryzeusze w Izbie Lordów!

Wśród obecnych serdeczne potakiwanie: Tak... Tak... Tak...

LINCOLN: Zmarły Pułaski odznaczył się pięknie pod Little-Eag-Harbor! pod Brandwyn, pod Germantown! Aha i jeszcze pod Paoli-Tavern. gdzie Excellencyę Washingtona uratował! Generalissimusa! Żadnej batalii zmarły nie wygrał, ale w każdej bił się jak przystoi!

Wśród obecnych potakiwanie: Tak... Tak... Całkiem słusznie!..

LINCOLN: Brygadyer Pułaski miał ciemne włosy, ale jasne serce!.. Po naszymu mówił bardzo podle aż przykro było słuchać!.. Tak... Ale obowiązki swoje speł-

niał ściśle i chlubnie. Był to godny mąż na godnym miejscu! Pułaski nigdy nie pijał whisky! (do marynarzy): Zapamiętajcie to sobie marynarze i żołnierze Stanów Skonfederowanych! Choć jego kompatryoci piją whisky i odurzają się także słowami!..

Wśród obecnych potakiwanie: Tak... Tak...

LINCOLN: Pułaski niczem się nie odurzał... Żadna piękna lady, czy miss nie zdołała mu też zawrócić głowy... Dlatego jest bohaterem. I dlatego miał duszę mocną jak Saxon!..

Wśród obecnych potakiwanie: Tak.. Tak...

LINCOLN: Drugą Ojczyznę tu znaleźli on i Kostjuszki wtedy, kiedy na jego matczynej kraj rzuciły się hyeny i szakale... jak na antylopę... On i Kostjuszki wtedy musieli uciekać. I tu przyjechali walczyć o wolność, o prawa człowieka, o niepodległość!..

MARYNARZE I ŻOŁNIERZE: Hip! Hip! Hurra! (i podnieśli w górę czapki i kapelusze).

LINCOLN (donośniejszym głosem, zwracając się do stołu): Wielki dług wdzięczności zaciągnęła Unia Kolonii Amerykańskich wobec twego narodu, Pułaski, przyjacielu mój! (mocno): Spłaci go bądź pewien, jeśli nie za rok, to za sto, czy stopięćdziesiąt choćby! Ale spłaci! Cześć twojej pamięci commander Pułaski!... Farevell!!

WSZYSCY ZEBRANI (mocnym głosem): Farevell!...

Kapitan ujmując w rękę flagę gwiazdzistą schyla ją i kładzie na ciele Pułaskiego.

WSZYSCY (powtarzają jeszcze): Farevell!...

KAPITAN (mocnym głosem daje znak marynarzom): Forward!... (i podnosi do góry flagę amerykańską).

Siostra Angelika usuwa na stół sztandar szkarłatny. Wszyscy żegnają się, głowy pochylili. — Równocześnie marynarze chwytają za liny i podniósłszy ciało na moment do góry przesuwają je zwolna na parapet. Poczem wolno opuszczają je za burtę okrętową.

GŁOS (z lewej, z bocianiego gniazda): Charlestown!..
Podbierać żagle!.. (świstawka).

BENYOWSKY I DWAJ KONFEDERACI (którzy stali obok niego intonują, hamując z wysiłkiem ły, pieśń Konfederacką):

Nigdy z królami nie będziem w aliansach
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach,
Słudzy Maryi!..
Nie złamie nas głód ni żaden frasunek,
Ani shołdują żadne świata hołdy,
Bo na wolności my poszli werbunek,
Na Polski żołdy.

Marynarze zwolna opuszczają ciało za okręt. Inni rzucają się już do roboty przy rejach i sztagach. — Słońce rozpędza chmury na całym horyzoncie.

Zasłona spada.

KONIEC.

Tegoż autora dramaty historyczne:

„Starościc Ukarany“

„Smocze Gniazdo“

„Cyganerya Warszawska“

„Bóg Wojny“

„Car Dymitr Joannowicz“

„Wielki Fryderyk.“



